RUSAŁKA.

Печатать позволяется съ тѣмъ, чтобы, по отпечатаніи представлено было въ Ценсурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ, 1840 года, Апр. 8-го дня.

Ценсоръ Новицкій.

RUSAŁKA

WYDANA

PRZEZ

ALEXANDRA KAROLA GROZĘ.

CZĘŚĆ III.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1840.

LISTA PRENUMERATORÓW

NA TRZECIĄ CZĘŚĆ RUSAŁKI.

Bagiński Ignacy ex. 2.
Bieliński Mikołaj.
Bieliński Cyryl ex. 5.
Bratkowski Fortunat.
Babiański Kazimierz.
Bernatowicz Alexander ex. 5.

Ciechoński Marszałek.

Dębicki.
Dijakowski Edward.
Garwoliński Jerzy ex. 2.
Grabowski Michał ex. 10.

Gromnicki Piotr ex. 3.
Groza Sylwester.
Gruszczyński Kanut.
Godlewski Władysław.
Gonzalw Józef.

Hańska Ewelina Hrabina.
Hańska Anna Hrabianka.
Humnicki Kazimierz.

Jezierski Michał ex. 10.
Jaroszyński Alexander ex. 2.
Jaroszyński Henryk.
Jukowski Felicjan Marszalek.
Jackowski.
Jagiełłowa Honorata.
Jarzembski Agaton.

Kaliński Tytus.
Komarewicz Eustachy.
Knothe Adolf Dok. Medyc. ex. 8.
Kopczyński Ignacy.
Kossowski Tytus.
Krajewski Alexander.
Konopacki Szymon.
Konopacki Franciszek.

Korzeniowska Regina.
Korzeniowska Katarzyna.

Leszczyński Klemens.

Łaźniński Łukasz Podkomorzy.

Mikuszewska Majorowa.
Michalski Izydor ex. 5.
Miladowski Jan Radca Stanu ex. 3.
Miładowska Teofila.
Matuszewski Ignacy.
Mondzelewski Jan Prezes.

Newelski Felix.

Odyniec Pius.

Potocki Bolesław Hrabia ex. 10.
Potocka Marya Hrabina.
Przyłuski Jan.
Przezdziecki Alexander Hrabia ex. 10.
Piątkowski Leonard Marszalek ex. 15.
Przesmycki Jan ex. 4.
Pokrzywnicki Józef.
Piotrowski.

Rzewuski Henryk Hrabia ex. 10.
Romanowski Wiktor.
Rulikowski Edmund.

Sokołowa Julija.
Spendowski Faustyn Marszałek.
Strutyński Julijusz Hrabia ex. 10.
Szuszkowski Ignacy.
Stecka Joanna Chorążyna.
Syroczyński Seweryn.

Tarnawiecki Jan ex. 5.

Zbyszewski Nepomucen ex. 10.
Żardecki Jan.

PIELGRZYMKA

DO KRENICY ŚWIĘTEGO WŁODZIMIÉRZA.

(Szkic kontraktowy).

Mróz zwolniał, godzina była 3cia z połuduia, udałem się Dnieprem, po drodze w śniegu ubitej, na pielgrzymkę do Krenicy Śgo Włodzimiérza. Zamiast lotnych łodzi, wesołych nadbrzeżnych pływaczy, snuły się teraz setne sanie, harcowały przy wodopojach

tłumy kontraktowych koni, dalej żarły się psy przy rozciągniętém padle, wrzeszczały stada kruków i kawek. Ten zgiełk, ta wrzawa, były oznaką nie godowej biesiady, lecz pjanej stypy, odprawiającej się po umarłym Dnieprze. Wszystko dokoła śnieg obwiał, obsypał, brzegi, góry, lasy, rzeka, niczém innem nie były, tylko jedną białą płaszczyzną, płótnem, na którém słońce pomalowało cienie niby zagadki dla oka. Choć w téj białéj żałobie, jakby złożona na śmiertelnej pościeli, zawsze tu natura dziwnie piękna, bogata; a ten, co pierwszy na tych górach zatknął Krzyż, założył miasta posadę, musiał być człowiekiem silnego i szlachetnego czucia.—Był nim (jak Nestor naucza) nauczyciel narodów, mąż pełny Boga, Andrzéj Apostoł; świątynia ku czci jego wzniesiona lekka, powietrzna, panuje na tych miejscach, gdzie jego Krzyż panował. Odgadniono myśl Apostola: chciał on, by znamie Chystusa oglądał świat cały, i zewsząd zbiegał się do niego. Droga ciągnęła się popod Peczersk, ja się zawróciłem na prawo i po

ścieżce pieszym tylko dostępnej, między chatki wyrobników i rybaków, szedłem do świętej krenicy. Leży ona w ogromnym rozłożystym jarze, którego boki garbate kilka starożytnych wierzb przysłoniło. Strumień z szumem wylewa się z krenicy, i po bryłach lodu, których sam sobie natworzył, zbiega w dolinę. Do jego czystej wody przyleciało stado gołębi; przyszły mi na myśl pieśni naszego ludu, w których gołąb i krenica, koń i kruk, matka i mogiła, są jakby główne punkta, na które duch narodowy zawiewa. Dziewczynka bieżąca z dzbankiem spłoszyła gołębie, i znów było pusto, i znów było cicho.

Nad krenicą w roku 1805, z rozkazu Cesarza Alexandra wzniesiono pomnik Ś. Włodzimierzowi. Składa się on z arkady obejmującej krenicę, wysokiej kolumny, kuli i krzyża; pomnik ten zdaje się być dziełem dorywczém, tymczasowém, zapewne w przyjaźniejszej porze czémś okazalszém zastąpiony zostanie. W arkadzie, której ściany obrazami pozawieszano, płonie lampa; jéj świa-

tło odbite w zwierciedle wody, wyraża dwa zespolone emblemata: ognia wiary, zdroju życia.

Jeszcze słońce złociło góry i wielką drogę z Peczerskiego na Padół, a krenicę już cień nakrywał; wstąpiłem na galeryą nad arkadą i poglądałem w górę na wielką drogę, w dół, na Dniepr. Droga roiła się mnóstwem ludzi, koni, powozów; gwar od niéj zalatujący był podobny do głuchego szumu wiatru między górami. Na jednéj połowie Dniepru spoczywał szeroki całun cienia, druga świeciła rażącą białością. Ozwała się muzyka wieczornych dzwonów, skłóciła się z echem gór, zahuczała w powietrzu, i przeszła jak straszny sen przez myśl i serce śpiącego. Od wielkiéj drogi, jakby od wielkiego strumienia, zaczęła się odrywać kropla po kropli, kobieta po kobiécie, i zbiegać w dolinę do naddnieprskiéj łaźni, ale żadna nie minęła krenicy nie położywszy krzyża na piersiach, nie zaczerpnąwszy świętéj wody. Przeszły kobiéty i znów grubszy cień, głębsze milczenie.

Rapsodije Homeryczne, księgi Mojżeszowe uczą, jak u najdawniejszych narodów były czczone i szanowane kreuice. Wznoszono przy nich ołtarze, składano ofiary. Układy familijne, obrady narodowe, zazwyczaj przy nich odbywały się. I w Sławiańszczyznie musiały mieć swoje wyższe i religijne znaczenie, skądby u naszego ludu powstało tyle krenic cudownych, skąd poszedł zwyczaj święcenia ich w czasie suszy. Szczepiła się myśl Chrystusa jak płonka na pniu dzikim, aż jego soki zmieniła na swój użytek i stary pień okryła nowemi latoroślami i doskonalszym obdarzyła owocem. Zadawałem sobie pytanie, dla czego tę krenicę wybrano na kąpiel chrztu dla Książąt, synów Włodzimierza, a cały naród w Poczajnie lub Dnieprze chrzczono. Przebiegałem myślą epoki czasu i wydarzenia, które tu spełnić się mogły, i w mojéj wyobraźni było jak w kalejdoskopie, tworzyła się mozajka z uczt, pogrzebów, tryumfów, z Książąt, wieszczów, kapłanów, processyi ludu, a nad tem wszystkiem panował duch bohatyr-

ski Włodzimiérza, gieniusz pieśni Bojana i niszczyciel Mamaja....

Zeszedłem z arkady i po ścieżce w śniegu ubitej dostałem się na wielką drogę; ostatnie promienie zachodzącego słońca długo się jeszcze odbijały od kopuły cerkwi Apostoła...



KONCERT LIPIŃSKIEGO (*).

(Szkic kontraktowy).

Koncert Lipińskiego! Koncert Lipińskiego! Prawie co roku ten odgłos rozlega się po Kijowie i zawsze zwabia tłum słuchaczów. Ciekawy byłem poznać człowieka, który od tak dawna wszystkim znajomy a nie spowszedniał, który siłą gieniuszu sa-

(*) Artykuł ten ze znacznymi pomyłkami był drukowany w Tygodniku Peterzburskim w r. 1838.

mowładnie u nas panuje; może kto powie, że nie trudno mu panować u nas, u których sztuki piękne na nizkim stopniu; ależ Lipiński ma sławę Europejską; Paryż i Londyn uderzyły mu oklaski. Choć czasy ciężkie, grosz trudny, jednak bez szemrania położyłem za biłet dukata. Między nabyciem biletu a samym Koncertem upłynęło kilka godzin; gdybym te godziny, kwadranse, minuty, chciał anatomizować, możebym cóś napisał nakształt Hugonowskiego *le dernier jour d'un condamné*: zapewne, że tło mojego obrazu nie byłoby tak krwawe, czucia bolesne, ale toż samo, jak tu tak tam, udręczające oczekiwanie, tysiąc myśli wiejących przez głowę.

Imaginacija moja wciąż pracowała na wystawienie sobie tego artysty, którego znałem dotąd z niewielkiego półćwiartkowego portretu; czucie wyszukiwało dźwięków, któreby najsilniej mogły wstrząsnąć machinę ludzką, rozdrażnić wszystkie nerwy i upoić je harmoniją, tém słodkiém opium, w którém ciało nie czuje, jak się dusza z jego objęć wyrywa.

Wszystko miałem przed oczyma, od orkiestry aż do wysmukłego policijanta, zaglądającego każdemu w oczy. Wyobrażałem sobie tysiąc widzów różnej płci, wieku, języka, zbiegających się słyszeć cudowną muzykę, widzieć takiego jak oni człowieka, wyższego tylko od nich — gieniuszem; wyobrażałem sobie każdą twarz jak białą kartę, na której czucie powinno było wypisać swoje ogniste charaktery. O! muzyka jest językiem duszy, przez nią na strasznym sądzie do nas Bóg przemawiać będzie; zrozumiemy jego mowę, jak rozumiemy jęk boleści, śmiech wesela. Niekiedy udało mi się zostać samym artystą, czuć jego czuciem, myśleć jego myślami. Lecz może się wam zdaje, że te myśli, te czucia, jak woda ze źródła, płynęły wciąż, nieprzerwanie: gdzie tam! szarpali je to znajomi, to przyjaciele, to Bóg wie kto. Jeden zadyszany wpadł mówiąc: »umyślnie u przybiegł do ciebie, abyś kupując świéce i mydło, nigdzie nie kupował jak u Skopowa: co za świéce, co za mydło!” i zaczął się rozwodzić z całą eru-

dyciją praczki i szafarza; inny wyzywał do oglądania kocza, którego sobie na ożenienie kupuje; aby nie słuchać o świecach i mydle, wyszedłem oglądać kocz, i zdało mi się, że na tém koniec; gdzie tam! trza było zajść do sklepów i potargować o cukier i herbatę. Już i pora obiadowa; po obiedzie myśl staje się prozaiczniejszą: zaglądają faktorowie donosząc o kupcach, przyjdzie parę sąsiadów na fajkę i pogadanie o złych czasach, jakaś Pani w salopku z prośbą do JWW. Panów o wsparcie w jéj nieszczęśliwém położeniu. — Znowu znajomi, Żyd faktor, przekupka z jabłkami, zwoszczyki i t. d.; w takim zamęcie coraz się myśl urywa, podobna do tych krótkich złocistych nitek, które niekiedy w oczach się nam snują.

Wieczór się zciemniał, latarnie pozapalano, zwiększył się turkot powozów na niektórych ulicach; niektóre, jakby wyroiwszy się za dnia, umilkły, wyludniały; nowy widok, walka światła z ciemnością, życia ze śmiercią. Piłem niespokojny herbatę, przysłuchiwałem się biciu zegarów, ozwała się

harmonijna pozytywa, głos jéj odbijany dalekiém echem, przerywany stukiem bruku, słodko wnikał do duszy. Zbliżyła się godzina Koncertu, wyszedłem na ulicę. Gdybym był mrówką lub jakim innym drobnym owadkiem, jakżeby mnie zajmowały te karety oświecone kagańcami, przesuwające się po ciemnych ulicach. Zrazu słyszysz dalekie dudnienie i cóś nakształt iskierki miga; powoli się dudnienie zwiększa, iskierka nabiera wielkości świecy, chwila jedna i druga, bruk huczeć zaczyna, jak gdyby się ziemia trzęsła, światło staje się podobne do meteoru przesuwającego się po zamglonem niebie; jeszcze chwila, jak gdyby grom uderzył zahuczało, zapałało; przeleciała kareta sypiąc skry za sobą, płomień rozjaśnił zczerniałe ściany parkanu, odbił się na szybach okien, na ubielonych śniegiem dachach, i znowu zaczął turkot ustawać, światło przygasać i stopniami niknąć i niknąć.

Coraz wzmagająca się wrzawa, krzyk, wołania przy sali kontraktowéj, świadczyły, że się zaczynają zjeżdżać na Koncert. Ka-

réty, kocze, sanki przesuwały się koło wielkich wschodów jak cienie w panoramie. Wysiadają panowie w niedźwiedziach i kapeluszach, panie w sobolach, lisach czarnych, z kwiatami, kokardami na głowie; żandarmi tupcząc od zimna krzyczą: N. 5. 40. 100. 2. i t. d.; ubóstwo z jękiem wyciąga do przychodzących dłonie. Dziwna mieszanina wiosny i zimy, bogactwa i nędzy!

Na sali koncertowéj zastałem kilkadziesiąt osób; muzyka z wystrojonémi instrumentami oczekiwała tylko na większe zebranie się słuchaczy. Żyrandole, kinkiety gorzały; cała sala z jéj wysokiémi filarami, sklepieniem wyniesionem, miała cóś uroczystego: kobiéty siedziały w ławkach, mężczyzni tu i ówdzie błądzili. Zbliżyłem się do dwuch mężczyzn zajętych żywą rozmową — pewny byłem, że rzecz toczyła się o Lipińskim: przebóg! oni się targowali o possesiją; dwaj drudzy rozprawiali o Berdyczowskim jarmarku, a inni o djabełku, faraonie i t. d. Słuchałem wpół-głośnéj rozmowy trzech pań z młodym oficerem; był to, w najczyściej-

szym języku francuzkim, najczarniejszy paszkwil na jakąś panienkę. Więc oni szli na gody niosąc proch na obuwin, pleśń na sercu! ich myśl roztrzepana, rozchwiana po zewnętrznym świecie, nie może się ostać na jednę chwilkę, zebrać w sobie i gościa niebieskiego powitać z całem serca wylaniem. O wielki artysto! i tyż masz takie kruszyć serca, do takich dusz przemawiać! Coraz się wypełniała sala, ławki damami pokrywały, piękne suknie, piękne kwiaty, piękne oblicza przeplatały się wzajemnie; komu zbywało na jednem, umiał sobie drugiem nagrodzić. Ten lekki różnokolorowy, rozjaśniony tysiącem świateł obraz, został nareszcie oprawiony w mężczyzn ramę czarną, ruchomą.

Zwiększająca się ciżba, ciepło, wrzawa, zapowiadały bliskie zaczęcie się Koncertu; wybrałem sobie najdogodniejsze miejsce, i wzrok utopiłem w muzyce. Jakiś Jegomość w czarnym fraku, białej kamizelce, z błyszczącym pierścieniem na ręku, ciągle się do muzyki nachylał, przemawiał: miałże to

być Lipiński? taki czérwony, otyły, rumiany! prawdziwy poeta jak prawdziwy muzyczny artysta, nigdy nie może być muskularnego, atletycznego składu: ogień czucia suszy ciało, jak ogień słońca suszy ziemię; ale natura ma swoje zboczenia. Jegomość z pierścieniem wziął do rąk skrzypce, stanął z boku, skinął smyczkiem i muzyka zabrzmiała: była to piękna uwertura; Jegomość z pierścieniem grał biegle; nie mogłem mu tylko wybaczyć dla czego taki tłusty, rumiany; szukałem między muzyką kogoś jeszcze, i znalazłem w drugiéj linii siedzącego człowieka; nie było nót przed nim; wtórował na skrzypcach od niechcenia, czasem tylko rzucał się to w tę to w owę stronę, jakby go cóś ukłuło, ubodło: były to ukąszenia jego duszy; każdy ton nieczysty, każda dizharmonija, która na naszych grubych zmysłach żadnego nie robiła wrażenia, miała dla niego żądło śmiertelne; czoło jego pokrywało się zmarszczkami, lica ściągały, brwi jeżyły, to znowu rozchodziły się zmarszczki na czole, lica zaokrąglały miłym uśmie-

chem, brwi opadały; był to tryumf harmonii, najwyższa muzyce pochwała. Człowiek z takiém czuciem byłżeby tylko dyrektorem téj orkiestry? Skończono uwerturę, wysuniono pulpit, i stanął przed nim — któż?.... ten nieznajomy — Lipiński.

Zapewne większa połowa słuchaczy przyszła z całym zapasem teoryi, metod, gotową nazwą na każdy ton, każdy spadek, uczona jak owi londyńscy doktorowie, co potrafili mumiję rozwinąć i jéj spowijacz rozmierzyć na łokcie i cale. Ja zaś, który znam tylko koncerta naszych ptasząt, melodiją owéj fugi, któréj dzikie głosy rozlegają się po naszych polach, który nasłuchałem się naszych pieśni ukraińskich, tych łez naszego serca i uśmiechu ust naszych; ja przyszedłem tylko z głębokością mojego serca silnego jak natura i czerstwego jak ona. Słuchałem wielkiego artysty i z rozrzewnieniem witałem w jego pieśni moich starych znajomych ze stepu, lasu i wioski, serce mi w piersiach drżało, po ciele jakby mróz przechodził, oczy były wilgotne, a melodija prze-

lewała się z tonu na ton, ze spadku na spadek; raz była dzika, zawikłana i brzmiąca; drugi raz prosta i rzewna. Oblicze artysty wiernym obrazem tego, co się w duszy działo; jakaś boleść na niem wyryta, doskonale przypadała do tej twarzy brunatnej, do oczu czarnych, ognistych i kryjących się pod szérokiémi brwiami. Inni głośno cieszyli się, wołali brawo! bili oklaski; ja nie śmiałem ust otworzyć, rąk podnieść, ja czułem tylko, a gdybym mógł przycisnąć jego rękę do moich piersi, przycisnąłbym, niechby poznał jakie dla niego brawo biło moje proste, wieśniacze serce.

Przez jakie u nas koleje niedawnémi czasy przechodziła poezija, przez takie teraz muzyka przechodzi; wiele sztuki, talentu, a brak narodowości; wynikło to z zamiłowania wszystkiego co obce i niedowierzania siłom własnym; jak zbliżenie się do natury nas otaczającej podniosło poeziją, tak i muzyka z tego źródła nowe życie czerpać będzie. Nigdy u nas samo miasto, ani pęki nót zagranicznych nie utworzą narodowego ar-

tysty, lecz wieś i niwa; każda wieś nasza jest księgą pieśni dziwnie pięknych; są to ostatnie echa starych dum słowiańskich. Niemcy, Anglicy, Włosi powplatali ich zdrowe ciała w swoje sztuczne warjacije; ciężko im tam, boleśnie; melodija powinna u nas przyjąć inną miarę, inną postać. Lipiński pierwszy tę prawdę zbadał; jego zbiór pieśni galicyjskich tego dowodem; w jego Koncercie ciągłe były zwroty do tych pieśni, tych brzmień, tak nam przyrodzonych jak nasze powietrze.

Po Koncercie otoczyli Lipińskiego mężczyzni dużem kołem, damy mimo przechodząc przesyłały mu ukłony; na wszystkich twarzach widoczna była radość, w każdym wzroku malowała się wdzięczność dla tego, który na skrzydłach fantazii, czucia, harmonii, potrafił uprowadzić duszę z ziemi, tego gniazda łez i błota w lepsze, szczęśliwsze kraje.

A. K. Groza.

tywy, które [illegible] każdéj, wiele nasza
[illegible] przez [illegible] pospołu. [illegible]
ostatnie pod [illegible] starych [illegible] ukształcie[illegible]
Niemcy, [illegible]. Wiele pospolicie [illegible] zdro-
we ciała w swoje [illegible] najlepiéj ciężko
[illegible], bolesnéj melodyja powszechnie u [illegible]
[illegible] znany, [illegible] poetów. [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]
do [illegible] tego [illegible]
[illegible] byty [illegible] do [illegible]
[illegible] przyrodzonych, jak nasze
[illegible].

[illegible] [illegible] muzy-
czyźni [illegible]
dzeń [illegible]
[illegible] była [illegible], że każdym
[illegible] się [illegible]
[illegible] harmo-
nią [illegible]
[illegible]
kraju.

[illegible] A. G. [illegible]

OSTATNIA SCENA

Z ŻYCIA POETY.

OSTATNIA SCENA

Z ŻYCIA POETY.

Ksiądz przeżegnał, młodzieniec milczenie zachował,
Tylko chwycił dłoń starca, ścisnął, ucałował,
Starzec spojrzał mu w oczy i oba zadrżeli,
Młodzieniec chudą rękę wyciągnął z pościeli,
Gasnący promień życia jeszcze się rozpalił,
Skinął — westchnął głęboko, Kapłan się oddalił;
I rzekł: — „Myśli ma! nic konaj zawcześnie,
Dziś chcę bym żadnej pamiątki nie zgubił,
Bo czuję w sobie jak konać boleśnie,
Nie pożegnawszy com kochał — com lubił!

Żegnam cię słońce na ojczystém niebie,
I ciebie tęskna kraino rodzinna,
Gdzie mego życia chwila dziecinna
Wzrastała — kwitła z miłością dla ciebie —
Dzika naturo! twe posępne lice
Jakby w zwierciadle lub na wód przestrzeni,
Na mojéj duszy sto odbiło cieni,
I twego Bohu błękitne zrzenice,
I Dniepru siwe zamącone oczy,
I borów długie rozwarte ramiona,
I złote gaje wierzbowych warkoczy,
I stepów szata mglista a zielona.

O jak posępne przybieracie szaty,
Kwitnące sady jak gdyby w żałobie,
Jak gdyby uschły wszystkich dolin kwiaty,
Tak wszystko z życiem więdnieje przy grobie.
Dzieci natury! piérwsi przyjaciele!
Piérwszy raz we łzach może mię widzicie,
Bo przykro umrzeć, kto wszędzie czuł życie,
Tęskno umierać, kto kochał zawiele!

Żegnam cię noto Ukraińskiej pieśni,
Nad mą mogiłą zanóć hymn ostatni.
Będzie to uścisk pożegnania bratni,

Na który zadrżę zpod grobowych ciesni.—
O dumki moje! o wy piesni moje!
Ja dzieckiem waszém, waszém echem byłem,
Ja was na zawsze utracić się boję,
Bo wami piersi młode wykarmiłem—
Niechaj się dźwięk wasz w powietrze zamieni,
Dzikiej harmonii zabrzęczcie stronami,
Niechaj utonę wsród waszych strumieni,
Niech patrzę—słyszę—niech oddycham wami.—

Lutnio moja, ty młodości
Życiem—czuciem—niebem byłaś;
Dla przyjaźni, dla miłości,
Przy mém sercu czuciem żyłaś.
Biło serce, a z niém razem
Głos po głosie bił ci z łona,
A dziś jęklaś jakby głazem
Mego grobu roztłuczona.
Po harmonii twych głosów
Wzlatywałem w wyższe światy,
Do aniołów, do niebiosów,
Po najdroższe uczuć kwiaty—
To ścigałem chmurek jazdy,
Przędłem srebrną nić księżyca,

To łapałem złote gwiazdy;
Bo mój umysł i zrzenica,
Co ich blaskiem swym łudziło—
W wszystko lgnęło i wierzyło.

O najświętsze młode lata,
Jak za wami łzy nie ronić,
Kiedym pośród marzeń świata
Mógł za szczęściem jeszcze gonić!
Kiedy przyjaźń—miłość—chwała—
Nótą szczęścia w duszy brzmiała.—
A jeśli mi ziemia zbrzydła,
Z natchnieniami w mojem łonie,
Rozwinąłem myśli skrzydła,
I ku niebu wzniosłem dłonie—
Tamem zaczął skargi szerzyć,
Lecz poznałem, że i w niebie,
Zyskać szczęście chcąc dla siebie,
Trzeba kochać—trzeba wierzyć."—

Słońce się nachylało, zagasał młodzieniec;
Umilkł—a cichy promień jak męczeński wieniec
Świecił na jego skroni, na licach, a w koło
Tak było świeżo, czerstwo, młodo i wesoło,
Jakby tylko na ziemi samo kwitło życie—

Ptaszek w okno zaglądał szczebiocąc jak dziecię;
Wietrzyk szumiał, swawolił, rój owadów brzęczał;
Wieśniak śpiewał; młodzieniec boleśnie zajęczał,
Westchnął, i zakrył oczy. Zbiegały godziny
Jak ptaki przepłoszone, a słońce z wyżyny
Zaszło pod stopy ziemi; ptak w gałęziach drzymał;
Owad usnął na liściach, wietrzyk się zatrzymał,
Rzekł młodzieniec:—
„Żegnam was moi przyjaciele!
Gdy wieść was dojdzie, żem już skończył życie,
Będziecie cierpieć—będziecie czuć wiele,
Potém wspominać—w końcu zapomnicie.
Czas każdy węzeł gdy w niepamięć kruszy,
Bracia! przynajmniej pomnijcie o duszy!

Żegnam was moi kochani Rodzice!
Od lat najczulszych, i w tej nawet dobie,
Gdy różne czucia jakby błyskawice
Tlały, to gasły w powątpiewań grobie;
Waszym uczuciom bez przerwy, bez miary,
Niosłem w mém sercu promień czystej wiary,
Gałęź usycha i listek nadziei
Żółtą—śmiertelną—bladością się stroi,
Lecz drzewo czeka następnych kolei,

Choć gałęź spadła, ono w miejscu stoi.
I wy tak bądźcie, i ciosu boleście
W skrwawioném sercu niech stygną powoli,
Z ufnością w Bogu grom cierpliwie znieście,
Gdyż on jest z jego wypuszczony woli.—

Po silnych burzach, srogich nawałnicach,
Czerpnąłem krople z czystych uczuć zdroju,
Pożar się zgasił, łzy oschły w zrzenicach,
I czyste niebo ujrzałem pokoju.—
Sczęsna to chwila, gdy po trudnym biegu,
Dłoń ukochana pomaga znużeniu,
Gdy łódką życia stanąwszy u brzegu,
Czujemy słodycz w życiu i w wspomnieniu.
Tyś to wspólniczko mej krótkiej podróży,
Twojej dobroci, łagodności kwiatem,
Jak gdyby z lilii albo wiankiem róży
Byt mój związałaś drugi raz ze światem.
Gdy jeszcze życiem tleje moje łono,
Niechaj wdzięcznością choć westchnie dla ciebie,
I nim cię ujrzę wśród aniołów w niebie,
Przyjm pożegnanie ukochana żono!"—

I znowu zamilkł, i lica pobladły,
I całe życie w płomyku się żarzy

Krągłym rumieńcem z jednej strony twarzy.
Westchnął—i rzęsy na oczy opadły,
Tylko cień długi z ich czarnego włosa
Na bladém licu toczył się zukosa.
Lecz zaczął mówić, gdy jeszcze raz siły
Wskrzeszone czuciem na nowo ożyły.
„Pół ideału a pól ziemi córa,
Którąm ukochał za tym ziemskim światem,
Ze śnieżnem licem jak aniołów pióra,
Z promieniem w oczach, żywym ust szkarłatem,
Na błękitnawém spłynąwszy obłoku,
Bóstwa obrazem jaśnieje mu w oku.
Wśród wyobraźni mej własnej zrodzona,
Miłości czuciem ją wykołysałem,
Żyła natchnieniem, a poźniej do łona
Połowę serca i duszy przelałem.—
Teraz gdy słyszę głos Boga z niebiosów,
Który mnie wola w tej chwili do siebie,
Może wypadło z przeznaczenia losów
Cząstkę mej duszy odebrać od ciebie.
Dla tego w lekkiej postaci jak dusza,
Jak mgły przejrzyste nad różowym rankiem,
Których zawoje lada wietrzyk wzrusza,
Rozwija wstęgą albo toczy wiankiem,

I ty tak lekko czarodziejskiém kołem
Krążysz i latasz ponad mojém czołem.—
Oddaj mi cząstkę mej własnej istoty,
Ciebie zostawiam z mém sercem, nadzieją,
Że kiedyś wspólnie przeżyjem wiek złoty,
Gdy nasze dusze na zawsze się zleją.
Jakież to pieśni? z jakich płyną światów?
Czy wiatr porusza tysiąc szklanych głosów?
Czy to modlitwa harmonijna kwiatów,
Czy to hymn świętych słychać aż z niebiosów?
Te nowe cuda któż mi wytłumaczy!
Dusza ma tonie w tych nieznanych pieniach:
Czuję, że płynę po pieśni strumieniach,
Lecę z ufnością gdzie mię Bóg przeznaczy."—

Wkrótce młodzieniec skonał, i na bladych licach,
Jakby na wygładzonych z marmuru tablicach,
Żaden zmarszczek nie został; bo gdzie pokój duszy,
Tam śmierć nie dotknie rysów pieczęcią katuszy.
Tam zgon nie jest męczarnią, ale snem swobody,
Wypoczynkiem po trudach, nadzieją nagrody.
Ksiądz przyszedł, dał mu w ręce swe własne szkaplerze,
Klęknął przy nogach trupa i zaczął pacierze.

Michał Jezierski.

PETRARKA.

Do....

Dawno przyrzekłem poznajomić P. z poezijami Petrarki, i oto teraz wedle możności mojej wziąłem się do wypełnienia obietnicy.

Ciekawa to rzecz widzieć badacza starożytności, wskrzesiciela nauk, filozofa i poetę w najświetniejszym blasku chwały, kiedy wszyscy ówcześni panujący Książęta ubiegali się o jego znajomość i chcieli utrzymać na swoim dworze, kiedy całe Włochy ze czcią i uwielbieniem wszędzie go w tryumfie witały i skronie ulubionego poety w Rzy-

mie publicznie wawrzynem uwieńczyły, kiedy bez żadnych urzędów pierwsze miejsca zajmował, kiedy liczne i ważne poselstwa odprawiał, do najznakomitszych Monarchów swego czasu, z którymi utrzymywał stosunki, kiedy radą i pismami wpływał niepomału ledwie nie do wszystkich spraw krajowych; ciekawa mówię rzecz widzieć tego mędrca wśród ogromu prac i wziętości, i jeszcze wśród powszechnego zepsucia owych czasów, oddanego wyłącznie najczystszéj i platonicznéj miłości. Owszem, ta długa i stała miłość była źródłem jego chwały: ona go, jak sam wyznaje, uczyniła lepszym i szlachetniejszym, zachęciła do czynów chwalebnych i do ważnych prac i usiłowań, słowem, wszędzie i we wszystkiém była mu celem. Z tego jedynego ogniska wypływały wszystkie promienie jego myślenia, działania i chwały— Kiedy ówczesny świat brzmiał jego sławą, on z duszą lubiącą samotność, często się ukrywał w małym domku, na dolinie, otoczonéj górami, przy posłudze jednego rybaka: i tam błądził z poeziją i my-

ślami o Laurze po samotnych nadbrzeżach tych jasnych wód, które uniešmiertelnił pieniem swojém. — Nic dziwnego, że to długie i najczystsze uczucie, którém się karmił przez lat 47 i które poniósł z sobą do grobu, było i jest dla wielu niepodobném do wiary: z téj przyczyny jego poezije będąc nie dobrze pojęte, nie wzbudzają dzisiaj powszechnego zachwycenia. — Teraz potrzeba gwałtownych wzruszeń, nienaturalnych i okropnych obrazów, rozdzierających serce, i tych tortur duszy, co straszną postać piekła przedwcześnie wywołują na ziemię, nie mówiąc już o potworach i brudach, w których się lubią z mikroskopem przyglądać i rozbiérać; rzecz więc naturalna, że wśród jęków i wycia tych strasznych i szkaradnych widziadeł, tłumi się czysty i tkliwy głos cichéj piosenki serca. Nie jest to na zimno poetyczne kwilenie, ani gra fantazii, ta miłość była istotnie jedynym żywiołem czułéj jego duszy — Darmo z nią walczy, darmo się modli i prosi Boga, aby go od téj nieszczęsnéj namiętności uwolnił:

Już to rok jedenasty Panie mój ulata,
Jak podałem kark jarzmu, a kajdanom ręce,
Tym srożej duszę ciśnie im więcej się zniża.
Zmiłuj się, zrzuć ten kamień, co serce ugniata,
Zwróć myśli do zbawienia i daj folgę męce,
Wszak wiesz co to jest cierpieć straszną mękę krzyża.

Darmo przedsiębierze poważną pracą zabić to uczucie, bo wśród surowych rozmyślań mędrca, ze światłem dziennem, lub cichym promieniem księżyca, wchodzi ukochany obraz Laury; darmo wyjeżdża w dalekie kraje, aby tę namiętność roztargnieniem pokonać: bo, jak sam powiada, we wszystkich stronach i pustyniach w kwiatach i zdrojach widzi ją przez dziwne omamienie, i im się więcej oddala, tem więcej wzrasta jego miłość, jak słońce im się wyżej posuwa, tem bardziej pali. Darmo z duszą kochającą swój kraj ciska się w odmęt spraw politycznych i spełnia różne trudne poselstwa: bo myśl jego zawsze przykuta do Laury, ciągnie go ustawicznie do Awenionu. — Napróżno cierpienia, słabość i lata zniszczyły piękność Lau-

ry, kiedy w myśli jego, zawsze była w tym samym blasku uroczym, w jakim ją po raz piérwszy obaczył; napróżno mu ją śmierć wydarła kiedy żyła w duszy nawet 70cioletniego starca. Jakoż jego sonety i pieśni nie są to oderwane jakieś wiersze, pisane wedle rozmaitych natchnień nie mających z sobą związku, jest to raczej historija jego serca, jest to dziennik jego uczuć i wrażeń — Dość przebiedz to mnóstwo wierszy, aby się przekonać, że nie poetycznie, ale rzeczywiście kochał i cierpiał — Téj stałości uczucia aż do ostatniego tchu, dowodzi jeszcze napis, jaki zostawił na rękopiśmie Wirgiliusza; wiadomo że tego poetę kochał i wielbił nadzwyczaj, i zawsze go miał pod ręką: otoż pomiędzy innémi nótami znaleziono te słowa napisane ręką Petrarki: «Laura sławna ze swoich cnot i długo wielbiona w moich rymach, ukazała się po raz piérwszy moim oczom w piérwszéj mojéj młodości 1327 roku, szóstego kwietnia o szóstej godzinie rano w kościele św. Klary w Awenionie; i w témże samém mieście, w tymże samyn

miesiącu kwietniu, i tegoż samego szóstego dnia i o tejże samej godzinie 1348 roku, to światło było światu odjęte, kiedy się znajdowałem w Weronie nie znając niestety mego smutnego losu. — O tej nieszczęsnej nowinie zawiadomił mię list mego przyjaciela Ludwika, który odebrałem w Parmie tegoż roku 19 Maja rano — Jej ciało tak czyste i tak piękne złożono w kościele OO. Bernardynów wieczorem w dzieńże śmierci; jej dusza, nie wątpię, wróciła, jak Seneka powiada o Scypionie Afrykańskim, do nieba zkąd była wyszła. Dla zachowania bolesnej pamięci o tej stracie, znajduję jakąś słodycz pomieszaną z goryczą kiedy to piszę, a piszę szczególniej na tej książce, którą mam często przed oczyma, abym do niczego nie przykładał upodobania w tem życiu, i po zerwaniu najsilniejszego węzła, który mię łączył z tym światem, miał ustawiczną przestrogę, tak przez częste widzenie tych słów, jak i przez słuszne ocenienie tego znikomego życia, że już czas wychodzić z Babilonu — To z pomocą Bożą stanie się dla mnie łatwiejszém

do wykonania, przy dojrzałém i prawdziwém rozważaniu zbytecznych trosk, marnych nadziei i niespodziewanych wypadków, które mną miotały w czasie pobytu mego na ziemi.»

Wiele jest sonetów, dobrze powiada Ginguené, bardzo tkliwych, ale żaden nie dorównywa tym wyrazom wielkiego człowieka, uczonego i czułego, napisanym na tém co było ciągle przedmiotem jego nauki rozważań, i słodkich a smętnych wspomnień.

Zastanawiając się nad życiem Petrarki gorejącém jedynie uczuciem stałém i czystém, znajdujemy w niém więcej poezii niż w jego sonetach i pieśniach, jak sam wyznaje, że wszystko w nim czulsze, piękniejsze i wznioślejsze zostało. Jest to może jedyny wzór czystej i wiernej miłości, który nam dzieje ludzkie podają — Poezije jego są dla wielu niezrozumiałe, a tém samém nudne, bo pojmą je tylko ludzie czuli, nieskalani samolubstwem i hrudnémi żądzami — Jeśli w poetach naszego czasu napotykamy wzniosłe obrazy i najtkliwsze wyrażenia, jeszcze to nas nie

bardzo dziwi, bo język miłosny aż nadto dzisiaj ograny; ale trudno się nie zdumiewać, kiedy zważymy te ciemne, rozwiozłe i dość jeszcze barbarzyńskie czasy, w których się urodziła ta Petrarki najczystsza i w swoim platonicznym polocie często niezbadana miłość, której dziewicza skromność nie tylko się oblekła rumieńcem wstydu w swoich czasach, ale nawet i w naszych pomimo uobyczajenia, przynajmniej w formach, często się musi płonić. — Jest to biała gołąbka wypuszczona przez poetę i niosąca gałązkę mirtu, która obleciawszy świat i wieki i nie znajdując miejsca, gdzieby jéj czysta noga bez pokalania mogła odpocząć, chroni się czasami do arki tak czułego serca z jakiego wyszła. — Są bowiem dusze, których czułość w sobie ograniczyć się nie może; jak życie potrzebuje oddechu, tak one mają konieczność wylania się na jaki przedmiot; ich szlachetność, ich wyższy sposób myślenia nie dozwala im się zagrzebać we własnéj korzyści i sprawach ziemskich; otoczeni dokoła zimnymi ludźmi, którzy całkiem oddani ma-

terjalnym potrzebom i kłopotom życia, a nudząc sobie w tym jednostajnym i mętnym potoku rzeczy ludzkich, czują niezbędną dążność przywiązania się do czegoś wyższego, przy czémby, jak ziemia w koło swego planety, krążyły wszystkie ich myśli i chęci, i znajdowały ubłogosławienie i szczęście, wielu nieznane, a zależące na ustawicznem poświęceniu się, czyli, co jedno, na zaprzaniu się siebie samego. I tym bardziej daje się czuć ta potrzeba, im mniej podobne dusze, jak Petrarką, są zrozumiane, a tém samem głos ich bywa pospolicie brany za śmieszną słabość lub urojenie — Wielka szkoda, że nasz poeta, obdarzony najczulszą i najwznioślejszą duszą, obrał sobie za jedyny cel niewiastę śmiertelną, bo stąd całe jego życie było pasmem udręczeń i tęsknoty bez żadnej osłody — O! gdyby był oczy wzniósł do najwyższej miłości, wtedy bez porównania arfa jego duszy zabrzmiałaby w czulsze i czystsze tony, wtedy znalazłby to błogie zachwycenie i ten urok szczęścia cichego i wewnętrznego, którego ślady znajdujemy czę-

sto w pieniach Dawida i innych polubieńców Pańskich, którzy jakby przywaleni ogromem błogości, zdaje się, że szukają ulgi w tym zbytku szczęścia, wylewając je w hymnach wdzięczności, pełnych nadziemskiego wesela. — Petrarka wśród powszechnego zepsucia, nie budując się przykładem dworu Aweniońskiego, zraził się tą zewnętrzną pobożnością, co w tych jeszcze ciemnych wiekach służyła często za maskę rozwiozłemu życiu, a która jednak niezbędnie potrzebna do ożywienia wewnętrznej pobożności— Tymczasem wyobrażenia rycerskie pomieszane z Platonizmem wówczas biorącym górę, tworzyły tę miłość, którą kobietę czczono jak bóstwo, do tych panujących wyobrażeń pociągała go jeszcze naturalna skłonność, *bo serce miłośne w jego piersiach leżało* — Nie myślę tu potępiać wszystkich natchnień poświęconych najpotężniejszemu i najtkliwszemu ziemskiemu uczuciu, miłości: ale rzecz niezawodna, że byłaby niepowetowana szkoda obierać ją za cel jedyny życia i wszelkich nadziei — Petrarka jeszcze za życia Laury

ale szczególnie po jej śmierci czuł ten bolesny zawód i obłąkanie swego czułego serca: i dla tego chociaż ta miłość, całem życiem wpleciona silnie w jego duszę nie mogła się zupełnie wyniszczyć, jednak poeta często wzrok wznosił poza te mamidła i przeczuwał tę wyższą miłość Boską, co go miała ubłogosławić, kiedy mówi: «jeśli garść ziemi śmiertelnej i znikomej z tak dziwną wiarą kochałem, jakże Ciebie kochać będę?» — I zapewne ta dusza czuła, po przebieżeniu najświetniejszego i pożytecznego dla następnych pokoleń zawodu, syci się piersiami pociechy Boskiej po tych łzach i udręczeniach, jakich doznała w ciągu doczesnej pielgrzymki.

Sonety i pieśni, bo o innych dziełach jego nie mam zamiaru mówić, dzielą się na dwie epoki, jedne pisane za życia Laury, drugie po jej śmierci.

W pierwocinnej młodości mojej, kiedy żyjemy w świecie ideałów, niezmierne miałem upodobanie w tym poecie i przełożyłem wszystkie sonety i pieśni; chociaż mnóstwo widzę niedostatków w tej zarannej pracy,

jednak nie chcąc zwlekać dłużéj obietnicy, i nie wiedząc czy przyjdzie kiedy ochota poprawienia tego pierworodnego wierszokleetwa, odważyłem się przedstawić P. tylko niektóre Sonety w ich piérwszéj ułomności — Może te wyjątki dadzą choć slaby cień lub jaki zarys tego poety: bo jestem przekonany, że Petrarka w najlepszym nawet przekładzie straci wiele wdzięków będąc pozbawiony słodkiéj i pieszczonéj mowy rodzinnéj.

ZA ŻYCIA LAURY SONETY.

2

Chcąc w jednéj chwili chłopczyna skrzydlaty,
Skarać tysiączne zrobione mu psoty,
Bierze ukradkiem i łuczek i groty,
Jak człek co w porę zasiada na czaty.
Męztwo me całe zebrałem do serca,
Abym go bronił i mojego wzroku;
Wtém niespodzianie ugodził mię z boku
Strzałą śmiertelną słodziuchny morderca.
Tym piérwszym ciosem mocno się zmieszałem,
Ani odwagi, ni czasu nie miałem

Ile potrzeba, by się wziąć do broni.
Nie mogłem dopaść takowej ustroni
Gdziebym mąk pozbył zadanych postrzałem;
Kędy ucieknę wszędzie mię dogoni.

15

Płyną po mojej twarzy łez obfite zdroje,
Wypada burza westchnień z piersi, które wzdyma,
Kiedy na mnie powlecze ładnemi oczyma,
Dla których z całym światem zrywam związki moje.
Wprawdzie ogniste żądze, srogie niepokoje
Słodziuchny i łagodny jej uśmiech powstrzyma:
Nawet we mnie i piekła dręczącego niema
Wtenczas gdy jej widokiem wzrok i duszę poję —
Ale rodzi się męka a roskosz wnet kona,
Kiedy z tym czarującym i czystym aniołem
Rozłączać się nakaże gwiazda nieszczęśliwa.

Miłośnemi kluczami dusza otworzona,
Pędzi skrzydłami za nią, za swoim żywiołem;
Pełna myśli z mojego serca się wyrywa.

28

Idę sam zamyślony w miejsca opuszczone,
Oczyma ponuremi wyśledzam z daleka,

Czyli niema na piasku gdzie stopy człowieka
Aby uciec natychmiast w bezludniejszą stronę —
W jednej tylko ucieczce znajduję obronę,
Że oko ludzkie męki mojej nie docieka;
Bo z twarzy, którą bladość i smutek powleka,
Łatwo zgadnąć że wewnątrz strasznym ogniem płonę.
Wy tylko głuche lasy i szumny potoku,
I doliny i góry i ciemne jaskinie,
Znacie boleść ukrytą natrętnemu oku.
Ale nigdy nie zajdę w tak dzikie pustynie,
Bym uciekł od miłości, zawsze przy mym boku,
Zawsze mówi i wszędzie obraz jej rozwinie.

41

Czuwałem by cię kłamstwa nie splamiła wada,
O niewdzięczny języku, ty slawnyś przeze mnie;
A gdy czekam od ciebie nagrody wzajemnie,
Gniew obudzasz, bo z ciebie na mnie hańba spada.
Gdy najwięcej potrzebna twa pomoc i rada,
Chcę wzywać względów Laury, drętwiejesz w rozmowie,
Lub się plączesz i słowa wyrzucasz w połowie,
Jakby człowiek marzący, który we śnie gada.
Łzy co ze mną spędzacie nocy opłakane,
Chociaż gorącom prosił niechaj sam zostanę,

Jak was trzeba, jej widok zaraz was osuszy.
I wy co skore zadać ciężką boleść duszy,
Westchnienia, czemuż przy niej ciche i urwane?
Jedna twarz tylko mówi o serca katuszy.

69

Mówiono Poecie, że piękność Laury przygasła nie zasługuje na jego żywą miłość: na to odpowiedział następnym sonetem.

Gdym ją widział, wiatr igrał u złotych warkoczy,
Tysiąc splotów nadobnych dokoła spływało,
A światło niepojęte nadzwyczaj jaśniało,
Które ciskały piękne dziś przygasłe oczy.
W twarzy dobroć rozlała jakiś wzdzięk uroczy,
Nie wiem czy to w istocie czy się mnie tak zdało;
Ale serce miłośne w mych piersiach leżało,
Co za dziw, że się nagle w ogień przeistoczy?
Jej chod był chód anioła, nie ziemskiej dziewczyny,
I głos co duszy mojej umartwienia koi,
Nic nie miał śmiertelnego, ale głos niebiana;
Było to żywe słońce, duch z górnej krainy,
A jeśli dziś nie taka, rana się nie goi
Przez to, że łuk ten zwolniał z którego zadana.

99

Miłość, los i myśl moja, rodzą mi niedole,
Co mię wprawiają w smutek i ciężkie rospacze:
Zazdroszczę kiedy kogo w skonaniu obaczę,
Szczęsny odpocznie w cichym, choć grobowym dole.
Los mi odmawia szczęścia, miłość płodzi bole,
Ztąd się myśl nierozsądna rozżala i płacze;
Tak biedny ciągle pędzę życie me tułacze,
Bijąc się w ciężkim smutku i krwawym mozole.
Nie spodziewam się widzieć jasnych dni nanowo,
Coraz się bardziej chmurzy, grom wisi nad głową;
Już się rozstałem z wieku piękniejszą połową.
Myślałem, że nadzieję mam dijamentową,
Lecz szklanna, więc się stłukła wylatując z ręku;
Dziś nic się nie zostało oprócz łez i jęku.

117

POETA.

Będziemyż mieli pokój, powiedz moja duszo?
Lub ulgę na czas? czyli walki ustawiczne?

DUSZA.

Nie wiem co będzie z nami, lecz naszą katuszą
Widzę, że się obraża jej oko prześliczne.

POETA.

Cóż ztąd, nie temże okiem gdy na mnie powłoczy,
W skwarne upały zimę, w mrozy lato zmienia?

DUSZA.

To nie ona lecz Twórca, który dał jej oczy.

POETA.

Cóż-to do nas? wszak milcząc patrzy na cierpienia.

DUSZA.

Język jej wprawdzie milczy, ale serce wola,
Na pozór suche oko, na pozór wesoła,
Ale gdy nikt nie widzi, obfite łzy leje.

POETA.

Tém się wszystkiem myśl moja ukoić nie zdoła
Ni smutkiem zaciemnione życie rozednieje;
Bo człek biedny nie wierzy w tak wielkie nadzieje.

Niebo, gwiazdy, żywioły, spólnie pracowały,
By stworzyć oczy piękne, raczej dwa ogniska,
Co są na pozór czarne, a w nich słońce błyska
A którym podobnego nic nie ma świat cały.

Na widok tego dzieła, cudnego zjawiska,
Wzrok śmiertelny słabieje i blasku nie wstrzyma,
Tak obficie nadzwyczaj ładnemi oczyma
Zdrój miłości słodyczy i wdzięku wytryska.
Zapala się świętością powietrza do koła,
Gdzie tylko oczu świetnych słodki promień pada,
Ich blasku myśl i język wyrazić nie zdoła;
Przy nich gaśnie natychmiast mniej szlachetne czucie,
Żądza sławy i cnoty tylko sercem włada,
Słyszalże kto by piękność potłumiała chucie.

126

Cożeś w niebie, o Twórco za wzór sobie stawił,
Kiedy twarz tak cudowna wyszła z twej roboty?
Czy zdjąłeś wizerunek ze swojej istoty,
Byś własną moc i piękność na ziemi objawił?
I któż, jakiej bogini włosy będzie sławił,
Kiedy ona w powietrze puści warkocz złoty?
Czyjeż serce tak wielkie mieści w sobie cnoty?
Ten zbiór cnoty i wdzięków zgubę moję sprawił.
Ach widzieć boską piękność próżne są życzenia,
Gdy widoku jej oczu kogo los pozbawia,
Gdy nie widział, jak czule posyła wejrzenia.
Ach ten nie wie jak miłość rani i uzdrawia,

Kiedy nie wie, jak ona słodkie ma westchnienia,
Jak słodko się uśmiecha, jak słodko przemawia.

131

Wiatr ustał, cichość rządzi światem bez przeszkody,
Milczy ziemia i niebo, trzyma sen stworzenia,
Noc na gwiazdzistym wozie przebiega sklepienia,
I morze w swoim łożu spoczywa bez wody.
Ja czuwam, myślą płonę dla cudnej urody,
Co wszędzie słodko męcząc ściga me spojrzenia,
Żywot mój ciągłą wojną, pełen udręczenia
I tylko w jej spojrzeniu doznaję ochłody.
Tak czerpam gorzką słodycz z czystej żywej rzeki,
I w tem jednem dla siebie zasiłek znachodzę:
Jedna ręka i leczy i mnie rani srodze;
Luba moja męczarnia trwać będzie na wieki,
Tysiąc razy w dzień konam i tysiąc się rodzę,
Jak od mojego szczęścia zostaję daleki!

173

Rodanie, co z Alpejskiej wyrywasz się góry,
Nie wstrzymany przepaścią, ani żadnym głazem,
Dzień i noc w jedną stronę pędzisz ze mną razem,
Ja wiedziony miłością a ty od natury.

Lecz wyprzedzisz, bo twego nic opoźnia biegu,
Ani zmęczenie, drogi, ani snu potrzeba:
I nim złożysz hołd morzu wstrzymaj się u brzegu,
Gdzie zieleńsza murawa i weselsze nieba.
Tam żywe słońce moje promień szczęścia sieje,
Ozdabia brzeg twój lewy i kwieciem otacza,
I może ze spoźnienia mojego boleje.
Ucałuj ładne stopy i jéj rękę białą,
Powiedz, że twój całunek te słowa oznacza:
»Duch mój wprawdzie ochoczy ale słabe ciało.«

213

O! śnie okropny, o! straszne widziadło,
A więc przed czasem ściętyś piękny kłosie,
A więc to światło niebieskie przepadło,
Co mię cieszyło w złym i dobrym losie.
Czemuż zkąd inąd o takim odgłosie,
Lub od niéj samej wiedzieć nic wypadło?
Bógby cię wstrzymał śmierci straszny ciosie;
Pewno me smutne widzenie nie zgadło.
O piękna twarzy! spodziewam się jeszcze,
Że twoim słodkim wdziękiem wzrok napieszczę;
O! mój żywiole, o wieku zaszczycie!
Lecz jeśli prawdę mówią sny złowieszcze;

Jeśli już w rajskie wzleciala pobycie,
Boże! nie zwlekaj odebrać mi życie.

PO ŚMIERCI LAURY.

Życie prędko ubiega i chwilki nie stanie,
Śmierć goni orlém skrzydłem za zdobyczą swoją,
Teraźniejszość i przeszłość smutkiem życie poją,
A przyszłość łzy gotuje i ciągłe wzdychanie.
Dręczy mię przypomnienie i oczekiwanie,
Ze mną, przede mną, za mną utrapienia stoją;
Gdybym nie był okryty świętej wiary zbroją
Jużbym uciekł i rzucił to zgryzot mieszkanie.
Lecz jak tu dalej płynąć, gdy cała żegluga
Żadnej biednemu sercu pociechy nie wleje:
Widzę zrywa się wicher, powstaje szaruga,
Omdlał znużony sternik pod pracy nawałem
Pękły liny, prysnęły i maszty i reje,
I zgasły piękne gwiazdy, na które patrzałem.

5

Czyż jaka duszo smętna, pociecha się zyska,
Że znikłe gonisz myslą szczęścia twego chwile,
Które już czas pogrzebał w przeszłości mogile,
Na co podsycasz płomień twojego ogniska?

Duszo tych słów i wejrzeń czarujących mile,
Które to wszystkie pamięć na tobie wyciska,
Próżno i poźno szukasz na tej ziemskiej bryle,
Już uleciały w nieba dawne swe siedliska.
Ach nie odnawiaj rany sztyletem wspomnienia,
Rzuć tę myśl, zwodzi ciebie chytra i nie szczera,
Weź tę co do dobrego wiedzie przeznaczenia.
Szukaj nieba, bo ziemia szczęścia nie zawiera,
Czyż ta piękność dla ciebie w piekło się nie zmienia,
Gdy żywa i umarła pokój ci odbiera.

11

Gdzie różnym głosem kwilą drobnych ptasząt stada,
Gdzie wietrzyk ciepły liście łagodnie kołysze,
Gdzie strumień słodko szemrząc po kamykach spada,
Gdzie na brzegu zielonym chłodne z drzew zacisze;
Tam w dumaniach miłośnych usiadam i piszę;
A ta co z nieba wyszła, a w ziemi przepada,
Staje mi w oczach żywa, widzę ją i słyszę,
Jak na moje westchnienia czule odpowiada;
»Ach na co, rzecze do mnie, przez te niepokoje
»Niszczysz jeszcze przed czasem i zdrowie i siły?
»Na co lejesz obfite łez rzęsistych zdroje?
»Nie płacz, bo ja wstępując do zimnej mogiły,

»Na wieczne zamieniłam krótkie życie moje,
»I na wieczną się jasność oczy otworzyły.»

24

Te z zapałem przeze mnie wysławiane oczy,
Te ramiona i rączki i nóżki i lice,
Co mnie tak unosiły w nadziemskie granice,
Że świat ginął przede mną przez ich wdzięk uroczy,
I te złote pierścienie prześlicznych warkoczy,
I śmiechu anielskiego słodkie błyskawice,
Co ten świat przemieniały w rajskie okolice,
Wszystko się w garstkę ziemi teraz przeistoczy.
Ach, że żyć jeszcze muszę, gniewa mnie i boli,
I żyć w ciemności smutnej bez tej pięknej zorzy,
Która mi przyświecała w dobrej i złej doli.
Już żadna pieśń miłosna więcej się nie stworzy,
Już w piersiach święty ogień zgasł wieszczego ducha,
I lutnia w moim płaczu roskazu nie słucha.

31

Gdzie to prześliczne czoło, co jednem skinieniem
Zwracało moje serce wedle swojej woli,
Gdzie te dwie piękne gwiazdy, co z pod dwuch półkoli
Oświecały mój żywot swym słodkim promieniem?

Gdzie mądrość i moc duszy w złej i dobrej doli?
Gdzie skromna, słodka mowa, ze słodszem westchnieniem?
Gdzie wdzięki, co mię długo trzymały w niewoli?
Ach, dziś swobodny, płaczę za dawnem więzieniem.
Gdzie to święte, anielskie, prześliczne oblicze,
Co wszystkie moje znało myśli tajemnicze,
Co dawało ochłodę mej strapionej duszy?
Gdzie ta, co moje życie miała w swoich ręku?
Ach, jak światu ubyło bez niej wiele wdzięku,
A mych oczu z łez rzewnych nic już nie osuszy —

42.

Zefir wrócił, z nim wraca i jego rodzina
Śliczne kwiecie, murawa i ładna pogoda:
Już słowik z jaskułeczką swoje pienia wszczyna,
A nad ziemią panuje piękna wiosna młoda.
Łąki się uśmiechnęły, po nich igra trzoda,
Rozjaśniała się niebios błękitna kraina:
Miłości pełna ziemia, powietrze i woda,
Wszelkie stworzenie znowu kochać się zaczyna.
Do mnie samego większe wróciły westchnienia,
Na wszelką w świecie roskosz ta zamknęła serce,

Co od niego i klucze do nieba zabrała.
  Na głos ptasząt, na łąki rozkwitłe kobierce,
  I na słodkie nadobnych dziewcząt przymilenia
  Jak grób jestem posępny i dziki jak skała.

43.

Ten słowik co się kwilić i narzekać zdaje,
Może swe opłakuje dzieci, lub kochankę,
Może dla miłej nuci czułą zalecankę,
I napełnia słodyczą i nieba i gaje.
  Całą noc ze mną razem płakać nie przestaje,
  Jego pieśń moich cierpień gorzką czyni wzmiankę;
  Sam winicnem że boleść serce moje kraje,
  Bom nie wierzył by mogła śmierć zgubić niebiankę.
Któż się kiedy spodziewał tak smutnego końca,
Że te dwa piękne światła jaśniejsze od słońca,
Jedna chwila w garsteczkę czarnej ziemi zmienia.
  Dziś widzę na co wskazał los mię na te bole,
  Abym żyjąc i płacząc poznał z doświadczenia,
  Że zmienna wszelka roskosz na ziemskim padole.

60.

Idźcie rymy posępne do twardej opoki,
Która sobą grób Laury, skarb najdroższy gniecie,

A z nieba wam odpowie, kiedy ją wezwiecie,
Choć leżą w miejscu ciemném i nizkiém jej zwłoki.
  Powiedźcie, że mi przykro żyć już na tym świecie
  I brnąć przez tęn burzliwy ocean głęboki,
  Że idę po jej drodze, wstępuję w jej kroki,
  I zbieram rozsypane od niéj wspomnień kwiecie.
I aby świat ją poznał i pokochał stale,
Wysławiałem ją żywą i umarłą chwalę.
Lecz żywą, bo ma zawsze nieśmiertelność w dziale.
  Oby na moje przyjście, co wkrótce nastanie,
  Zechciała bydź gotową, wyszła na spotkanie,
  Wezwała i zawiodła w niebieskie mieszkanie.

75.

Duchy błogosławione wybrani i święci,
Obywatele niebios, skrzydlaci anieli,
Gdy Laura do nich weszła w około stanęli,
Czcią wielką i zdumieniem niesłychaném zdjęci.
  Wreszcie po chwili mówić do siebie zaczęli,
  „Jakże wielka uroda, jakże serca nęci,
  „Wszak jeszczcśmy w niebiosach za naszej pamięci,
  „Takiej piękności ziemskiej nigdy nie widzieli."
A ona z tej odmiany pomieszkania rada,
Które bardziej jéj cnocie i wdziękom przypada:

Często jednak spojrzenie posyła za siebie,
I patrzy czy nie idę, czeka na przybycie.
Dla tego tylko myślę o niej i o niebie,
I czekam hasła śmierci, by opuścić życie.

Ignacy Kefaliński.

FRANCISZEK DIONIZY KNIAŹNIN.

FRANCISZEK DIONIZY KNIAŹNIN.

Na czarno kirem usłanej pościeli,
Blady jak marmur człowiek odpoczywał,
Strój narodowy pięknie go okrywał,
Gromnice ogniem pałały nad głową,
Której wiek pozny swej użyczył bieli.
Żałobne pieśni brzmiały między dziady,
Tu, ówdzie ludu błądzące gromady
Szeptały pacierz ze łzami na oku,
Dzwon się rozlegał... w uroczystym stroju,
Przy wrzawie, jękach róznego natłoku,
Księża parami weszli do pokoju (*).

Zaiste rozdzierający musiał być dla proboszcza Końskowolskiego ten smutny obchód

(*) Alex. Groza. *Kniaźnin* poemat uczuciowy.

pogrzebu przyjaciela! Tyle lat spędzonych razem, tyle wspomnień przeszłości, tyle wspólnych boleści, zniszczonych nadziei, spoiły te dwa serca, równie czułe jak drażliwe, węzłem jednego mocnego uczucia, smutkiem; a razem pociechą pośmiertnego życia. Powoli rozrywały się te związki wzajemnej pomocy. Kniaźnin nie tylko nie mógł udzielać, ale już sam potrzebował, starania i litości. Jedenaście lat minęło, jak umysł jego wezbrał przesycony czuciem, i już nigdy do dawnego swego nie powrócił łożyska. Smutny, ponury, zawsze milczący, kończył poeta czas swego wygnania na ziemi, bo już duch jego uleciał na skrzydłach dwuch najmocniejszych uczuciów, jakie sercem człowieka władać tylko mogą. Jak smutny musiał być obraz tego człowieka, ożywionego dawniéj tak żywém sercem, pałającą duszą, razem ostygłego na wszystkie przyczyny, które nim tak mocno dawniéj wstrząsały! Konał powoli Kniaźnin, jak słabo błyskająca lampa pośród ogromu pustego kościoła, wśród téj ciszy, tego ugniatającego milcze-

nia, które jak przedsień grobu, było zimne, ponure, żadną łzą pociechy nie zroszone, żadną oznaką czucia nie przerwane. Musiał proboszcz Końskowolski, z godnością świętemu powołaniu swemu właściwą, dopełnić smutnego obrzędu ostatniej posługi, ale ktoby zdarł tę zimną powłokę powinności, zadrżałby zapewna na widok boleści, jaka rozkrwawiła serce przyjaciela.

Ktoby się chciał przenieść w ten czas posępny i bez nadziei, czas śmierci Kniaźnina, doświadczyłby równie z nami wpływu jakiegoś tęsknego uczucia. Odrzuciwszy nawet inne ogólne przyczyny, samo położenie Kniaźnina, ten niby romansowy, chociaż rzeczywisty, zbieg dwuch ludzi, którzy na przemian w nieszczęściu są dla siebie pociechą i pomocą, ten ksiądz Franciszek Zabłocki, zamykający oczy Kniaźninowi poecie, który płakał nad zgonem jego Eurydyki; wszystkie te dziwne a tak rzadkie połączenia, to mistyczne obłąkanie, uwielbienie, jakie mamy dla tej wielkiej, niezmiernej boleści poety, z tak czystego zrzódła wynikłej,

wszystko to nas przejęło jakiémści smutném wrażeniem, któregośmy żadną siłą odwrócić nie mogli.

Wrażenie to łatwo powziąć się da temu, kto zechce przeczytać uważnie wszystkie pisma jego, te osobliwie, w których się Kniaźnin zupełnie odkrywa, w których przesyt boleści przełamuje więzy ostrożności, w których narzeka, szuka jakiejś obcéj podpory, gdzieby mógł spocząć, zeprzeć głowę strudzoną, ochłodzić serce żarem pałające. Jest to prawdziwie poeta serca, znane mu są jego konwulsyjne bicia, nie tajne bole bez nadziei, pożerające namiętności bez pociechy i łagodnéj ciszy. Wszędzie łatwo znaleść można te mocne uczucia czarnémi oddane farbami, spokojną rospacz, burzliwą namiętnością wzbudzoną.

Ach ona widzę nieubłagana
I okiem rzucić nie raczy,
Ta zimna na jej twarzy odmiana
Wyrok mej dała rospaczy!

Poniosę z sobą skryte cierpienia
Między te lipy milczące,
Gdzie nie usłyszy mego westchnienia,
Ni się jej oczom natrącę!

Na ulgę rany, na żal najtkliwszy,
Jeśli nie znajdę sposobu;
Czule do szczętu serce zniszczywszy,
Poniosę żal mój do grobu.

Klimeno! może wspomnisz tam sobie,
I nad mą rzeczesz mogiłą:
,,Oto przyjaciel leży w tym grobie,
,,Któremu byłam tak miłą!"

Ale przywalon twardym kamieniem
Smutne zawarłszy powieki,
Niewczesną litość zbędę milczeniem,
Głuchy i zimny na wieki!

Dotrzymał słowa, ale na nieszczęście zimny był i głuchy przed grobem.

Obłąkanie smutny widok przedstawia w każdym pospolitym nawet człowieku, można sobie wystawić, jaki wpływ wywierało na tych, co patrzali z tkliwém rozrzewnieniem

na Kniaźnina, kiedy się stał jego ofiarą. Był on jak rzymskie *Coliseum*, wielka i smutna ruina, ale jak tamta wymówny mnóstwem pamiątek, bogaty w urok przeszłego życia. Jak głaz przeżył te jedenaście lat umysłowego więzienia, dumał, pisał, i wszystko potém niszczył i palił. Ciekaweby były te ostatnie jęki zbolałego serca, ten śpiew łabędzia, ta ostatnia grudka ziemi, rzucona na swoje umysłowe życie. Jak się tam przebijały uczucia wzburzone? w jaką formę zlewały się wrażenia, które nań działały? czy rospacz, czy też nadzieja, wydzierały sobie gasnące iskry tego przepalonego serca? Smutny to jest obraz poety, walczącego z śmiertelnym ciosem, który mu jego uczucia zadały, smutne i rozdzierające położenie tego życia, co się przeżywa, tego płomienia boskiego ducha, którego rozciągłości ziemskie jego pokrycie wytrzymać nie zdołało! Jednakże trudno się oderwać od tego tęsknego obrazu, trudno nie dumać dłużéj nad losem poety, którego uczucie było pokarmem i śmiercią. Tęsknem zapewna przejmuje usza-

nowaniem to obłąkanie wieszcza, jakimś mistycznym duszy językiem przemawia do nas ta boleść zimna i bez nadziei, te ciemne, jakby szklanne oczy, przepalone czuciem, ale razem pokorną wznosimy powiekę na tę niedocieczoną władzę, która najwyższe umysły, wzniosłe uczucia, łamie nie siłą, po której znać trud i umęczenie, ale lekkością wiatru wiosennego, co topi śniegów północnych zawieje! Sam to tak pięknie powiedział Kniaźnin:

Czém tchnę, co czuję, co mnie wzbić może,
Twoja to wola, Twoja moc Boże!
Uczuciom moim ty dodaj mocy,
Światła pojęciom, obrazom ducha.
Zaniechasz? gnuśnie mgła ślepej nocy
Cięży nade mną gruba i głucha;
Błyśniesz? aliści wzbudzony czuję:
Widzę coś, chwytam, gorę, wzlatuję!

Z tęsknem uczuciem przychodzi nam rozbierać wszystkie poetyczne prace Kniaźnina. Jakkolwiek za młodu przyniósł on z sobą dążność do smutnych wrażeń, pod których

ciężarem upadł, bywał w towarzystwie wesoły, zabawny, słodkiego pożycia. Zależało to zapewna od dni tych wesela i smutku, od tych maleńkich odcieni, które na nikim żadnego nie wywierały wpływu, a które niezawodnie sercem jego władały. Od czasu nieszczęśliwéj swéj namiętności był już poetą, bo czuł mocno, bo żywiéj serce jego biło, bo wznioślejszych obrazów sięgała wzburzona jego imaginacija.

Jak tylko zrzucił suknię jezuicką, wszedł Kniaźnin do domu, któremu się całkiem poświęcił, ztąd wszystkie prace jego brały początek, ztąd te walki serca, te tęskne obrazy nieszczęsnéj namiętności.

Zamiłowany w starożytności, brał ztamtąd wszystkie swe wzory, kształcił się na tych pomnikach ubiegłych wieków, przyswajał sobie ich formy surowe i szczytne, uwielbiał te nieprzechwalone piękności, które geniusz w puściźnie przekazuje wiekom. Jakoż we wszystkich pismach jego niemasz innego obcego wpływu; jeśli jest wszędzie naśladowanie, ma ono na celu wielkich mi-

strzów starożytności. Umiał się wstrzymać Kniaźnin nad przepaścią, do której tak smutnie powpadali współcześni jego innym obłąkani celem.

Jako poeta serca, liryczne poezije jego są zdaniem naszém to, co najlepszego zostawił po sobie. Są tam miejsca mocno i prawdziwie uczute, wysłowienie rzadkiej czystości i pienia, obrazy tęskne i smutne, pełne chrześcijańskiej nadziei i poddania się.

W lirycznych tych poezijach, które czasem niewłaściwie nazywa odami, jest cała historya jego umysłowego życia, tam krok za krokiem można postępować za jego ukształceniem się jako poety, za jego boleścią jako człowieka. Raz tęskny gniewa się na wiewiórkę ukochaną Korynny,

Wiewiórko! ja ci zazdroszczę,
Lubej używasz pieszczoty,
Próżno się palę i troszczę,
Nie mogę tego mieć, co ty.
Dokąd chce natrętka wlizie,
Wszystko wybaczy Korynna,

Choć i w paluszek ugryzie,
Wiewiórka zawsze niewinna!

Znowu przykrzy mu się stan swój, któremu winien niepowodzenie,

Jednak to dobrze Jowiszem zostać!
Choć rządzić światem mozoła;
Każda mu właśnie do twarzy postać,
Pomaga sercu blask czoła!

Józefie! czegoż on nic brał na się,
By mógł uiszczać zaloty?
Tysiąc sposobów trzymał w zapasie,
Ostatni sposób, deszcz złoty.

Szło mu jak z kłębka; pękały straże,
Zdybał cię wszędy pieszczoto!
Czegoż na drogiej płci nie dokaże
Świetność, potęga i złoto!

Po tém chwilowém bluźnierstwie, oddany cały rospaczy, chce się zagrzebać w rzece niepamięci; ale znowu nagłym zwrótem, kiedy jest nad jéj brzegami, żal mu Karpińskiego i Rozyny.

Pamięć w tym razie odżyła
Tém gorsza, im bardziej miła,
Żal było słońca, żal było rodziny,
Żal was przyjaciół, żal mojej Rozyny!

W chwilach szczęścia, gdy mu zabłysnął promyk choć słabéj nadziei, pokręcał wąsa,

Gdy pałasz mierzył cudze granice,
A wzrok marsowy sercami władał,
Ujmując wtenczas oczy kobiéce,
Bożek miłości na wąsach siadał.

Nakoniec po smutnéj rzeczywistości, która zabiła wszelkie illuzije, jak ładnie maluje siebie w tych *Dwuch Gałązkach*.

Przemijały się czas długi,
Nie wiedząc jedna o drugiéj,
Aż jakoś zbliżył nurt wązki
Obie gałązki.

Szczęśliwy komu dozwoli
Bóg towarzysza w złéj doli!
. . . .

Po długich sprzecznych pływaniach, kiedy już *Zefir sprawca pogody*

Tchem łagodnym ku sobie
Nakłaniał obie.

. . . . Tu kamień wśród powodzi
Spółce gałązek przeszkodzi,
Znów je od siebie zdalcka
Uniesie rzeka.

Nakonice jedna przy lasku,
Druga została na piasku;
Ta uschła, a tamtą marnie
Splątały tarnie!

Nie jestże to cały romans w tych kilku wierszach oddany? Wszystkie sceny tego życia drammatu nie mająż tu miejsca? Te naprzemian nadzieje, strachy, ta znowu wesołość jednèm nie sprawiona, znowu upadek, Lete, nareszcie ten tarń, który wszystko plącze; wszystkie te przejścia nadziei do niedoli, wesołości do rospaczy, musiały silnie działać na serce poety, kiedy je tak dotykalnie wyrytémi w swych pismach zostawił. Biło tam serce młodzieńca, pod tym kilkodziesięcioletnim kontuszem Kniaźnina!

Często napotkać można w tych lirycznych

poezijach szczególniejsze podobieństwo między naszym poetą a Karpińskim. Podobieństwo to jest najtrafniejsze w śpiewach, w których serce i tęskność przewodniczą obu. Cóż może się lepiéj porównać do pieśni Karpińskiego, jak te wiersze:

Darmo mi matko stawisz krosienka,
Inna mnie teraz myśl wiedzie;
Ach! pozwól raczej wyjrzeć z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie. i t. d.

Zdaje się, że to są dalsze strofy znajomych pieśni Karpińskiego, tak w nich czucie jest jednakie, tak oddychają tém czystém sielskiém powietrzem, tak w nich jest czułość naturalna i prawdziwa! Pomiędzy tymi dwóma poetami, którzy nam polskie, wolne od obcego naśladownictwa, zostawili wzory, jest jakaś styczność, jakaś tajemnicza sympatija, braterstwo uczuć, charakterów, opinii. Kniaźnin był więcéj towarzyski, formy jego są więcéj dworskie, bardziéj ukształcone, ale w ich utworach lirycznych, kiedy malują tkliwe uczucia, proste ale po-

wabne obrazy wioski, obadwa są to sielanie równo i wiernie czujący, mają tę słodycz rysów, ten lekki koloryt, ten powab wiosny, tę rozmaitość natury, którą opisują.

Styczność ta równie postrzegać się daje w tłumaczeniach Psalmów Dawida. Są niektóre tłumaczone przez obu, żadnéj w nich prawie różnicy znaleść nie można, tak prawdziwe czucie ma jeden język, wspólne wysłowienie. Ponieważ Psalmy mają tę szczytną wzniosłość i tęskność mocną i wezbraną, przypadły więc wiernie do usposobienia umysłu i duszy Kniaźnina. W tłumaczeniach tych dodał wszakże nasz poeta tę poprawność i harmoniją wiersza, którą jego spółzawodnik w tak wysokim nie posiadał stopniu. Ile tu poezyi i życia w tym psalmie 103.

Boże Tyś wielki! Tobie cześć i chwała,
Jako płaszcz jaki jasność Cię odziała,
Ten namiot ręką Ty robiłeś Twoją,
Niebo, nad którém wody wisząc stoją.
Chmury Twój powóz, wiatry Twoje cugi,
Burza posłańcem, a pioruny sługi.

Ta ziemia Twoją utwierdzona mocą,
Twojém skinieniem dzień idzie za nocą,
A której służą i światłość i cienie
Przepaści mgłę jej dały za odzienie,
Skoroś rzekł słowo, a nieba zagrzmiały,
Pola w dół poszły, a ku górze skały!
. . . .

Taż wilgoć żywi dęby, i sosny, i klony,
I cedr Libanu, Twą ręką szczepiony,
Gdzie ptak rozliczny z pisklętami żyje,
Gdzie jeleń buja, gdzie się zając kryje,
Zna swoje pory twarz księżyca blada,
Zna słońce kiedy wstaje i zapada.
. . . .

Któż to wyliczy, co morze ukrywa?
Twojeć to wszystko, co leci, co pływa,
Otworzysz rękę, wszyscy nasyceni,
Zwrócisz oblicze, wszyscy zasmuceni;
Ducha im weźmiesz? w niwecz się obrócą,
Ducha im natchniesz? do życia powrócą.

Niechaj Ci odtąd, o rządco Syonu!
Głos mój i lutnia brzmi moja do zgonu!

W całym tym tomie lirycznych poezij Kniaźnina, w przedmiotach politycznych lub innych, pokazuje się prawdziwy talent poety. Dziwna tylko, dla czego nazwał odami niektóre z tych wierszy, w których niemasz ni wzniosłości, ni szlachetnego uniesienia, właściwego temu rodzajowi poezii. Są to sielanki, idylle, które pomiędzy témi ostaniémi umieścić trzeba było. Zresztą w wielkiéj większości tych poezij, które zasługują na tytuł ody, pokazuje się, jakośmy mówili, cały talent Kniaźniua. Przepełnione jego serce temi dwóma szlachetnemi uczuciami, które charakteryzowały wszystkie jego poezije, znalazło formę ody najstosowniejszą do tych tajemnych uniesień, do tych monologów, w których poeta oddzielony od reszty świata, sam z swoją nadzieją lub żalem naprzemian łudził się lub cierpiał. Są to bezwarunkowe zwierzania się, potrzeba współczucia, bole bez pociechy, nadzieja bez echa!

Jakby na umyślne przeciwieństwo następuje poema *Balon*, po tych lirycznych poe-

zijach Kniaźnina, Balon, utwor wesoły, żartobliwy, musiał niewiele kosztować autorowi, chociaż ciągle w nim widać uporczywą walkę talentu z nicością przedmiotu. Wszystkie wklejane obrazy, opisy, w te pospolite ramy, w których starał się autor podnieść ducha, jakby na dodanie światła i życia całości, są tam tylko próżno narzuconą pracą. Jest tam dużo łatwości, talentu, jest ruch imaginacyi, ale nie dla umysłu i serca. Wszystkie te poemata, a mianowicie *Rozmaryn* i *Matka do Córki*, pokazują jak wsteczną poszedł Kniaźnin drogą, obierając sobie takie przedmioty. Nie w nich niemasz prócz łatwości i właściwych zalet wierszowania, a w ostatnich dwuch czytelnik zraża się tą rozwlekłością opisań, nudną już słodyczą, które, rzecz dziwna, jak przeszły niedostrzeżone przez autora. Tyle wierszy składają ten biedny *Rozmaryn*, tak długie są te *Rady Matki*, iż trzeba energicznej woli, żeby je do końca przeczytać. Balon od tego jest wolny. Jakkolwiek przedmiot wcale niepoetyczny, rozmaitość osób, które do

tego poematu wchodzą, pozwoliła poecie równej rozmaitości obrazów, żartobliwych wstępów, jak naprzykład *Radę Kotów*, ładnych opisań, jak ten obraz *Raju*, i malowideł, dwunastu ścian balonu, które Irys tak dowcipnym pędzlem ozdobiła. Gdzież są ci Muzofile, Glikony? te Kliodory, i te Irydy? Gdzie nareszcie ten sam poeta, który z takim dowcipem opiewał ich zabawy, wesołe żarty, pożyteczne odpoczynki? Wszystko to owiał zabójczy oddech śmierci, albo splątały przeciwne prądy, spienione bałwany, i burzliwe nawałnice świata! Zostało po nich tylko wspomnienie, tęskne, dalekie, jak pamiątka dobrego czynu w sercu uczciwego człowieka.

W trudnościach, które mu układ tego poematu nastręczał, w tych ciągłych obawach przestąpienia ówczesnych niewolniczych prawideł sztuki, czytamy zdanie, które poźniej tylu zwad stało się przyczyną. »Niewiem, »powiada Kniaźnin, jeśli genijusz poety po»trzebuje prawideł jakich, nad jedno żywe »uczucie wzbogaconej imaginacyi, którą smak

»i natura kieruje.” Widać, że wyższy umysł Kniaźnina przeczuł upadek téj literatury, któréj naśladownictwa tak ciągle unikał, téj trudnéj łatwości, błyszczącego wypracowania i czczego połoru. Sam miłośnik starożytności, chciałby był skierować postęp ówczesny do tych genijalnych wzorów, o których tak ładnie mówi:

Czy dłóta i pędzla rysy?
Czy tchnące czuciem napisy?
Z przyrodzeniem wszędzie sztuka,
Wesołość, słodycz, nauka.

Patrzmy na dopełnienie tego, co się rzekło, jak stale napojony témi prawidłami, ocenia godnie Gresseta, Gesnera i Metastazijusza. »Co za różnica, mówi, między Teo»krytem a trzema innymi, choć tak sławny»mi w tym wieku! w piérwszym jest lek»kość z kwiatka na kwiatek przelotna, w dru»gim zaś ta ciągła słodycz aż do przesytu, »w trzecim dowcipna tylko tychże samych »myśli powtarzanka. Piękności tu ich są bły-

»skotne, ujmują i nikną wnet z oczu, ale »Polifem Teokryta ciało ma czerstwe, przez »które dusza jego silnie tchnie, serce zaś »tak otwarte i wystawia tego co mówi, tak »naocznie, że i widzim dokładnie jego tam »sytuacyą, i zupełnie jéj wierzymy.”

Porównajmy zdanie to do zdań o literaturze i poezyi jego wydawcy? co za ogromna różnica w ocenieniu, w uczuciu piękności, a przecież wydawca miał to być polski Boalo!

Wszyscy prawie poeci nasi przeszłego wieku pisali bajki, rodzaj ten poezyi był wówczas w modzie, tak jak z początkiem tego mieliśmy mnóstwo bajronowskich poematów, albo walter-skotycznych romansów. Kniaźnin równie poszedł za innymi. Posiadał wysoką zaletę służącą temu rodzajowi poezyi, łatwość, jakoż wiele bajek jego odznaczają się szczególnym wdziękiem opowiadania, główną i nieodzowną cechą dobrego bajkopisarza. Pomiędzy wszystkimi, którzy naśladowali Lafontena, on może najwięcéj przybliżył się do doskonałości oryginału. Dowód tego zdania możnaby niejeden

przytoczyć, ale któż nie pamięta w dziecińtwie swojém bajek Kniaźnina?

Jakkolwiek *Żale Orfeusza nad Eurydyką*, są poprawione i skrócone, mało na tém zyskała pamięć naszego poety. Chcieć ukoić boleść prawdziwą i mocną przyjaciela, za pomocą starej już bajki mitologicznej, nie dowodzi ni właściwości obranego przedmiotu, ni nawet dobrego smaku i delikatnego współczucia. Jak się nią mógł rozerwać stroskany przyjaciel? Na jakich nadziejach mogło się wesprzeć zbolałe jego serce? Jakoż niewłaściwość, jakeśmy mówili, tego przedmiotu, zabiła zupełnie talent i czucie poety. Są to treny bez prawdziwego żalu, boleść udana, na zimno, bez koloru, bez prawdy. *Żale* te, zdaniem naszém, są najlichszym płodem pióra Kniaźnina. Jakby jeszcze raz na umyślne sprzeciwieństwo, sztucznie ułożone, aby jedno drugie w potrzebie wesprzeć mogło, przychodzi nam, rozebrawszy skrzywiony żal Orfeusza, zastanowić się nad równie skrzywioną wesołością pieśni Anakreona. Rodzaj ten nie mógł przy-

stawać ni do umysłu, ni do serca Kniaźnina. Materjalne uciechy, ziemskie, poziome cele, życie i szata Bachantki, nie były do twarzy kochankowi Klimeny. Jeśli mamy sądzić te ulotne prace Kniaźnina podług ogólnego wyobrażenia, jakie o jego talencie mamy, jeślibyśmy chcieli wytłumaczyć to zjawienie się, jako skutek uczuć i charakteru poety, trudneby było położenie nasze, albowiem nic się nam nie zdaje sprzeczniejszém z stanowiskiem, jakie Kniaźnin zajmuje, jako wyższy liryczny poeta, jak te śpiewki wpół-trzeźwe, jak te piosnki lekkie, wesołe, obłożone liśćmi winogradu, ostawione flaszami wina. Rzecz zapewna jest niewątpliwa, iż talent Kniaźnina zupełnie liryczny, trudno musiał się nagiąć do tych form zupełnie sprzecznych wysokiemu swemu powołaniu, jakoż zawsze podług naszego wyobrażenia, jakie wynikło z rzeczywistego, jak się nam zdaje, pojęcia jego poetycznych zdolności, chcąc je zastosować do tych ulotnych piosenek, trudno możemy sobie wystawić poetę, którego serce zaprzątnione

wielką namiętnością, musiało nadawać jego fiziognomii jakiś wyraz posępny i tkliwy, razem ocknniętego z tego uniesienia, zupełnie właściwego jego poetycznemu usposobieniu z tą piosnką w ustach:

Kłopot z głowy ulata,
Gdy się winem uraczę,
A sądząc, żem pan świata,
Śpiewam sobie, i skaczę.
Bluszczami uwieńczony
Depcam wszystkie korony,
Bodaj to zgoda, bodaj,
Chłopcze kielich mi podaj,
Ja myślę, że upitym
Lepiej ledz, niż zabitym.

Jeśli każdy stawiąc obok siebie Kniaźnina, jako lirycznego poetę, z tęskną energiją i życiem, nie uczuje przykrych wrażeń na widok tego szczególnego przeobrażenia, kiedy *bluszczem uwity, śpiewa sobie i skacze*, wtenczas może sprawiedliwie będzie mógł nas oskarżyć o zbytnią surowość i niepobłażanie. Jednakże według wyobrażenia, jakie

mamy o godności poety, szczególną nam się wydaje ta anomalija, która razem ze szczytn myśli i uczuć strąca wieszcza na poziome stanowisko biesiadnika *uraczonego winem*.

Stosowniejszemi zapewna do talentu naszego poety były: *Matka Spartanka*, *Temistokles* i *Hektor*. Każdy z tych drammatów był rozwinieniem jednéj myśli wielkiej, ogólnéj, z któréj Kniaźnin czerpał wielką część swych natchnień, wielką część swych lirycznych śpiewów. Myśl tę wielką, głęboko uczutą, chciał wystawić poeta w równie olbrzymich obrazach, ale te prawie były nad siły jego. Ponieważ nam nie zostaje, jak tylko powierzchownie się zastanowić nad samym sztucznym utworem tych drammatów, które tak obrane z całego wdzięku tajemniczego swego istnienia, będą jak mumije suche i bez życia, ledwo tylko kilka słów o nich będziemy mogli powiedzieć. Położenie to będzie jeszcze trudniejszém, skoro się zastanowimy, że w nich sztuka prawie jest żadna, że wszystko zostało poświęcone jednéj myśli, jednemu uczuciu. Ani *Matka*

Spartanka, ani *Temistokles*, nie są to drammata w surowém rozumieniu tego wyrazu, są to tylko dialogi drammatyczne, sceny oderwane prawie, w których poeta wybrał umyślnie osoby, przez które sam przemawia, których uczuciami sam rządzi, sam je nagina do swoich pojęć, chociaż niby historyczne ich położenie jest wierne, prawdziwe. Są to starannie wyszukane przedmioty, ubrane niby w drammatyczne życie, ale zupełnie niewolnicze, ślepo poświęcone jednéj myśli, któréj służą za dopełnienie. Każda z osób składających tę całość, każda scena wzięta przypadkiem, jest prawie żadna pod względem sztuki, służy tylko za środek, za expressiją. Są tam miejsca nadzwyczajnie słabe, że przytoczymy jeden tylko przykład, który posłuży za dowód naszego twierdzenia.

Temistokles wygnany, znajduje się na dworze króla Perskiego, wtenczas właśnie, kiedy Lizymak sprawia się z swego poselstwa, które ma jego wydanie na celu.

NEOKLES.

Ojcze! co myślisz! kędy się przedzierasz?
Strach mnie tych oczu, zdaje mi się każdy
Na ciebie tylko cały wzrok obracać,
Oto straż, oto i sam król, odejdźmy.

TEMISTOKLES.

W tym tłumie ludu, na stronie zostaniem.

NEOKLES.

Ach! niebezpieczno!

TEMISTOKLES.

Dajże pokój, cicho!

Tragedya *Hektor* podpada równie podobnym zarzutom. Więcej mamy sympatii dla Temistoklesa, w którym jest często przezwyciężona wielka trudność, harmonija w nierymowym wierszu. Jakoż widać w niej wielką pracę, której owocem jest ten wierszowy mechanizm, który chociaż obrany z naturalnego swego wdzięku, z tego spadku, do którego ucho nasze tak nawykło, daje się czytać z przyjemnością, i zachowuje swą płynność.

Niech będzie świetny życia mego koniec,
Jako pochodnia, która świecąc gaśnie.

Nie godzien życia, kto przeżyje chwałę,
Zgonu swojego lęka się ów podły,
Co drugim ciemny, co nieznany sobie,
Rodząc się umarł, i niesie do grobu
Całego siebie. Śmiało swego ducha
Oddaje niebom, kto bez wstydu może
Przypomnieć sobie umierając życie!

W *Hektorze* jak i w *Matce Spartance* i *Temistoklesie* są śliczne śpiewy liryczne. Gdzie tylko poeta spotyka właściwe sobie położenie, tak umie z niego korzystać, tak go żywémi ubiera farbami, iż łatwo poznać można w jakim rodzaju poezyi talent się jego najjaśniej rozwijał. Jaki to piękny początek piérwszéj sceny *Hektora*:

Chór Greków.

Hektor! Hektor! zwycięża!
Krwawożerca ten zajadły!
Mężowie! ratujcie męża,
Tłuszcze go Frygów opadły!

Dzida mu ciężka w ramię utkwiona,
Ratujcie Machaona!
Śmierć igra z błyskiem oręża,
A gdzie szalona przeleci,
Ściele trupem greckie dzieci.
Hektor! Hektor! zwycięża!

O przyjacielu mój drogi!
I ciebie przeszył grot srogi,
Poległeś w obcej krainie!
Matka twoja ztąd daleka,
We łzy się, we łzy rospłynie,
Żona młoda w Salaminie
Już się ciebie nie doczeka!
. . . .
Tak i ów strumień wysoki,
Długo więziony w skrzyniach opoki,
Gdy górne deszcze zdrojem wezbrały,
Nagląc go zewsząd rosnącym tłumem;
Runie z wierzchołka przez urwę skały
Z hukiem, łoskotem i szumem;
Runie w doliny, a pijany
W gwałtownym wód swych uronie,
I kłębne pędząc bałwany

Rwącym ryczałtem pochłonie
Groble, brzegi, lasy, grody,
Zboża i trzody.

Śliczne są te operetki, te drammatyczne sielanki, pisane z takim wdziękiem, z taką raźną wesołością, z taką prawdą obrazów. Wszystkie dają się czytać z szczególną przyjemnością, tak je odznaczają właściwy im ton lekki, ochoczy, śpiewki pełne sielskiej prostoty i ujęcia. Zdaje się, że jestem w gronie tych szczęśliwych włościan, że używam w pełni tych naturalnych, nieskrzywionych roskoszy czucia, iż oddycham całémi piersiami tę czystą wonność powietrza, tę lubość natury, okraszoną uśmiechem wiosny, oświeconą słońcem, ubraną taką rozmaitością drzew, pełną światła, cienia, ochłody. Trzeba było mieć serce mocno czujące, nietknięte fałszem i obłudą, trzeba było mieć szlachetne uczucia, czystą wiarę, żeby się tak przejąć tą dziewiczą pięknością natury, żeby tak oddać te obrazy proste, a tak piękne, z taką prawdą i z takiém uczuciem piękności.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Śpiewać ciebie kto wydoła?
Kto użytków, kto twej pracy
Czuje roskosz, my wieśniacy.

My z naszego pijąc Sanu,
Wierni tobie, wierni Panu,
Znamy tylko ten brzeg mały,
Gdzie nas matki kołysały!

Dziękujemy Bogu za to!
Nasza wiosna, nasze lato,
Nasza jesień ubarwiona
Sypie kłosy, roni grona.

Nam się księżyc w nocy śmieje,
Nam poranek rosy leje,
Nam się tylko ziemia godzi,
Wschodzi słońce i zachodzi.

Szumią dęby, kwitnie łąka,
Pagórkami cień się błąka;
Niech się wielki świat przewraca,
Z nami pokój, miłość, praca.

Pieśni te już są zupełnie obce dla teraźniejszej literatury naszej. Kniaźnin a po

nim Karpiński, ze wszystkich poetów minionego wieku sami posiadali tajemnicę ich utworu. Oba skromni, dalecy od zgiełku świata, czystych, nie sfałszowanych uczuciów, pędzili dni swoje wśród tych prostych zabaw, które tak ładnie opisali, wśród natury, której byli wielbicielami. Rozumieli jej mistyczny język, pojęli jej śpiew, wśród długich wspólnych tajemnych rozmów. Ale pojmowali to wszystko sposobem prostym, jak ich serce, z naiwnością dzieci, z roskoszą kochanków, dla tego też oba tyle mają wdzięku, tyle prawdy w uczuciach i stylu. Kniaźnin nadto zajęty silną namiętnością, łatwiej przyjmował wszystkie te wrażenia, dłużej one gościły u niego z całym swym orszakiem nadziei lub strapienia. Te to przemienne uczucia kształciły rzeczywiście jego usposobienie liryczne, one to ciągle wyrywając sobie umysłowe życie poety, ubierały w kolory odpowiednie swoim własnościom, codzienne myśli i czucia Kniaźnina. Szczególniejsze i szczęśliwe usposobienie dla człowieka bogatego zapasem wiadomości naby-

tych z miłością, jak ten naturalny dany im kierunek, jak to niewyczerpane zrzódło wrażeń, którego dnem było serce poety. Pod tym względem prawdziwie artystowskim, wszystkie poezye Kniaźnina dają się najłatwiej zrozumieć, tak cel ich jest jawny, tak pomimo chęci ukrycia, pokazuje się rzeczywistość często straszna, smutkiem jak zasłoną żalu pokryta, ledwo gdzieś jaśniejącym promykiem nadziei odziana, ale tak słabym, tak ziemskim, jak te złote korony świętych na dziecinnym obrazku.

Jednakże życie to musiało być pełném. Mieć zawsze dwa przedmioty, które całą ogarniają duszę, ubierać je według usposobienia, to w jasne kolory szczęścia, to w ciemne farby przeciwności, oprócz tego mieć serce tkliwe, drażliwe na każde zewnętrzne wrażenie, odbijające w sobie każde echo, każde wstrząśnienie umysłowego życia, umieć czuć piękności natury, ubierać je w formy gustowne i kształtne, jeżeli kiedy, takie własności musiały utworzyć prawdziwego poetę. Własności te szczerze morał-

ne musiały rozwijać się z ujmą szczęścia i spokojności, do jakiej człowiek wzdychać może, ale działając bezprzestannie, wpływ ich nie mógł być inny, jak tylko najwłaściwszy powołaniu poety. Smutny zapewua był koniec tego zajętego życia, ale też trudno nie przypuścić, aby w tej ciągłej walce nie błysły czasem chwile spokojnego szczęścia, wewnętrznej ciszy, które tak rzeźwiły serce jego, jak spragnioną ziemię po skwarnym dniu i błyskawicy rzeźwi ciepły i wonny deszczyk majowy. Jak wtenczas rozrzewniony czuciem Kniaźnin musiał oddychać z lubością tém powietrzem przepełnioném nadzieją i szczęściem! Chwila ta musiała mu hojnie nagradzać przeszłe strapienia, bezsenne nocy, dni pochmurne życia, bez zachodu i wschodu!

Tak sobie wystawiamy Kniaźnina podług wrażeń, które w pismach jego napotkać nam się zdarzyło. To co zostaje, oprócz Od Horacijusza, w młodym bardzo wieku tłumaczonych, jest już odpoczynkiem, pochyłością, która go wiodła do smutnego rozwią-

zania jego drammatycznego życia. Pienia Ossiana i pieśni sielskie szczelnie przypadały do jego tęsknego położenia, nadzieja już odbiegła jego serce, już walki nie było, rezygnacyjna posępność opanowała zupełnie jego umysłowe władze. Czuł mocno i musiał szczérze uwielbiać te pieśni bardów Kaledonii, jakoż w nich zostawił niezatarte ślady swojego talentu. Pomimo tego, iż w niektórych miejscach wiersz ten nierymowy ujmuje im wiele wdzięku i życia, jakaż jednakowo różnica między tłumaczeniem jego a tłumaczeniem Biskupa Warmińskiego! Jest to ostatnia praca jego, któréj nawet nie dokończył, zerwawszy ostatnie ogniwo umysłowego życia. Tu można razem z poetą powiedzieć:

Często uczucie spali, czego myśl nie złamie.

Pośmiertne Ody ustalają jego liryczny talent. Pomiędzy poetami naszymi ubiegłego wieku, Kniaźnin, jako liryczny poeta, chlubne zajął miejsce w literaturze naszéj. Nikt go nie przeszedł w czystości języka, w tkli-

wych uczuciach, z życiem i ciągłym wdziękiem oddanych. W ciągu tych kilku uwag staraliśmy się okazać postęp i wzrost jego talentu, który zawsze jaśnieć będzie z chwałą w literaturze naszej.

W pośmiertnych tych odach widać już posępną i spokojną rospacz, której się oddał. Były to jak schody, po których wstępował do jedenastoletniego umysłowego więzienia. Wszędzie zostawił dotykalną tę boleść swoją bez nadziei, i to serce Klimeny *jak opoka.* Ale posłuchajmy jego własnych wyrazów:

Ale jakoweż czasy niezbyte
W oczach Klimeny słodko wyryte,
Tak silną i tak przyjemną
Dały jej władzę nade mną?

Wśród wszech nadziei, które mi stają,
Jej tylko szukam, dla niej łyskają,
Co tylko chwytam, co snuję,
Ją w każdej myśli znajduję.

Próżny na łące kwiatów dostatek,
Nie świeżym dla niej z rąk moich kwiatek,

Próżny usiłek i w rymie
Odjęło słodycz me imie.

Gdzie oczy zwrócę i moje żale,
Ją wyobrażam na każdej skale,
Jak zorza ogień z jej oka,
A serce jak ta opoka!

Przykre musiał Kniaźnin rzucać wejrzenie na tę przeszłość, która mu tak czarne zostawiła wspomnienie, kiedy je tak posępnie maluje:

Jak samotny na ugorze,
Co jeno wiatrem oddycha,
W cichej kwiat polny pokorze
Słania się, więdnie, usycha,
Upłynęliście dni moje!..

Odtąd płynęły dni jego, ale ich mruczenia już nie słyszał poeta nieczuły na wszystko co go otaczało. Błądził samotny wśród tych miejsc drogich dla niego pamiątką, która go odleciała, jak widziadła snu, trwożne, mamiące, ale niepowrotne!... My zaś, co już dla niego jesteśmy potomnością, za-

mieńmy w rzeczywistość to, co z tak skromną wątpliwością powiedział:

Jeśli nadzieją mam pochlebiać sobie,
Rzuci potomność kwiat na moim grobie.

d. 4 Marca 1838.
Szandra.

Konstanty Podwysocki.

WYJĄTEK Z POEMATU

DYMITR WIŚNIOWIECKI.

V.

Słuchaj — przegrzmiała sława starożytna,
I pieśń jéj tylko jak chmurka błękitna,
Kiedy się zachód wulkanem zaleje,
Niebo i ziemia i woda goreje,
A ona jedna płynie jak tęsknota,
Jako wygnaniec — samotna. O! grodzie!
Czas twéj kolumny nigdy nie zdruzgota,
Kiedy na twoim przeszłości zachodzie,
Chmura pamięci będzie myślą płynąć;

Ona i w grobie nie da ci zaginąć,
I całkiem połknąć paszczy Mahometa.

Dniem czas za nami, przed nami ciemnica.
Gdzie tryumfował niegdyś Bełizary,
Teraz Soliman. A tyś jak kobieta,
Która otarłszy zapłakane lica,
Z nowym małżonkiem roskosze podziela.
Spytajże teraz twego przyjaciela,
Twego małżonka — czego dla twej wiary,
Dla twoich dziatek nie ojcem — tyranem!
Wszak swoje skrzynie napełnił twém wianem,
O twoim chlebie tyle złamał ludów,
Twemi połami tak szeroko sięga.
Ach marny oklask dla zwycięzkich cudów,
Kiedy ze zwycięztw nie pomyślność ludów,
Ale się nędza i boleść wylęga! (*)

(*) Turcy każden podbity kraj dzielą na trzy części: dobra Sułtańskie, Meczetowe i tymary wojskowe. Puszczają je w dzierżawę temu który da więcej. Każden Pasza ryczałtowie zapłaciwszy do skarbu, dowolne na każdego mieszkańca nakłada podatki. Obdarłszy należycie, zebrawszy miljony, pragnie niezależności;

Co to w obłoku ze mgły się przeciska,
Białe, błyszczące? — to Justynijana,
Pól księżycami świątynia tak błyska.
Wstyd Bizańczycy! ona teraz szepce,
Wędrownym chmurom, tej milczącej wodzie,
Jaka jej hańba od wrogów zadana.
Wam się nie skarży — bo już w waszym rodzie,
Małej dziecinie matka przy kolebce,
Rzadko nad-dziadów starą pieśń zanuci.
A tu Padyszak na Baukoleonie
Waszych Cezarów firmany obwieszcza,
Więzi wam córy. W złocistej obsłonie,
Wkrótce niepamięć bezbożną narzuci
Na waszą przeszłość. Na rynku wkopany,
Wszak stoi trójnog delfickiego wieszcza,
Wieniec platejski — wam zaledwie znany. (*)

---

i częstokroć występuje do boju przeciw prawej władzy.

(*) Po bitwie Platejskiej Apolinowi delfickiemu posłali Grecy trójnog brązowy, którego Konstantyn W. sprowadził do Konstantynopola. Stoi dotąd na rynku nazwanym Atmejdam. Pod: do Tur: Ed: Hr: Raczyńskiego.

Jako pancerze pozłocistych gadów,
Między gruzami zgubione — czernieją:
Ach jakże łacno wnuki nikczemnieją
Na starych grobach zwycięzkich naddziadów.

Cóż to na lewo?—Ulicą od Pera,
Jako Dniestr, kiedy brzegi porozpiera,
Na Pobereżkie niziny wylany,
Ruchoma massa rozciąga się, płynie.
Dzidy migocą, bielą się turbany,
Chorągiew Ody Sejmanów rozwita,
Błękitną piersią wiatr pod skrzydła chwyta,
A zastęp Spahów boki jej ostawia.
Sprawa wojenna.—Jaki w tej godzinie,
I w tej tu stronie wróg się im pojawia?
Wrogi daleko — tu niema ich śladu —
W Bagdadzie tylko i koło Belgradu (*).

VI.

Cacko dla dzieci — to motyl nad wodą
Podraźnia rybki kolorami skrzydeł.

(*) Około tego czasu (1563 r.) Soliman I. wspierał zbrojnie Stefana Zapolego w Węgrzech, i napastował Persów, że dali przytułek synowi jego Bajazetowi.

Oni tryumfem bawią Chrześcijany:
Widać rozbite ciężko niepogodą,
Na lądzie, albo na morzach — Osmany.
Lgnie niby mucha do pajęczych sideł
Uliczna zgraja: ciżba się pomnaża.
Kędy przechodzą, gdzie trąby dolecą,
Każda się z ludzi ulica obnaża.
Cisza za nimi — a w ciszy za nimi
Psy postępują i oczami świecą.
A stado kawek skrzydłami czarnémi,
Jak piorunową chmurą osępiają.
A ku Galacie na dół się skręcają,
A tam zatoka niby pas od chmury,
A nad zatoką Genueńskie mury,
Jak kościotrupy sterczą poczerniałe.

Dalej pociągnij wejrzenie nieśmiałe,
Tam ponad morze — i oni wzdłuż brzegu,
Niby żurawie w podłużnym szeregu
Zwolna się ciągną. Kotłów i trąb wrzawa,
Niby wodospad szumem się rozlega.
A w tym to szumie ucho cóś poznawa,
Dreszcz mimowolnie po ciele przebiega—

Słychać brzęk kajdan: — nic, to nie kajdany,
To tylko Paszy koń źle okowany
Podkową brzęczy. Włócznie najeżone,
Po ostrzach uśmiech słoneczny się pali,
A mur przed nimi długi, czarny w dali,
A jego barki na przód wychylone,
A wieża w morzu. Od muru do wieży
Z pospolitego nikt ludu nie bieży,
Stają za murem: — tylko uzbrojone
Spahy, Janczary, jak w grotę zaklętą
Hurmem się wparli. Bramę zatrzaśnięto.

VII.

I wystąpiła piastunka grobowa,
Jak upior — cisza. Słowa ni pół słowa
Usta nie mają; a ludzi tysiące.
Oczekiwanie. Minuty męczące,
Jak wieczność długie, gdy czas pożądany
Żółwiem się wlecze. Nieraz to przed burzą,
Mrok lekki, cichy, i ciche tumany,
Wonne, powiewne ścielą się po łące.
Nie będzie burzy — Turcy się nie chmurzą,
W pogodzie czoła: — tylko Chrześcijany,
Jakoby przez szkło dymem okopcone,

Patrzą na siebie: — a widać z ich oka
Jakąś obawę, — czegoś zamyślone.

Nad wieżą sztandar, jak pająk z wysoka,
Pływał z wiatrami.—Wstrzymaj zapytanie,
Słowa umarłe:— lecz patrzaj!— po ścianie,
Jakieś żelaza jak węże skręcone,
Stérczą rzędami. A drzwi wązkie szare,
Niby płat pleśni, lub krwi stara plama,
Czernią nad niemi. Znowu obudzone,
Jakoby w sercu przypomnienie stare,
We wnętrzach muru czegoś kotły grzmiały,
I znów ucichły — tylko wrzawa sama,
Aż za Bosforem biegła drażnić skały.

W tejże godzinie te żelazne, małe,
Drzwi się rozwarły — a lud znowu oczy
Jak za księżycem na nowin potoczy (*).

(*) Niemal wszystkie wschodnie narody modlą się do księżyca, gdy jest na nowiu. Widziałem i naszych wieśniaków żegnających się, i często modlących się, mianowicie, gdy cierpią ból zębów.

A tam głęboko, ciemno, jak w kraterze,
A w tej ciemnicy, jako na papierze
Czarnym wyklute,—jakieś widmo białe,
Klęczy, i niby odmawia pacierze.

Przestrach — ciekawość. Czy duch się pojawił,
Aby ludowi temu błogosławił,
Albo przeklinał?— a niema odwagi
Badać, odgadnąć. Widmo się ruszyło,
I coś tam w głębi zaszczękło, zawyło. . .
Duch na krawędzi:— nie duch — człowiek nagi,
Związane ręce, za ramie ujęty,
I na te węże żelazne popchnięty,
Jak ptak w powietrzu na haku zawisnął.
Czerwony strumień zpod żebra wytrysnął,
Bryzgał na ścianę, kipiał. O mój Boże!
Jeszcze nie koniec: — drugą z tego piekła
Ręka szatańska ofiarę wywlekła,
I ten na haku znalazł swoje łoże.
Męczeńska głowa zwieszona ku wodzie:
Uwiązł za udo. Ach w którym narodzie,
Na jakiej ziemi porosły te zioła?
Ogień przegryza, a one zielenią.

Pierś ich jakoby z metalu wykuta,
Nie puszcza jęku: strach nie dotknął czoła.
Zbrodnie takowém męztwem nie promienią.
Za jakie grzechy tak ciężka pokuta?

Józef Kotoni.

USTĘP

Z PAMIĘTNIKÓW STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO.

Pamiątka XI.

Chociaż urodziłem się Litwinem, ziemianinem Nowogrodzkim, i to mam sobie za zaszczyt, a wzdłuż i wszérz i nieraz poznałem całą Polskę, jednak muszę przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierżawą. Tam ziemia bez pracy prawie obdarza rolnika, bydło tuczy się bez dozoru, mnóstwo koni i owiec okrywa pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą jak błogie jest ich życie. Słyszałem że potém jak ogromne majątki naszych dawnych panów poszły w rozdrób między przycho-

dniów różnego gatunku, to tych nowych posiadaczy niełudzkość często przyprowadziła do smutniejszego stanu rolników tamecznych, niż gdzieindziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może, ale mówię tylko o tém, co było za moich czasów i na com patrzał.

Piérwszy raz kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu, aby zastanawiać się nad pięknością. Było to w roku 1763, kiedy po porażce naszéj pod Gonyczaninem ze szczątkami przebiegliśmy szybkim przechodem cały ten kraj széroki, aby jak najprędzéj dostać się na Wołoszczyznę, czegośmy dokazali pod wodzą JOXięcia Radziwiła Wojewody Wileńskiego. Patrzałem jak on ciągle na koniu, zawsze się znajdował tam, gdzie największe było niebespieczeństwo, i jak w najsmutniejszych przygodach, żadną chmurą nie oziębiał naszéj nadziei. Byłem świadkiem jak pod Sawińcami, już blisko Dniestru, którego przejście było kresem naszych życzeń, kurtka jego była kilkakrotnie przeszytą wystrzałami karabinowemi, a kula armatna padła o kilka kroków od niego, po-

tém podniosła się i znowu upadła przy jego nogach; którą to kulę, ważącą dwanaście funtów kazał podnieść, a potém takowéj wagi z szczérego srebra odlać i takową ofiarował Najświętszéj Pannie Boruńskiéj, gdzie ją widziano zawieszoną przed jéj obrazem, nim ją zabrano w czasie rabunku tego kościoła.

Otoż tedy potém JW. Ogiński Wojewoda Witebski wysłał Pana Azulewicza Tatara, ale obywatela zacnie urodzonego, co był potém pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach Rzeczypospolitéj i ze mną sąsiadował aż do śmierci w swojéj wiosce dziedzicznéj. Otoż z rozporządzenia Jeneralności JW. Ogiński wysłał go do Iślam Giraja Hana Krymskiego, aby przy nim prowadził nasz interes i do téj jeneralności zgłaszał się donosząc o każdéj rzeczy przez posłańców, ale tylko ustnie, bo nie było sposobu wdawać się w papiérki. Wysłano nas czterech młodzieży, na których spuścić się można było. Bo i Pan Azulewicz nie wiekiem, ale wziętością od nas był starszym: biegły w języ-

kach Bisurmańskich, posiadał ufność Jenerałności, a której nigdy nie zawiódł. Było nas czterech jemu dodanych, P. Michał Ratyński Cześnikowicz Miński, P. Wojciech Massalski Regentowicz Oszmiański, P. Mikosza, co dobrze bisurmańszczyzny wyuczywszy się, został później tłumaczem Rzeczypospolitej w Stambule, i ja: a każdy z nas musiał osobno jechać dla uniknienia podejrzenia. Dopiéro w Humaniu łączyć się nam trzeba było, gdzie Pan Władanowicz rządca jeneralny, miał instrukcią JW. Potockiego Wojewody Kijowskiego, swojego Pana, aby nas opatrzył w to wszystko, co tylko Pan Azulewicz zarekwiruje. I chociaż nas aż z Preszowa wyprawili, każdy swoją drogą do Humania szczęśliwie trafił, prócz Pana Massalskiego, co został złapany przez komendę królewską i jako szpieg powieszony, bo nie chciał odkryć danego mu polecenia. Gdyśmy się połączyli w Humaniu, a opłakaliśmy przygodę naszego nieodżałowanego kolegi, nie zapomnieliśmy także o jego duszy. Bo Pan Władanowicz porządne exekwie w ko-

ściele OO. Bazylianów mu sprawił, na których nie tylko my, ale nawet P. Azulewicz, choć Mahometańskiego obrządku, modlił się; a potém układaliśmy dalszą naszą podróż. Trzeba się było nam udać naprzód do Siczy Zaporożskiéj. Semen Kozyra Koszowy Zaporożski, będący w ścisłych stosunkach z Jeneralnością, skończył był dopiero życie, jakośmy o tém dowiedzieli się w Humaniu; nadchodziły wybory na jego następcę. Ta strata była dla nas bolesną, bo był przyrzekł, że się z nami złączy z wojskiem, którego mógł zebrać więcej trzydziestu tysięcy. Szło tedy o przychylność nowego koszowego, a mieliśmy po sobie Dziemdziuryka pisarza Siczy, który tém mocniej nam pomagał, że miał być rodowitym szlachcicem Polskim. On to ku nam był skłonił Semena Kozyrę, bo miał być człowiekiem oczytanym, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całém Zaparożu. On byłby sam wyniesiony na stopień koszowego, coby dla nas było bardzo pomyślnie, ale że wedle ich praw koszowy nie powinien był umieć ni czytać, ni

pisać, więc musiał poprzestać na pisaryi, drugim stopniu na Siczy. Pan Mładanowicz wyprawił nas z gorzałką swojego Skarbu do Siczy, jako należących do Ekonomii Humańskiej. Z batogiem w ręku przy podwodach wołowych idąc, raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców, ale za okazaniem świadectwa Ekonomii puścili nas natychmiast. Dodał nam był P. Mładanowicz kilku kozaków Humańskich doświadczonych, co już gościli w Siczy: myśmy się dali im powodować tym chętniéj, że się okazali szczérze przywiązani do naszego wspólnego kraju. Przybywszy do Kahorlika miasteczka należącego do włości Humańskiéj, a na którém kończyła się Rzplita, trafiliśmy na czas jarmarku. Lubo miasteczko składało się tylko z wielkiéj karczmy skarbowéj nad samą Siniuchą i kilku domowstw żydowskich, jednak zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, kozaków, chłopów i żydów dla kupna lub przedaży koni, bydła, łoju, ryby suszonéj, smoły i innych tamecznych towarów. My z podwodami stanąwszy przy karczmie, a

woły na paszę puściwszy, weszliśmy do izby szynkowéj, gdzieśmy zastali mieszaninę różnych narodów. Wieśniaczki Ukrainy uderzały nas wykwintnością swoich ubiorów. Widać było, że bogatszy kraj niż Litwa nasza. Na każdym prawie żupanie galony błyszczały, a co tam było koralów, na jednéj szyi czasem na kilka tysięcy. Kiedyśmy weszli, wszyscy słuchali ślepego bajarza, co grając na lirze śpiéwał im różne wypadki bądź z Pisma Śgo, bądź z dziejów Ukraińskich. Śpiéwał on wszystkie okoliczności porwania xiężniczki Ostrogskiéj przez Dymitra Kniazia Sienguszkę. Uważałem, że najwięcéj zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra Kniazia Dymitra i szlachtę i kozaków jego dworu i Xiężny Ostrogskiéj dobra i sług obojga płci, wszystkich po imieniu nazywając. To jak wymieni jakie imie, co je nosi który z parobków lub dziéwek przytomnych, natenczas śmiéchy i pokazywanie palcem tego lub téj co się wymieniło. Myśmy byli ubrani jak chłopy Ukraińskie, więc na siebieśmy oczu nie zwracali; P. Azulewicz

siadł między Tatarami, i z nimi zawiérał znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno, bo po Tatarsku mówił jak rodowitym językiem: Pan Mikosza zajadał kaszę jaglaną, co mu do izby szynkarka przyniosła; Pan Michał Ratyński był tylko dziéwkami zajęty i bardzo się do jednéj zalecał, czém mnie nie mało nafrasował, bo żaden z nas nie umiał tłumaczyć się językiem stosownym do stroju, który przybrał. Aleśmy przynajmniéj milczeli, a Pan Michał ciągle z Litewska coś plótł pięknéj dziewczynie, czém mógł nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bo mogliby nas odkryć i dopiéro byłaby biéda. Ale nic Pana Michała nie mogło oderwać od Ukrainki, która lubo z jego mowy czasem się naśmiéwała, okazywała jednak, iż mu rada. A ja, łubom był wieku równego jemu, tylko śpiewem bajarza byłem zajęty, że od niego nic mnie oderwać nie mogło. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artem Jełowicki dziedzic czternastu wsi, był marszałkiem dworu Xiężny Ostrogskiéj, że na czele jéj ludzi tak

się był wsławił pod Suczałą przeciw Wołochom, że Król Zygmunt ofiarował mu Chorąższtwo nadworne Litewskie, ale on nie przyjął tego zaszczytu, z powodu, że Xiężna Ostrogska bez niego swemu Dworowi rady nie da, a że wzrosłszy na usługach Kniazia Jlii, nie godzi mu się opuszczać jego wdowy, a według Ewanielii dwóm Panom służyć nie może. Jakoż dopiero po jego śmierci Kniaź Dymitr najechał zamek Ostrogski. Że Kniaź Czetwertyński dziedzic Komajgrodu, towarzysz Kniazia Dymitra i Wasila w tym najeździe, był synem Ostafiewa, który swoim kosztem utrzymywał pułk kozaków w służbie Rzplitej i wielce był jéj zasłużonym. Bardzo mu się chciało Kasztelanii Bracławskiéj, którą jemu Król przyobiecał, ale panowie rady nie dopuścili téj obietnicy uskutecznić, chcąc wprzódy do wiary Rzymskiéj jego pociągnąć, aby za jego przykładem wiele innéj szlachty Ruskiéj nawrócić: ale on był zatwardziały i mówić sobie o tém nie pozwalał: a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozją-

trzony. O czém dowiedziawszy się przeciwna strona wysłała jakiegoś posła, aby go namówić do siebie, a za to nie Kasztelanem, ale Kniaziem udzielnym Bracławskim zostanie. A on mu na to odpowiedział: *skaży tomu kto tebe prysław, szczo Kniaź Jewstafij Czetwertyńskij didycz Komajhroda, a Pulkowuyk Korola i Riczypospolitoj tobi skazaw, szczo maty persze pobje, a potom pomyłuje, a matczycha persze pomyłuje, a potom pobje.* I z tém go odprawił. Jak skończył bajarz śpiewać a czapkę nadstawił, piętaki w nią padały, że aż się przepełniła, potém młodzież wzięła się do pląsów: pierwszy raz widziałem jak kozaka tańcują. Osobliwie jeden kozak prześlicznej urody z niewidzianą zgrabnością tańczył, prysiudy, jak oni nazywają, przy saméj ziemi robił, potém do góry skakał i znowu spadał hołubca bijąc, a to wszystko czynił grając na bandurce a po naszemu na torbanie i śpiewając ukraińskie miłośne piosenki. Dziewki ledwo go oczami nie jadły. Ale co nas uderzyło najwięcej, to kilku kozaków, których strój

przepychem znacznie się różnił od wszystkich innych. Nosili szarawary granatowe z galonem złotym szérokim, półkontusze ponsowe z wiszącemi wyloty, żupaniki z białego atłasu, pasy jedwabne z frędzlami złotémi i czapki wysokie z siwego baranku, z wierzchu których wisiał jakoby worek ponsowy z kutasem złotym. Od kobiét widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która do nich się przybliżyła. Ale wszystkich mężczyzn znajomych i nieznajomych gorzałką i miodem traktowali, obowiązywali do picia i sami tęgo pili, a tak, że żyd arędarz wiadrami na ich rozkaz gorzałkę i miód nosił, a co przyniesie wiadro, natychmiast się wypróżni. I nas także częstowali z prostą ale obowiązującą grzecznością tak, żeśmy nie mogli im odmówić spełnienia parę szklanek miodu. Tu mnie wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ust nie otwiérać zapytałem jednak żyda, co to są za ludzie tak bogato ustrojeni. A on mnie, co to wy cudzi, że nie znacie Zaporożskich kozaków. Oni w dziesięć podwód z rybą chodzili do

Humania i tam rybę przedali, ale, że dowiedzieli się że ich koszowy pomarł, nie mieli czasu zarobku swego przepić w Humaniu, bo spieszą nowego wybierać. Z próżnemi furami na Kahorlik wracając do Siczy, tu wozy i woły poprzedawali, to moje szczęście, bo wszystko tu przepiją i goli do siebie powrócą. Te bogate żupany oni w Humaniu sobie posprawiali, bo na Siczy nie godzi się im tak stroić. Nim słonko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak jak chodzą u siebie. To jeszcze więcej zaostrzyło moję ciekawość i niecierpliwie wyglądałem wieczora, bo dopiéro przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać, z powodu nieznośnego upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać, bo dwie godzin nie upłynęło jak zaczął żyd ich rachować, zabrał im wszystkie pieniądze, tak, że każdemu po kilka piątaków tylko się zostało. Oni naówczas kazali podać sobie kadkę napełnioną dziegciem i jeden po drugim w pięknéj swojéj odzieży w nią właził i zanurzywszy się w dziegciu po szyję, wyłazil z kadzi, rozebrał się i ca-

ły swój ubiór, jakby gardząc marnościami świata, na ulicę rzucał, aby go wziął kto zechce i czapkę to samo, równie w dziegciu ją powaławszy. Potém każdy wdziewał koszulę w łoju zmaczaną i brudną siermięgę, w któréj z Siczy wyszedł, i z batogiem w ręku dobrze pijani wyszli nikomu nie powiedziawszy bywaj zdrów. Pan Michał Ratyński pomimo moich nalegań, żeby się wyspał, bo przez całą noc iść nam będzie trzeba, nie mógł się wyrwać od swoich zalotów; nawet się puścił w pląsy z parobkami i dziéwkami, czém bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł w prysiudy. Ale P. Azulewicz, P. Mikosza, kozacy Humańscy i ja, w sieniach słomy miętéj hojnie namościwszy, aż do godziny przeznaczonéj dalszemu pochodowi, porządnegośmy wczasu użyli. Jeszcześmy szli dwa dni gołym stepem, ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie było widać, tylko ogromna przestrzeń podobna do morza w dniu spokojnym: napotykaliśmy tylko mogiły oddalone jedna od drugiéj w pewnym wyrachowanym porząd-

ku: które to mogiły służą kozakom za czaty i za sposób nie zbicia się z drogi w czasie zimowych zamieci. I tak bezludną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości Siczowych kozaków. Tam między skałami były porobione *jazy* czyli tamy do łowienia ryb, i tam zastaliśmy Assaułę, przy którym w niebytności Pułkownika będącego w Siczy na wyborach, zostawało dowództwo pułku Korsuńskiego stojącego w Gardzie na straży. Nasi kozacy zameldowali nas jemu, a on wszystkich uprzejmie przyjął i dodał nam dla konwoju jednego towarzysza Siczowego z buzdyganem żelaznym wielkim, najeżonym kolcami. Nasi kozacy wytłumaczyli, że widok tego buzdyganu, jest dostatecznym, aby nas od wszelkiej przykrości zasłonić, i że chociaż Zaporożce są skłonni do rozboju, z tym buzdyganem możemy być spokojni. — Że przechodząc przez ich ziemowliki, będziemy jednak często nawiedzani od towarzyszów i ich czeladzi, że każdy pić będzie gorzałkę z podwód ile mu się

podoba, ale na tém Ekonomia Humańska nic nie straci, bo byle kufę choć próżną przywieźć do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, że ona wypróżniona została po drodze przez Zaporożców, zapłaci za nią tak, jakby była pełną. A że Zaporoże dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka Ukraińskiego: jeżeliby więc przypadkiem konwojowane podwody jaką szkodę poniosły, pułk, w którego obwodzie toby się stało, całkowitą szkodę winien jest wynagrodzić. Dowiedzieliśmy się, że oni bardzo często pierwéj rabowali Humańszczyznę, ale Pan Ortyński rządzca Humańszczyzny, który umarł Podczaszym Bracławskim, ubezpieczywszy Humań w około fosą głęboką i ostrokolami a wyćwiczywszy milicią nadworną JW. Potockiego Wojewody Kijowskiego, nie tylko że ich odpierał i raz tyle téj zgrai nabił, że aż pięć mogił na przedmieściu Humania na ich ciałach usypał: ale jeszcze i na samą Sicz napadał, ziemowliki ich palił, trzody, stada zabierał, a tych Zapo-

rożców, których brał żywcem, w dyby zabijał i w Humaniu do ciężkich robot zmuszał. A że to kilkakrotnie się zdarzyło; więc Bundur Mamałyg, co był natenczas koszowym, z Ekonomią Humańską i Smilańską zaprzysiągł wieczny traktat, że już odtąd nie będą Zaporożce rabunków popełniać w Polszcze, ale za świadectwem władzy swojej wolno im będzie przybywać dla handlu do Humania, Smily i innych dzierżaw domów Potockich, Lubomirskich; a officialistom i poddanym włości Humańskiej i Smilańskiej za świadectwem Ekonomii wolno będzie także dla handlu bywać w Siczy, do niej jadąc przez Gardę, gdzie była straż Zaporożska od granicy Rzeczypospolitej i buzdygan ma być w ręku naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Gdyby jaki Zaporożec przeciw temu traktatowi wykroczył i najmniejszej się kradzieży dopuścił, bądź we włościach wzmiankowanych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy śmiercią go karał, po osądzeniu sprawy przez Sędziego Siczy, a

napisaniu dekretu przez Pisarza. A śmierć była zadawaną następnym sposobem: winnego przywiązano u słupa, i obok niego kładziono stos kijów i kadź gorzałki; każdy tedy kozak koło niego przechodząc gorzałki się napił i kijem go uderzył, i póty bili i pili, póki mu życia nie odebrali. Takową śmierć niedawno był poniósł Tymosz Podkujko Solowej, Attaman i poeta Zaporożski, którego pieśni w obydwuch Ukrainach śpiewają, a to z powodu, że koszowy Semen Kozyra, ten sam którego śmierć, dopiéro nastąpiona, była dla nas nieodżałowaną stratą, przyjmując u stołu swojego przybyłych officerów w interesach Carowéj, kazał, jak u nich we zwyczaju było, przy końcu obiadu Sołowiejowi grać na bandurze i śpiewać. On chcąc się gościom przymilić, ułożył na prędce piosnkę, w któréj między innemi rzeczami było, że Lachy ubogie, bo choć żonki sami mają, dla ich popów żonek nie wystarcza: Zaporozcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą; a Moskale najbogatsi, bo

mają żonki i dla swoich popów i dla siebie. Otoż po odprawieniu Officerów koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę Solowieja, że ważył się naganiać ustawy Siczowe, i jako przekonany o tę zbrodnię był kijami ubity, pomimo, że względy u koszowego i wielką miłość miał w całém Zaporożu. Tak wielkie jest u nich uszanowanie dla swoich praw. Rzeczywiście oprócz popów, których jest tyle ile pułków, to jest 40stu, z których niektórzy byli żonaci, żadnéj kobiety niebyło w całéj Siczy i żadnéj nie wolno było nogą na jéj posiadłości stanąć. Ludność Zaporożska utrzymywała się, raz przyjmowaniem do siebie zbiegów bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściéj najgorszych hultajów, którzy na Siczy poddawszy się pod ostre prawa dochowywali wiernie ich przepisów; drugi raz z chłopczyków za granicą kradzionych, których przysposabiali za synów, a którzy po nich odziedziczali majątki. Jeżeli kozak umierał nie zostawując przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był podzielony, połowę brał koszowy dla

siebie, a połowa dostawała się Cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk, z tego powodu Cerkwie były u nich bogate. Oprócz tego koszowy miał wielką wyspę na Dnieprze, na której osadzonych kilka wsi chłopów żonatych czynsz mu płacili i jego był wyszynk gorzałki. Często kozacy synów tych chłopów przysposabiali. Koszowy i urzęduicy, (których było dwuch tylko, pisarz i sędzia), ubogiém odzieniem swojém nie różnili się od prostych kozaków, a ich mieszkania skromne odznaczały się tylko obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każdy pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec, na utrzymanie kureni, a w każdym kureniu Pułkownik utrzymywał za to kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich tak rejestrowych towarzyszów, jako ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać. Tak rozmawialiśmy z kozakami Humańskimi o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem co był

jego siedliskiem: bo już nie goły step, ale gdzieniegdzie okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbiną. Smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać, żadnej pracy nie chciał znosić Zaporożec, rolnictwem się brzydził, a nawet sadem rzadko który się bawi. Próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Siczy. Że pułków było 40ści, a każdy pułk miał swoją karczmę drewnianą i długą, te więc 40 karczem składały rynek i to było całe miasto Siczy. Prócz tego była Cerkiew, chałupa Protopopa, Koszowego, Pisarza i Sędziego. Chałupy obszerne, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tém tylko się odznaczało, że obok chałupy była wielka stajnia murowana, w któréj koszowy do sześćdziesiąt koni utrzymywał i to był cały jego zbytek. Stanąwszy na rynku poszliśmy prosto do Pisarza, któregośmy zastali przed swoją chałupą na zydlu siedzącego z fajką w gębie: był to człowiek przynajmniej siedemdziesięcioletni, ale czerstwy. Rysy jego twarzy

niełada okazywały człowieka; on już był przygotowany aby nas przyjąć i z Panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił nas wszystkich czterech, byśmy się do jego chałupy wnieśli i zaprowadziwszy nas do niej, mówił do nas czystą polszczyzną nawet z wymową Litewską. Powiedział nam: źle się zrobiło, bo tylko co obrali koszowym Jura Majborodę. Intryga jego wyniosła. On jest fanatykiem, uroił sobie, że jak Polska pozbędzie się nieprzyjaciół, to Sicz zmusi do Unii, z tego powodu wpływy mieć będzie nad nim nasz Protopopa, który jest zawzięty na Polaków, za to że na pal wbito w Żytomierzu jego siostrzeńca. Pokąd tedy władać będzie Majboroda, nie możecie się od nas spodziewać pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam, a potém niech który z Panów nazad pospiesza do Jenerałności z tém, co wypadnie jéj powiedzieć. A teraz muszę iść na ceremonię wnijścia Koszowego w swój obowiązek, co długo trwać

nie będzie: a wy z daleka stojąc możecie się temu przypatrzyć, potém wrócicie do mojéj chałupy i na mnie czekać będziecie. Będzie uczta wielka u Koszowego, on wieczerzę całéj Siczy sprawuje, wszyscy się na śmierć popiją oprócz mnie: bo w dzień wyboru Koszowego i obchodu jego rocznicy, Pisarz żadnego mocnego trunku do ust przybliżyć nie może wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza, a prawo chce aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy. To wyrzekłszy, natychmiast wyszedł wziąwszy papiér w rękę i kałamarz, a za ucho włożywszy pióro, by zapisać akt Inauguracii. Po niejakimś czasie i my poszli na rynek, gdzie już było mnóstwo Kozactwa przed karczmą pułku Czehryńskiego, w któréj był nowy Koszowy, niegdyś Assauła w tymże pułku. Z wielkiemi okrzykami prowadziła go tłuszcza z karczmy do domu Koszowego, na dziedzińcu którego były cztéry wozy przewrócone; kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypało, tak, że się wzniósł kurhanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurhanku siadł nowo o-

brany koszowy, a z każdego pułku po jednym towarzyszu rejestrowym weszli do izby, i porządnie zmiotłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz włożyli, tak że go napełnili, a potém zanieśli ten kosz na wierzch kurhanku, i z trudnością podniosłszy go, wypróżnili całkowity na głowę nowego koszowego, i natychmiast śmieciami został obsypany, a pisarz głośno wyrzekł: »Jak widzisz siebie okrytym śmieciami, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich od siebie nieodstępnych.« I taka była całkowita ceremonia inauguracii naczelnika Siczy, który z powodu tego na nim przewróconego koszu, nosił nazwanie koszowego. Dopiéro wszedł koszowy do domu swojego, i odtąd zaczynała się jego władza. Piérwsza jego czynność była, iż odbił piwnicę swojego poprzednika, skąd wszystek miód, wiszniak i gorzałkę wytoczyło kozactwo, że próżną została. Wszyscy siedli na ziemi, koszowy i kozacy około kotłów napełnionych barszczem, kaszą, kluskami i pieczeniami różnego mięsiwa, z któ-

rych kotłów każdy drewnianą łyżką brał na swoją misę ile mu się podobało, i wszyscy jęli zajadać z wielkiém żarłoctwem, każde kilka kęsów popijając wiśniakiem lub gorzałką, i to szklankami; pisarz siedział osobno i to jadł co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i innym ludziom nie należącym do Siczy, między którymi byliśmy, koszowy z wielką gościnnością trunki rozsyłał, i w misach jadła, które lubo nie wymyślne, nam smakowały. A gdyśmy spostrzegli, że mozgownice tak kozackie, jak i przybyłych zaczynają się zagrzewać spirytusem, wycofnęliśmy się z tej zgrai, i wrócili do domu pisarza, gdzie było nasze *locum standi*. Niedoczekawszy się gospodarza około północy, poszliśmy do spoczynku. Z rana Pan Azulewicz mnie oświadczył, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz ze świtem z próżnemi podwodami wrócę do Humania, a ztamtąd jak najśpieszniej starać się będę dostać do Jeneralności z doniesieniem, że on Azulewicz puścił się do Bakczysaraju, że

cala nadzieja na Tatarach, że na Siczowych kozaków spuścić się nie można, bo wszyscy ich popi są Polszcze nieżyczliwi, a nowo obrany koszowy Majhoroda będzie się nimi wedle wszelkiego podobieństwa powodował, tyle tylko przynajmniéj, że możemy być pewni, iż przeciwko nam działać nie będzie, jako Dziemdżuryk nam to zaręczył. Ostatni raz siedząc za stołem pisarza, i będąc tak blizkim pożegnania go wedle wszelkiego podobieństwa na zawsze, odważyłem się mu powiedzieć: »Niech to pana pisarza dobrodzieja nie obraża, że tu jego chleb jedząc, może zbyt śmiały jestem w mojéj ciekawości, ale mnie uprzejmość pańska do téj poufałości ośmiela. Co to za powód, że pan widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem tyle światłym, że i u nas równych mu niewiele, zostałeś członkiem towarzystwa złożonego z ludzi, niech to pana nie obraża, prostych włóczęgów i po większéj części hultajów«— On mnie odpowiedział na to: »Nie będę przed wami krył tajemnic mojego żywota, ani wypadków które mnie tu zapędziły.

Jestem szlachetnie urodzony, i moje przeznaczenie pierwiastkowe było posiadać kiedyś majątek i urząd; jakoż w pierwszej mojej młodości byłem chorążym w kawaleryi narodowej. Jestem ziemianinem Województwa Witebskiego, a moje prawdziwe nazwisko Wołk, familia znana w Litwie. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic dobry i za granicą wychowany. W wojnach króla Jana się wsławił, i byłby doszedł może do wysokich zaszczytów, gdyby wiara jego nie była na przeszkodzie; był bowiem rodowitym kalwinem. Jednak że był młody, przystojny i grzeczny, podobał się pannie Zawiszance kasztelance Mińskiej, jedynaczce mającej znaczne dobra. Pomimo perswazyi całej familii Zawiszów przyzwyczajonej wiązać się z magnatami im równymi, moja matka, zależąc jedynie od siebie, poszła za skłonnością serca. Mój ojciec na żoninej ziemi osiadł w tymże Województwie Witebskiém, gdzie i jego samego było gniazdo. Żył na wsi, pilnował roli, pozyskał przyjaźń sąsiadów, i tyle szanował przekonanie

mojéj matki, że cienia zgorszenia nigdy jéj nie dał. Było nas dwoje dzieci, ja i siostra ode mnie młodsza, i oboje nas wychowano w macierzyńskiéj wierze. A ojciec kika razy na rok jeździł do Kopyścia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak, że w domu nikt nie wiedział. Zresztą, obyczajami swojemi we wszystkiém się stosował do wyznania matki, pościł z nią razem, bywał z nią w kościele, dla kwestarzów był hojnym, a o religii nigdy nie mówił. Póki żył nasz proboszcz, człowiek prawdziwie świątobliwy, który nikogo nie wyłączał z miłości chrześciańskiéj, i niczyjego przekonania nie potępiał, pożycie moich rodziców było szczęśliwe. Ale po jego śmierci, jak xięża Orszańscy wzięli wstęp do naszego domu, wszystko się odmieniło. Xiądz Rokita został spowiednikiem mojéj matki, i wkrótce ją opanował, bo to był człowiek właśnie, jakiego potrzeba do zniewolenia babskiego umysłu. Probował on i mego ojca nawrócić, ale ten zawsze go zbywał milczeniem, lub odwróceniem mowy do innego przedmiotu, i lubo

nigdy się nie ominął z grzecznością gospodarską, umiał mu dać poznać, że w żadne ścisłości z nim się wdawać nie chce. Ale z moją matką był szczęśliwszy, i odpłacił mojemu ojcu jego niechęć ku niemu. Jak zaczął jej wmawiać, że kacerstwo jest największą zbrodnią, że kto w Papieża nie wierzy, jest nieprzyjacielem Chrystusa Pana, i że od takiego trzeba uciekać, jak od poganina, że Dissident każdy z uporu tylko i z pychy trzyma się swojego kacerstwa, bo okrom katolika, nikt nie ma istotnego przekonania w rzetelność swojej wiary, że tylko u katolików są prawdziwe cnoty, a jeśli jaki Dissident jest poczciwym, są to tylko obłudy, które u Pana Boga na żadne nie zasługują względy i inne podobne rzeczy, któremi tak obałamucił matkę, że przywiązanie do męża straciła. Po daremnych usilnościach, aby ojciec zrewokował, nastąpiły kwasy, a nakoniec pożycie dwudziesto-letnie szczęśliwe, byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty nie przyśpieszyły śmierci mojemu ojcu, właśnie jakby dla zapobieżenia takiemu zgorszeniu. Po

śmierci ojca już żadnej przeszkody nie mieli księża w owładaniu zupełném naszego majątku; kto tylko nie był z ich ręki, u matki nie mógł się utrzymać, ba nawet do niéj nie miał przystępu. Dość że w najpotoczniejszych okolicznościach matka niczego się nie imała bez zezwolenia xiędza Rokity. Mojéj siostrze wmówili powołanie do zakonu, i w klasztorze ją osadzili, toż i ze mną chcieli zrobić, ale się ja nie dał, a za wsparciem Zawiszów, ludzi możnych a moich krewnych, zostałem chorążym pancernym. Będąc młodym i burzliwym, a z powodu nieboszczyka ojca nienawidząc xięży, jak bywałem u matki sprzeciwiałem się im nie raz i tém się mojéj matce naraziłem, że jak do mojego ojca, tak i do mnie serce utraciła. Dopiéro ksiądz Rokita dawaj jéj wmawiać: że rozwiązłe prowadzę życie, że do spowiedzi nie chodzę, że jestem Kalwinem ukrytym, że majątek w mojém ręku na Pana Boga obrazę obrócony będzie, i że lepiéj go Panu Bogu ofiarować. Dość, że kiedy ja poczciwie Rzeczypospolitéj służyłem, wszystko się gotowa-

ło, aby mi kurtę wykroić. Zabrałem był znajomość z panną zacnego domu i posażną: starałem się o jéj przyjaźń i wkrótce otrzymałem obietnicę od jéj rodziców. Już był dzień ślubu naznaczony, tylko szło o to, aby mi matka cóś wypuściła: w tym związku całe szczęście upatrywałem, bom szczérze kochał swoję narzeczonę. A moja matka występuje z donacią całego majątku swego na rzecz różnych klasztorów, nic dla mnie, ani nawet dla siebie nie wyłączając, a sama osiada w Orszy na dewocyi. Rodzice mojéj narzeczonéj widząc mnie gołym, zerwali ze mną, mówiąc: wybaczaj Panie Chorąży, ale sam widzisz jak się rzeczy mają, nie masz gdzie nam córkę zawieźć, a my naszego dziecka na włóczęgę puścić nie możemy. Udałem się do OO. Jezuitów, błagałem xiędza Rokitę, żeby choć cząsteczkę majątku mnie oddali, że sama sprawiedliwość tego od nich wymaga. Xiądz Rokita odpowiedział mi z łagodnym uśmiechem: że choćbym cały świat posiadł, jak duszę zgubię wszystko mi się na nic nie przyda, a że bogactwa

częstokroć świeckich do grzechu prowadzą' i że jeżeli jestem dobry katolik, o czém nie wątpi, powinienem wolę matki szanować i cieszyć się, że jéj majątek będzie obrócony odtąd na ćwiczenie młodzieży w bogobojności i nawrócenie pogan. Że żadnego udziału z daru matki z boleścią serca zrobić nie mogą, bo alienując fundusz kościelny podpadliby pod exkomunikę; że w mojéj mocy, jeśli mam ku temu powołanie, korzystać z tego majątku wstępując do ich towarzystwa, że nakonice, cokolwiek postanowię z sobą, nie przestaną się modlić za synem ich dobrodziejki. I to wyrzekłszy, uniżenie kłaniając się, prosił mię o przebaczenie, że nie może ze mną dłużej bawić, bo spieszy do konfessionału. Wyszedłszy z klasztoru pałając zemstą, udałem się do dóbr niegdyś mojéj matki, tam zebrałem kilku sług nieboszczyka ojca, których moja matka oddaliła za namową Rokity; łatwo więc było ich skłonić, aby mnie w zemście dopomogli. Uzbrojeni wpadliśmy w nocy do Klasztoru Orszańskiego — własną ręką zamordowałem xiędza Ro-

kitę, a dwuch jego towarzyszy, którzy bywali w naszym domu, zakłóli moi pomocnicy, mając do nich jakiś żal; resztęśmy powiązali, a cały klasztor zrabowawszy podzieliliśmy się znaczną gotowizną. Potém rozeszliśmy się każdy w inną stronę dla szukania schronienia. Już nie było czego siedzieć w Polsce, a nie mogąc na siebie nie ściągnąć podejrzenia, wcześniej czy poźniej nie ominęłaby mnie kara, jaka czeka świętokradzców i zbójców. Kryłem się jakiś czas po różnych domach, a właśnie Sicz Zaporożska nie dawno utworzyła się była nie daleko granic Rzeczypospolitej; tam się więc udałem, aby żyć przynajmniej blisko téj ojczyzny, w któréj bezpiecznie mieszkać nie mogłem. Nabyłem tu zasług i znaczenia; już lat 40, jak piastuję urząd Pisarza, a Bóg świadek, że żadnej okoliczności nie omieszkałem być użytecznym moim rodakom. Żadna zgryzota mojego sumienia nie dręczy, chociaż mój postępek z xiędzem Rokitą był okrutny. Ale gdzie prawodawstwo obywatela nie zasłania od łupiecztwa, samemu so-

hie sprawiedliwość godzi się robić. Zresztą zestarzałem się na Siczy, jej obyczaje przyjąłem i do nich nawykłem. Między kozakami, zwłaszcza prostymi, są wielkie cnoty. — Zamiłowałem szczerze w naszych ustawach i to mnie tylko teraz udręcza, że przewiduję bliski nasz upadek, ale tuszę, że starzec, tego się nie doczekam.»

Pożegnałem się czule z naszym Pisarzem Siczowym i wróciłem do Jeneralności, z czem mnie do niej odprawiono i trafiłem do niej szczęśliwie przy łasce Pana Boga. Prawie całą drogę myślałem nad postępkiem Pana Wołka: Zaporożskie to sumienie najść klasztor, zrabować go, porznąć zakonników i jeszcze nie mieć nic sobie do wyrzucenia. Prawda, że oni nie lada mu się przysłużyli; korzystać z pobożności matki, by dziecko wydziedziczyć bez przyczyn w Statucie Litewskim objętych, tylko dla tego, że ojciec był Kalwinem, tego nikt nie pochwali. Ale imać się świętokradztwa i morderstwa, to jeszcze gorzej. Tylko, co nam wchodzić w cudze sumienie, niech każdy się rachu-

je z Panem Bogiem jak może, a Bóg każdego sprawiedliwie osądzi, tak Pana Wołka, jako i księdza Rokitę. Dość że Pan Wołk kochał zawsze swoję ziemię, popierał naszą sprawę ile mógł, i nam był rad w swoim domu z całego serca; jeśli źle zrobił, to Bolesław śmiały i Kazimierz Wielki jeszcze gorzej zrobili, bo jeden zamordował księdza Baryczka, co go mają za świętego w Sandomierskiém Województwie, a drugi Śgo Stanisława Biskupa, co jest świętym po całym świecie, a przecie obadwaj Królowie pokutowali; jeden poniewolnie, a drugi z własnej ochoty, a jeden wielki Teolog mój znajomy mniemał, że i oni sami są świętymi tronu, na co się chętnie godzę. Więc i Pan Pisarz Siczowy mógł swój postępek opłakać i jak się należy umrzeć, a że to już pewnie dawno nastąpiło, może także jest teraz świętym i może wstawia się za tą ziemią, którą za życia tak mocno miłował, czego mu życzę z całego serca.

H... R...

NOCLEG W KORCU.

NOCLEG W KORCU.

(Wyjątek z dzieła, pod tytułem: Wołyń i Podole, *które wyjdzie w ciągu roku u Glücksberga w Wilnie).*

Był to mroźny zimowy wieczor, kiedy ziemia śniegiem pokryta odbija zachodzącego słońca promienie, w milionach drobnych brylantów; kiedy drzewa na gościńcu świecą jak świeczniki szklanne, kiedy wiatr zaczyna ich śnieżną ozdobę wstrząsać, i pędzi ją

prosto w nabrzmiałe od zimna twarze podróżnych. Kuligiem suwało się troje sani po szérokiéj drodze, co od Zwiahla do Korca prowadzi. Z daleka czerniał już stary zamek na skale, i w około niego rozrzucone miasto. Z podwojonym pospiechem zacinali konie zziębli woźnice, a biedne szkapy musiały krok podwajać pod gęstemi razami furmanów. Jeszcze minut kilka suwają się sanie po zmierzchu; nagle stanęły u Koreckiéj bramy. Z piérwszych sani wylazł młody człowiek w lisiéj szubie, w sobolowéj czapce, i poszedł żwawo ku średnim saniom; a gdy już ku odsłoniętym firankom się zbliżał, z uszanowaniem podjął czapkę z czoła, i zapytał: «Każeszli Wasza Wielmożność do Xięcia Pana na Zamek zajechać?»

«Do stu piorunów! Panie Adamie, odezwał się gruby głos z sani, za kogoż mnie spokojnego człowieka, macie! Na nowe miasto do Wójta!» — Pan Adam czapkę sobolą na oczy nasunął, pobiegł do piérwszych sani, i cały kulig posunął się znowu po skrzy-

piącej od mrozu drodze, i nie stanął już jak przed gospodą Wójta, na nowém mieście Koreckiém. Na podwórzu Wójta gwar wielki; przyjechać musieli znakomici goście, bo przyjezdni klną, złorzeczą, każą juki i tłómoki wnosić; czeladź gospodarska rzuciła się do usług; jeden latarnię zapala, drugi gasi przechodząc. Trzeci tłómoki dźwiga; czwarty siano znosi. Kachna poleciała za indykami, których woźnica przybyły trzaskiem bicza rozpędził. Marta pełne wiadra przyniosła, i sama nie wie co z ciężarem zrobić, gdy jedni z przyjezdnych do wiader, drudzy do niej samej zaczynają się dobierać. Pan Wójt, z Panem Adamem podali ręce średniego wzrostu mężczyźnie, który powoli z krytych sani wysiadał, i poważnym krokiem wszedł do przygotowanej dla siebie komnaty; za nim weszli Wójt i Pan Adam. Tu już zaczął się poważny Jegomość rozbierać; kołpak axamitny szafirowy, kunami podbity, sobolami opuszony, oddał Panu Adamowi, który go z uszanowaniem na stole położył. Kiereję granatową z nie-

dźwiedzi, ściągnęli mu z rąk Pan Wójt z Panem Adamem. Na znak Pana Adama, dwuch czeladzi w szaréj, podróżnéj barwie, ściągnęli z nóg Wielmożnego Pana cieple bóty; i podróżny okazał się w zielonéj axamitnéj ferezyi, złotemi pętlicami spiętéj i w safianowych czerwonych bótach; czupryna wpół biała, wpół czarna zakrywała mu sam wierzchołek głowy, z pod gęstych brwi błyszczały siwe oczy, a wąs siwy, pod długim, zgarbionym nosem, ocieniał usta, na których błąkał się uśmiech złośliwy. Wielmożny Pan przechadzał się po pokoju; czeladź wyszła. Pan Adam tylko drzwi pilnował, a Pan Wójt z uszanowaniem oczekiwał piérwszych słów z ust Pańskich.

«I cóż Wasz Xiążę porabia? rzekł przerywając nakoniec milczenie podróżny; czy zawsze modli się nabożnie u Franciszkanów za zbawienie duszy, którą codzień na zamku, wśród gwałtów i zbytków potępia?»

Nim usłyszym pokorną odpowiedź Wójta (pokorną mówię, sądząc po uniżonych ukłonach, i pochlebczém ułożeniu twarzy) nie

od rzeczy będzie poznajomić się z wiekiem i osobami, któreśmy wprowadzili na scenę. Działo się to wszystko w ubogim domku Wójta, na nowem mieście, dnia dwudziestego czwartego Februarii 1631 roku, za panowania w Korcu Jaśnie Oświeconego Pana Jana Karola Xięcia Koreckiego Kasztelana Wołyńskiego.

Wielki to był Pan i z urodzenia, i z urzędu, i z bogactw; sławny nieszczęściami i pobożnością. Niegdyś cudze kraje lustrując, płynął Xiąże Karol do Hollandyi, gdzie natenczas wojna wrzała, dla nabrania większego poloru w Marsowych kunsztach. Pod Amszterdamem od Szwedów pojmany. Karol Król Szwedzki dowiedziawszy się, że trzyma w ręku swoim siostrzeńca Chodkiewicza, wsławionego zwycięztwami Hetmana, odesłał go do Sztockholmu, gdzie biedny więzień lat pięć przesiedział w uciśnieniu wielkiém; i w tej niewoli ślub uczynił, że jeżeli wolny do domu powróci, na wiarę Katolicką przejdzie— Wysłuchał go P. Bóg, bo wkrótce dostał się w niewolę polską Pon-

tus syn królewski z nieprawego łoża, ale wódz waleczny, a ten na zamian Koreckiego dany. Powrócił więc do domu Xiąże Karol, i dopełniając obietnicy, wybudował wspaniały Kościoł Franciszkański, do którego 10,000 złotych zapisał. Przyczynił się do tej fundacyi i brat jego Samuel, także ciężkiem więzieniem w Carogrodzie do Unii nawrócony.

Szczodry na ubogich i na ojczyznę, Xiąże Karol hojnie szpitale obdarzał, a zbrojne hufce na nieprzyjacioł kraju posyłał; tak niegdyś przed laty dziesięcią na expedycią Chocimską ośm chorągwi własnym sumptem wystawił, i Królowi Zygmuntowi posłał, luboć sam w domu musiał zostawać dla zepsowanego w niewoli zdrowia (1).

Podróżny co tak złośliwie o Xięcia Kasztelana Wołyńskiego pytał, był to Urodzony Pan Ludwik Wołczkiewicz Olizar, na Wołczkowie, Korosteszowie, i innych włościach Pan; małym pocztem, bo z pięcią dworzan

(1) Niesiecki pod imieniem X. X. Koreckich.

tylko wybrał się z majętności swojej Korostcszowa w ziemi Kijowskiej do Pana Wacława Łaszcza, Łowczego Bełzkiego, za którym była siostra jego Eufrozyna. Nie jednokrotnie walczył na Trybunałach bogaty Pan Olizar z możnym Xięciem Koreckim; ztąd nienawiść i pytanie złośliwe, na które czas już, aby Wójt odpowiedział. Wójt oddawna był Panu Olizarowi znajomy; nie raz ten do jego gospody zajeżdżał, a zawsze hojnie wynagradzał rozruch i zamieszanie, do którego każdy nocleg podobny był powodem. Teraz zgadując myśl pańską, Wójt pogładził się w brodę, i z uśmiechem pochlebstwa odpowiedział:

«Xiążę Pan chory, pościelą się bawi, czarne mnichy gęsto na zamek przychodzą; wszyscy im radzi Wielmożny Panie; o! dotrzymają pewnie obietnicy swojej, i wprowadzą Xięcia prosto do Nieba!»

«Byle prędzej, dodał zawzięty podróżny, gładząc siwą czuprynę; to i mnie lepiej będzie na ziemi.»

«Hej bez przymówek, Panie Lubowiecki!

(krzyknął głos za drzwiami), my was rozumu nauczym! — Co znów, odezwał się głos piskliwy, myślicie Panowie że się was boję, dla tego że was dwuch braci; mnie Pan Zdzarski w pomoc przyjdzie. — Niezawodnie. — Hola! i zgiełk od sieni do komnaty dochodził.

A pójdźcie no do nich, Panie Petrykowski, ozwał się Pan Olizar do znajomego naszego Pana Adama, piérwszego dworzanina swego; powiedźcie im, że kobierzec i w drogę się bierze; dawno już nikt na nim nie leżał, wytrzepiem go potrochu! — I przechadzał się po komnacie Pan rozgniewany, w chwili, kiedy Wójt i Pan Petrykowski wyszli jego roskazy spełnić; ale podróżą znużony, ukradkiem spoglądał na gotową już pościel, i odpinał pętlice u ferezyi od złocistych guzów. Wtém powrócił Pan Adam, z dwóma pachołkami w lazurowych adamaszkiem podszytych barwianych ferezyach. — Już wszystko spokojnie, rzekł wchodząc, Branwieccy hałas zaczęli, posadziłem ich na warcie przy saniach; Lubo-

wiecki i Zdzarski na usługach pokojowych będą.» — I Pan Olizar zdjął axamitną ferezyę i pas lity i żupan atłasowy barszczowy; jeden dworzanin podał mu srébrną nalewkę, drugi towaluię złotem szytą. Pan Adam rozłożył broń na stołach; dziewięć pistoletów, szablę oprawną złocistą i parę muszkietów Toruńskich — Tymczasem dworzanie rozebrali do reszty Pana, położyli go w pościel, i okryli starannie; Pan Adam pogasił świéce w dwuch srébrnych lichtarzach, i wszyscy wyszli, życząc Panu spokojnej nocy!

Czy nieszczére były te życzenia, czy nie wysłuchało ich niebo, nie wiem, ale tak się stało:

O godzinie dwudziestéj trzeciej, ledwie Pan Olizar drogą spracowany, po wieczornych pacierzach, uspokoił się i zasnął trochę: gdy pod samém oknem, ktoś z pistoletu wystrzelił.

«Jezus-Marya! co to znaczy? czy Tatarzy w mieście? krzyknął ze snu piérwszego zerwany; hola, Panie Petrykowski!» Po chwili wszedł wierny dworzanin, w szubie, bo

już zrzucił był także barwianą lazurową ferezyę i żupan. — «Gorzej jak Tatarzy, Wielmożny Panie; oto Xiąże Jegomość Korecki, na despekt godności pańskiej, wysłał pachołków kilku, z których jeden pod oknami strzela, (słychać było kilkakrotne strzelanie) drudzy nam w gospodzie psikusy robią; a najgorszy z nich niejaki Pan Kozłowski. — To nie dobrze, trzeba do zamku posłać, odrzekł Pan Olizar, który w miarę niebezpieczeństwa, mniej cierpko jednak Xięcia Koreckiego wspominał; pójdziesz sam do zamku Panie Adamie, i dowiesz się, czy takowe despekta z woli Xięcia się dzieją, i powrócisz spiesznie. Trudna tu z Panem Kasztelanem sprawa; na swojém śmieciu człowiek pewniejszy. — Pan Adam zawsze posłuszny, poszedł do zamku, ale z niczém powrócił, bo nie puszczono go do Xięcia; czy Xiąże nie pozwalał, aby go budzono, czy też dwór xiążęcy chciał się przez noc jedną pobawić, i korzystał ze snu Kasztelana.

Ledwie Pan Petrykowski do gospody wró-

ił; a za nim już ufiec cały piechoty, i kilkadziesiąt sług zbrojnych pod dowództwem Pana Kaspra Dąbrowskiego, marszałka xiążęcego. Z łoskotem wielkim i strzelaniem, drzwi od gospody wybili; jedni broniących się Dworzan i sług Pana Olizara, szablami siekli, obuchami bili, drudzy wyłamawszy okna od izby, leżącego w pościeli, bezbronnego Pana zastali. Tu już z wściekłością rzucili się na niego, obuchami, czekanami bili, szablami siekli, w obie ręce i w twarz ciężko ranili, u lewéj ręki palec wielki ucięli. I w głowę i w plecy, gdy bez zmysłów na ziemię upadł, krwawe tłuczone rany zadali.— Nie lepiéj się dworzanom Olizarowskim wiodło; już Pan Jan Branwiecki, pięć ran szablami ciętych w głowę odebrał, i nos mu przecięto i stłuczono krwawo — Panu Wacławowi Lubowieckiemu, głowę z pistoleta aż do kości przestrzelili, i śrzedni palec u lewéj ręki; i obuchami ręce i nogi potłukli — Panu Adamowi Petrykowskiemu bok kulą przestrzelili, i ran dwie krwawych zadali, i palec u prawéj ręki podle wielkie-

go rozcięli, i po wszystkiém ciele okrutnie czekanami pobili — Panu Gabryelowi Branwickiemu, także ran dwie krwawych ciętych, a wiele krwawych tłuczonych zadali — Panu Janowi Zdzarskiemu także rany krwawe cięte i tłuczone zadali i także w lewą rękę pod łokciem ranę okrutną, od któréj mu pewnie chromota będzie.

Po takiéj rzezi dalejże łupić i odzierać, i broń niewinną, owe pistolety, ową szablę, owe Toruńskie muszkiety po stołach rozłożone, i lichtarze srébrne, i roztruchany i nalewki, i towalnie złotem szyte, i ferezye lazurowe barwiane, z których każda kosztowała złotych sześćdziesiąt, i czapki czeladne, wszystko zabrali złodzieje.

Już wolna od napaści gospoda; wbiegają pachołkowie rannych dworzan, którzy z przestrachu wielkiego uciekli; teraz panów swoich trzeźwią, i zwierzchnego Pana, którego biéda z innymi zrównała; gdy powrócił Pan Olizar do zmysłów, dał znak, aby go z nieszczęśliwéj gospody wynieśli; próżno Wójt błagał, żeby domowi jego takiéj krzywdy

nie czynić — oburzeni dworzanie widzieli w nim złego przyczynę.

Za godzinę szpital cały rozłożył się w innéj gospodzie, u kupca Gdańskiego Wilema Faktora Hawratowego — Niestety! nie na długo ten pokój. Otoż i Pan Dąbrowski na czele zabójców, całe domowstwo otacza, i wchodzi do nowéj gospody, i zapewnia, że żaden ztąd żyw nie wyjdzie, dopóki Pan Olizar nie da na piśmie deklaracyi, że ze wszystkich nieco gwałtownych uczynków, których mógł doznać, Xięcia Pana kwituje i wyzwala — Milczeli zgrozą przejęci ranni, ale jeden z młodszych dworzan, Pan Gabryel Branwiecki, nie umiejąc gniewu hamować: «A co znów łotry! mamy wam dać świadectwo, że dobrze u was w Korcu nocować!» Wnet porwali go zbójcy i do zamku ponieśli, i tam trzy dni i trzy nocy okowawszy w łańcuch i kajdany, w lochach trzymali.

Tylež czasu i oblężenie gospody trwało; wyraźne było Xięcia Koreckiego pobłażanie; zmiękczała pod tłuczonemi razami dumna wola rannego; dał obrzydłe pismo: i

z ran wygojony, już nie do szwagra, ale na powrót do domu pojechał.

Wkrótce wyszła Protestacya Pana Olizara, o niesłychany gwałt i zbrodnię Xięcia Kasztelana Wołyńskiego i sługi jego P. Kaspra Dąbrowskiego (1). Xiąże Koreckie Kasztelan Wołyński remanifestował się, że Pan Olizar, przyjechawszy do Korca z hałastrą niespokojnych ludzi, nie tylko poddanym Xiążęcym, ale i niewiastom poczciwym w Nowym Korcu mieszkającym excessa wyrządzał; Dwór jego pod dowództwem Pana Dąbrowskiego, chcąc nadużyciom zapobiedz, sam dwuch ludzi prawie bez życia nadziei zostawił.

W 1633 roku umarł Xiąże Karol Korecki, któremu Franciszkanie obiecali, wprowadzić go wprost do Nieba; a małżonka jego Anna z Potockich wyniosła mu wspaniały grobowiec w Franciszkańskim kościele w Korcu.

W 1634 pozwani byli przed Sąd Główny Trybunalski w Lublinie Xiąże Samuel i Xię-

(1) Archiwum Korostyszew. fascykuł, sprawa z X. Koreckim.

żna Eufrozyna Koreccy, zmarłego Kasztelana dzieci, w przytomności Wielmożnego Xięcia Mikołaja Czartoryjskiego Kasztelana Wołyńskiego i innych opiekunów (1).

Nigdzie końca sprawy, a koniec ciekawy; bo wielka i sprawiedliwa zawziętość Pana Olizara; umarł wprawdzie główny winowajca, ale dzieci odpowiadają za ojca, i ten Pan Kasper Dąbrowski żyw jeszcze, który imieniem Xięcia Koreckiego takie niesłychane bezprawie uczynił.

Po długich szperaniach, odkryłem nakoniec w stosach zbutwiałych szpargałów, nie wielki papierek z pieczęcią; i ten wiernie tutaj przepisuję:

«Ja Mikołai Xiąże Czartoryjskie na Klewaniu, Kasztelan Wołyński zeznawam tym pismem moim isz z Decretu Tribunalskiego

(1) Archiwum Korostoszewskie, fascykuł, sprawa z X. Koreckim.

nakazana iest summa do zapłacenia cztirnaściesetli złotych polskich, potomkom X. Karola Koreckiego, przez Pana Ludwiga Olizara Wołczkiewicza. Tedi isz mnie iako opiekunowi X. X. Ichmość, zupełnie thę sumę cztirnaściesct z P. Jmość Pan Olizar zapłacił i wyliczył z odebrania i odliczenia onei Jego Miłość i potomkow J. Mci tim scriptem moim kwituję y wolnym czynię, czasy wiecznymi; tesz dla trudności mych niektórych przyznać dopiero kwitu tego urzędownie nie mogę; submittuję się na pierwszą okazią przyjechawszy do Łucka tho uczynić, y kwitować u Akt Jegomość P. Olizara. Ten iednak kwit mói teraznieiszy takiei wagi mieć chcę, iakoby z akt Grodzkich Łuckich był przez mię zeznany. Naco dla lepszci pewności daię ten mói script moią ręką pisany i podpisany pieczęcią przyciśniony. Dat w Klewaniu die 21 Xbris 1636.

Idem y sub Ręką swą.

Pogoń Czartoryjskich.

W 1645 roku umarł Pan Ludwik Olizar. O śmierci jego dowiadujemy się z autentycznego listu kondolencyjnego Jakóba Sobieskiego Wdy Ziem Ruskich, (ojca Króla Jana) Pani Franciszki z Dębian Olizarowej wdowy.

Takie było nieprzewidziane rozwiązanie Koreckiego noclegu; dwieście lat od tego czasu upłynęło; ród Koreckich na Samuelu, synu Kasztelana Wołyńskiego wygasł, a potomkowie Ludwika Olizara po dziś dzień Korosteszowcem władają. Od tego czasu spokojne w Korcu noclegi; wszystko pod gruzami ucichło. Rozwaliny zamku na skale, przy blasku xiężyca rzucają na rzekę cień ponury; zamilkły dzwony w opuszczonym Franciszkańskim klasztorze, i jeden tylko jęk puszczyka ogólne milczenie przerywa!

Alexander Przezdziecki.

PIEŚŃ PETRARKA DO N. P. M.

Dziewico, której ziemia i księżyc podnoże,
Słońce szatą, na skroniach z gwiazd ci płonie wieniec,
Twoje wdzięki tak słońce najwyższe uwiodły,
Że w Twojém łonie skryło światło Boże;
Miłość mię zmusza nieść do Ciebie modły,
Ale nie zacznę gdy nie pomoże
Z Tobą Duch Święty Twój Obłubieniec,
Który z miłości wstąpił do Ciebie.
Dziewico w ciężkiej wspomoż mię potrzebie,

Przez wzgląd na nędzę, w jakiej jęczy ludzkie plemie,
Skłoń ucho święte na moje słowo,
I ulżyj smutku brzemię,
Wspieraj mię lichą ziemię, o niebios Królowo!

Dziewico mądra, jedna z drużby Świętej
Dziewic rostropnych i błogosławionych,
A raczej, pierwsza z lampą najjaśniejszą w dłoni;
O tarczo pewna ludzi uciśnionych,
Tarczo od grotów śmierci i doli zawziętej,
Z którą człek i zwycięża i od trosk się broni.
Ochłodo od ślepego ognia, który płonie
W biednych śmiertelników łonie.
Dziewico, oko piękne, co widziało
Jak Przenajświętsze Syna Twego ciało
Wściekli morderce szarpali zażarcie,
To oko obróć na moje męczarnie,
Gdy szukam wsparcia marnie, daj biednemu wsparcie.

Dziewico czysta i niepokalana,
Matko i córko własnego płodu,
Światło tego żywota, przyszłego ozdobo,
Syn Najwyższego Pana,

O jasne okno niebios, przyszedł na świat Tobą
Dla wybawienia ludzkiego rodu.
Tyś jedna otrzymała ten zaszczyt w podziele
Z całego niewiast grona,
Dziewico błogosławiona,
Żeś płacz Ewy zmieniła na rajskie wesele;
Spraw, niech mię święta łaska twa nie minie,
O ty bez końca uszczęśliwiona,
Koroną uwieńczona w niebieskiej krainie.

Dziewico, w Bożą łaskę bogata,
Tyś przez pokorę do nieba wzniesiona,
Niech do Ciebie mej prośby i tam głos dolata—
Słońce sprawiedliwości wyszło z Twego łona,
Co rozproszyło błędów ciemnych wielkie mnóstwa;
Ty źródłoś miłosierdzia zrodziła dla świata,
Ty razem zespoliłaś trzy słodkie imiona,
Boś matką, córką i kochanką Bóstwa.
Dziewico sławna i święta,
Pani Króla wielkiego, co nam zerwał pęta,
I ten świat zrobił wolności świątynią;
W ranach, co zbawcy zadali morderce,
Uspokój moje serce, o szczęścia sprawczynio!

Dziewico bez przykładu, i jedna tej sławy,
Żeś niebo rozkochała Twojemi ponęty,
I dotąd z niem zostajesz w błogiem uczestnictwie,
Święte, czyste, pobożne, myśli twe i sprawy,
Zdziałały w płodnem dziewictwie,
Żywy i święty
Bogu przybytek.
Dziewico słodka, Marjo Boża,
Wróć mi jasnych dni użytek;
Chciej być tylko posredniczką,
A zbytek moich błędów zgładzi łaski zbytek;
Bądź do szczęścia przewodniczką,
Z tego bezdroża.

Dziewico, jesteś burzliwego morza
Jasna i nigdy niezagasła zorza:
Przewodniczy żeglarzom twoje światło lube;
Patrz, w szturmie wichrów i strasznej powodzi,
Płynę bez wiosła i sam jeden w łodzi;
Wśród rozwrotów odmętu widzę bliską zgubę,
Lecz moja ufność w Tobie z duszy nie uchodzi,
Z duszy, chociaż jest grzesznicą;
Dziewico, nie daj Dziewico,

By moja zguba mogła Twego cieszyć wroga;
Wspomnij, że grzechy zniewoliły Boga,
Aby wyrwał piekłu bronie,
Wziąć człowieczeństwo w Twém dziewiczém łonie.

Dziewico, ileż łez wylałem marnie,
Ile omamień, ile próśb daremnych,
Na większą moją szkodę i sroższe męczarnie;
Od urodzenia mego przy Arnie,
Tułałem się wśród ludzi zimnych lub nikczemnych,
Życie moje ciągła troska.
Całą mą duszę do siebie tylko
Śmiertelna uroda garnie.
Dziewico Boska,
Spiesz w pomoc! może ostatnią chwilką
Goreje pasmo mego żywota,
Które uprzędły nędze, błędy i rospacze;
Dziś tylko czekam, jak zakołacze
Śmierć w moje wrota.

Dziewico, po ziemiance dotąd serce boli,
Wzdycham za wyjściem z tej życia niewoli;
Biedny, nie znałem mej własnej niedoli;
A choćbym wiedział, toby jedno było,

Bom się wyrzekł mojej woli,
Jej się tylko wolą żyło.
Niewiasto niebios i nasza Bogini,
Źródło żywe w tej skwarnej żywota pustyni,
Dziewico, światło Boże,
Widzisz, że w trosce świat mi nie pomoże,
Więc mocą twego ramienia,
Wyrwij boleści postrzały
Dla twojej chwały a mego zbawienia.

Dziewico, cała nadzieja ma w Tobie,
Co chcesz i możesz pomódz w ciężkim razie,
Nie opuść w strasznej serca chorobie,
Przez wzgląd że jestem dziełem Pana Boga,
Którego podobieństwo noszę w mym obrazie,
Zajmij się nędznym prochem, o Dziewico błoga!
Meduza z Błędem w opokę mię zmienia,
Sączacą łez próżnych zdroje.
Dziewico, niech serce moje
Napełnią łzy pokutne, pobożne westchnieuia,
Niech ostatniem uczuciem gasnącego ducha,
Bez ziemskiego kału,
I bez miłości szału, będzie święta skrucha.

Dziewico skromna, nieprzyjazna dumie,
Niech nasz wspólny początek litość twoję wzrusza:
Godna jest miłosierdzia zdjęta skruchą dusza,
Co jeżeli z tak wielką wiarą kochać umie
Marnej i nędznej ziemi trocha,
Jakże Cię rajska piękności ukocha?
Gdy mię z nędznego tego położenia
Wydźwigniesz silnem ramieniem,
Dziewico, Twojem imieniem
Oczyszczę i poświęcę mysl, dowcip i pienia,
Język i serce i łzy i westchnienia;
Racz mi podać twoję rękę,
I by zakończyć mękę, odmień me pragnienia.

Dzień się ostatni zbliża i śmierć niedaleka,
Tak to czas prędko ucieka,
Dziewico jedyna!
Serce me trwoży to śmierć, to sumienie;
Przyczyń się za mną do Twojego Syna,
Boga razem i człowieka:
Niechaj przyjmie w pokoju ostatnie me tchnienie.

Ignacy Kefaliński.

ROZMYŚLANIE.

Ojcze mój, ojcze; Boże mój, Boże!
Ty mnie nie wesprzesz, któż dopomoże?
Do Ciebie wzdycham i we dnie i w nocy,
Kiedyż się Twojej doczekam pomocy?

Dałeś myśl piękną, serce woskowe,
A skroń mi wieńczysz w gałęzie cierniowe:
Lub myśl przeinacz, serce przetworz w kamień,
Albo Twe ciernie w kwiat lilii zamień.

Jak ta noc krótka letniego miesiąca,
Młodość mi przeszła ciemna a gorąca;
Lato w piorunach i ustawnej burzy,
Jesień przede mną, ach! i ta się chmurzy.

Błogo mi było pod rodziców strzechą,
Lecz szedł żal długi za krótką uciechą,
Tylkom ich serce zakrwawił rozdziałem,
I biegł do obcych choć i sam płakałem.

Najczystsza miłość wiodła do ołtarza,
A świat bluźnicrstwy ścigał jak zbrodniarza,
Dłoń co swe dziecię błogosławić miała,
Rzuciła klątwę i na zemstę dała.

I cichy domek, i żyzna dzielnica,
Przyjęły mile młodego dziedzica,
A on im miasto szczęścia i swobody,
Przywlokł za sobą i mory i głody.

Mojego stada wilk roznosi kości,
A moją trzodą pies się nie napości;
A moja niwa nie żyto, pszenicę,
Alc obradza osty i mietlice —

Codzienne troski i ojca i matki,
Codzienne pustki małej domu klatki,
Jeden był zaczął ptaszek rozweselać,
A i ten z nami musiał się rozdzielać.

Z krzyżykiem w ręku, z krzyżykiem na skroni,
Błogo ci synku w grobowej ustroni,
Ale nam ciężko na szérokim świecie,
Twa darń nie tobie, lecz nam serce gniecie.

A... G...

PRZYGODA
FABIJANA KULIŃSKIEGO.

PRZYGODA FABIJANA KULIŃSKIEGO.

(Zdarzenie około r. 1783.)

1.

Miłe towarzystwo.

Za wsią Frantówką jechał gościńcem na szpakowatym koniu rzeski mężczyzna, blisko lat pięćdziesiąt mający: włos mu płowy, długi, nieco przypruszony szronem, spadał na kołnierz kurtki zielonej, suto szamarowa-

néj, kitajką amarantową podszytéj; konfederatka czerwona z czarnym barankiem na bok zwieszona, mocno odbijała od ogorzałéj biało-kuréj twarzy, brwi ryżawe, zasępione, kryły w głębi małe, jaskrawe, siwe oczy; wąsiki wyczernione i zakręcone, przy garbatym nosie i łbie wypukłym, wydawały śmiałka w całém znaczeniu tego wyrazu. Szarawary rzęsne szare, obok przy ładownicy pałasz zakrzywiony, lśniący się białością, w olstrach para pistoletów, dziwnie stosowały się do rączego rumaka; a chrzęst zawieszonych u rzędu kółek mosiężnych, złączony z pobrzękiwaniem szabli i tętętem kopyt, rozlegał się po okolicznych spokojnych polach. Za tym junakiem zaledwie zdążał barczysty kozak, którego jołom ponsowy z siwym barankiem, jasno szafirowy żupanik z czérwonémi wyłogami, siwy koń, okazywały, iż jest z liczby kozaków Wojewody Bracławskiego Macieja Lanckorońskiego dziedzica Manastyrzysk. Około dębiny Jabłonowicckiéj ubocznym traktem na gniadym podjezdku kłusował także szczupły, lecz wy-

soki mężczyzna; kubrak szaraczkowy z białą czapką zdala wyświecał, iż to jakiś brat szlachcic, który w pilnym interesie popędza swoję szkapę. Długo gonił za pierwszymi, długo kauczukiem okładał swego gniadosza, aż zaledwie ich przy trzech karczmach dopędził i zaczął wołać: — A Pana Kommissarza Dobrodzieja! — a niegdyś towarzysza pancernego znaku i miłego nam wielce brata i krewniaka W. Kulińskiego!

— Stój Zawierucho, rzekł Kuliński — zaczekaj! ktoś tam woła za nami!..... obejrzeli się, aż wtém i ów szlachcic skoczywszy ze swego konika, począł ściskać kolana pana kommissarza.

— A witam! witam was bracie Jakóbie Wielobycki: gdzież to jedziesz i czego?... Wszakci to jutro i jarmark na S. Jana w Ilińcach (*) — mam co do domu pokupić, a może i szkapę jaką; lecz zobaczywszy, że i

(*) Ilińce miasteczko Ks. Sanguszków w Gubernii Kijowskiej w Powiecie Lipowieckim.

Pan Dobrodziéj jedziesz w tę stronę, chciałem mu towarzyszyć.

— No! dobrze mój bracie: pojedziem razem; lecz piérwéj wstąpmy tu do Judki, a tymczasem konie nasze wytchną.—W krótce po uściskach wzajemnych anyżówka zabłysła w rękach obu; pierniki suche służyły za przekąskę, i po jednym i drugim kieliszku ruszyli truchtem do miasteczka.

Było już dobrze z południa, jasno zachodzące słońce zapowiadało dzień jutrzejszy równie piękny. Ściągali się z różnych stron przyjezdni; nawet okazały się tabuny koni, które nie będąc rozprzedane na berdyczowskim jarmarku, szukały tu swych amatorów. Niekiedy naładowana bryka z towarami minęła naszych podróżnych; niekiedy maże z solą i z rybą zatarasowały im drogę: zgoła wszystko wyśmienity jarmark wróżyło.

Niebawnie Kuliński z Panem Wielobyckim stanęli w samym środku miasta i roztassowali się w ratuszu—już kilka razy Kuliński wrzeszczał i huczał, a bogaty gospodarz Żyd Boruch sam latał i wypełniał co do joty roz-

kazy tak szumnego Pana — gdy od Daszowa na karym koniu zajechał oficer od kawaleryi narodowej. P. Kuliński poznał w nim swego krewnego chorążego Witkowskiego, i zaprosił go do swej kwatery. Witkowski od dawna służył w wojsku, bywał w świecie i czasami wielce umiał być zabawnym. Po niejakim czasie od traktu Winnickiego zabrzęczał zielony z budą skarbniczek, ciągnęły go cztery konie różnej maści — siedzieli z przodu w granatowych kapotach furman i hajduk, wszystkie gospody były zajęte, skierowali więc ku ratuszowi — podróżny potrzebował wywczasu, nie zwlekając zajechał — był to Pan Wojski Czerwonogrodzki, mieszkający na possesyi zastawnej blisko Chmielnika, niegdyś sąsiad i drużba Pana Kulińskiego.

— Hej Żydzie, wołał Kuliński, do stoset djabłów, przynieśno nam kminkówki, i czy niemasz szczupaka faszerowanego na zimno; — wszak to dalej czas wieczerzać, nie prawdaż Panie Wojski?

— Mam ja, Mości Dobrodzieju, hajduka,

co nam może zrazy zrobić, i posilimy się czém lepszém niż żydowską strawą.

—A Panie! kiedy tu nas jest więcej, to pański hajduk nie wystarczyłby i zrobilibyśmy mu subjekcyą. Wtém za niosącym z drugiej izby Żydem wódkę wszedł kłaniając się chorąży P. Witkowski i Wielobycki.

—To są moi krewniaki, rekomenduję panu, i ludzie godni, jak to mówią, Pan Wojski! i do wypitki i do wybitki.

—At panie Wuju! daj pokój, odrzekł chorąży; my ludzie spokojni: czy to już każdy wojskowy ma zaraz wyprawiać burdy? Tu pokłonił się P. Wojskiemu, który równie do obu zbliżywszy się ukłon wzajemny oddał i oświadczył swoje nazwisko.

—No! no! będzie tych babskich komplementów, zawołał Kuliński; w ręce Pana Wojskiego, i wtém potężną lampkę kminkówki zręcznie wychylił; wkrótce obiegła kolej, a pan Boruch z swoją żoną wynieśli kilka sztuk szczupaka i kilka kołaczy plecionych.

—Brawo! do stu katów! brawo! popi-

sał mi się pan Boruch, już mamy wieczerzę: — proszę — proszę Panów miłościwych braci! usiądźcież razem, i zjedzmy co Bóg dał; ale ty żydzie! psia brodo! zginiesz, kiedy nam jeszcze nie postawisz parę garncy miodu dobrego!

— Ach Jaśnie Wielmożny Panie! co ja nie postawię? — ja mam przedni wiszniak i miód i wino i lipiec; to co Panowie każą sobie przynieść?

— At! pójdź do djabła z swojém winem, wszak prawda Panie Wojski? my to wolimy, co ojcowie nasi pijali i jedli: tak nie inaczej; a gdy wszyscy milczeli, on wrzasnął: »tak! tak! miód stary! wytrawny! najlepszy! daj go tu sam.”

Nie mógł się P. Wojski od tak ochoczéj kompanii wymówić, i tyle tylko zjednał, że i jego zrazy poźniej mają być wspóluie jedzone.

Pan Kuliński nadzwyczajnie lubił towarzystwo i P. Witkowski równie nie był od tego; ci więc oba starali się ugościć P. Wojskiego i zaprawić wieczerzę, jak to mówią, słodkim humorem.

— Ja tu przyjechałem z P. Wielobyckim na jarmark, rzekł po skończoném jadle Pan Kuliński, i chcemy sobie co koni kupić, jeśli będą notabene piękne; a Pan Wojski także zapewne dla kupna przybył.

— O nie Mości Dobrodzieju! odrzekł P. Wojski — jestem uproszony od P. Wojewody Podlaskiego, bym w pewnym interesie pojechał do Tulczyna do Pana Generała Potockiego.

— No! jak widzę Wać Pan Dobrodziej z wielkimi Pany przystajesz, to zapewne masz jakieś nowinki o Warszawie, o Królu, a może i o Sejmie spodziewanym; a wreszcie rzecz ciekawa i o samym Wojewodzie Podlaskim P. Ossolińskim, czy prawda, że się on ożenił z prostéj kondycyi dziewką?— Tu ponalewał szklanice spore miodu i prosił o przyjęcie.

Przyjął Wojski, a popijając tak odpowiedział: — Nowin tak znacznych ze stolicy niemasz: Król ciągle pracuje z radą nieustającą, a kiedy rozgniewana szlachta nie przyjęła Andrzeja Zamojskiego Zbioru wszelkich

ustaw — przyozdabia swoje Łazienki, i mówią, że wkrótce wyjdą uniwersały na sejmiki powiatowe, bo sejm walny ma się odbyć w roku następnym.

— Et, co to gadać Panie Wojski! rzekł Kuliński, ten Zamojski głupstwo chciał zrobić; chciał odebrać panom władzę nad chłopami: dobrze mu tak — niech teraz w palce dmucha, a jabym go jeszcze do stu katów tym kańczukiem pokropił.—Poczęli się śmiać wszyscy, a on przerywając:— no! to tylko co *ex politicis*, ale powiedz mi Wać Pan Dobrodziej co o tej chłopiance, czy to prawda?

— Tak jest, prawda! już ona od pół roku jest Panią Wojewodziną, i niewiastą osobliwie miłą i przykładną mój Mości Dobrodzieju. Pan Wojewoda Ossoliński objeżdżając swoje pasieki, w majdanie Stasiowym przypadkiem poznał ją, a upodobawszy, kazał maniery dworskiej i wszelkiej obyczajności przez lat kilka uczyć. Bawiły przy niej zacne damy, Jejmość Pani Zalewska i Tolakowska, a panna Podczaszanka jest dotąd nieodstępną jej towarzyszką. Ot po-

wiem Panom, że wcale nieszpetna kobiéta zrobiła się; a ponieważ cały ród jéj jest oddawna za dobrych ludzi miany, to i Pan Wojewoda wielce się cieszy, że będzie miał żonę cnotliwą: bo to powiadają, owoc od jabłoni choć się odtoczy, przecież ogonkiem do niéj się obróci.

— Ach Panie Wojski! dziwną rzecz opowiadacie, zawołał chorąży. Jak to P. Wojewoda Podlaski, którego na przeszłym sejmie widziałem rozmawiającego dość poufale z Królem, miałby ożenić się z prostéj kondycyi kobiétą i być powinowatym swoich poddanych? To już niesłychane głupstwo! to jak powiadają, wyjść z kapitana na dragana. Mówią wszyscy, że to pan, co ma wielki rozum; lecz ja w tém nie widzę żadnego.

— Owszem Panie chorąży nie unoś się tak: miał i ma rozum — wszystko to zrobił z wielką reflexyą: — cała familija oddawna została przez niego uwolnioną i ma wkrótce dla niéj wyrobić u Króla i Stanów Rzeczypospolitéj nobilitacyą — ponadawał im od-

powiedne majątki, a ojciec Wojewodziny, szanowny staruszek, będąc pięknie po polsku ubrany, gdy pierwszy raz wszedł na zamek Wojewody, przypatrując się w zwierciadle, pamiętne wszystkim przemówił słowa:— »*Hlady Hospode Boże! sczob to na dobre wyjszło.*”

—Jak to pamiętne, mój Mości Dobrodzieju? przerwał Pan Wielobycki, ja tego nie rozumiem? Właśnie to Pan Bóg będzie za nim patrzył—widzisz go, jak zaraz cham zhardział.

—I do sto set czartów, wrzasnął Kuliński;—już i ty bracie pleciesz, jakbyś się z dębu ubił, a przerywasz Panu Wojskiemu;— wtém podniósł po drugiej szklance demechy, a P. Wojski tak odpowiedział:

—Nie tak się rzecz ma — ów staruszek nie wierzył tak wielkiemu szczęściu, i jakby z niechęcią swój stan opuszczał; bo może słyszał, iż łaska pańska często na pstrym koniu jeździ. Lecz wyznam tu przed panami, że wielce się mylił, bo Pan Wojewoda człowiek słuszny, i co raz postanowił, tego

całém życiem nie odmienił. Na dowód większy przeczytam moim miłościwym panom kopiją listu pisanego do JW. Rzewuskiego, Chorążego W. Litewskiego, jeśli w tém będzie ich wola?

— A czemuż, zawołali wszyscy, poznamy tém więcej jego sentyment.— Poszedł więc Pan Wojski do swej szkatułki, a Pan Kuliński już trzecią kolej nalewał, od któréj sam tylko Wojski za przyjściem uchylił się.

— Ten list, wyrzekł, jest pisany 13 februaryi 1783 r. z Radziwiłłowa, i mam go z kancellaryi P. Wojewody, który godzien jest, aby się po całym rozszedł kraju.

»I Ojców naszych i nasza wzajemna od młodości przyjaźń jest mi powodem uczynienia justyfikacii z rozgłoszonego ożenienia mego, które różnym różne, nieprawdziwe i od celu istoty dalekie, uczyniło impressye.

»Rozumiem, że cel takowéj czynności jest zawarty w przeświadczeniu pewnéj i stałéj tak do zgonu życia szczęśliwości, żeby ją

żadne okoliczności wzruszyć nie potrafiły;— to rozumiem o szczęśliwości domowej, bo do publicznej to wcale nie należy. Edukacya jakakolwiek bądź, nie jest sentymentu satysfakcyą; ale istotna szczerość — serce bez sztuki, przywiązanie bez obłudy, przyjemność osoby dla tego, który bierze; oto są okoliczności, gruntujące pomyślność domową, i nie przeszkadzające największym umysłu dziełom. Tom wszystko gdy znalazł, nazwałżeby mnie umysł JW. Pana Dobrodzieja filozofski, oświecony i tak wysoce doskonale sądzący, rostropnym? — gdyby mnie blask przesądów ludzkich od mego zamiaru odstręczył i szczęśliwość pewną zatapiać przymusił? Długie mnie jednak wstrzymywały reflexye, bo jak sam JW. Pan Dobrodz. wiesz, kilkoletnie; ale gdym stałość nieprzezwyciężonego przywiązania, za wyrok losami kierującej opatrzności wziąć musiał;— wszystko, co celem nie tylko mojej, ale każdego szczęśliwości, w osobie istotne zastał; zakończenie rzeczy stało się powinnością serca i charakteru.

»Jednak obok reflexyi, któréj jestem winien tego dzieła przyśpieszenie, JW. Panu Dobrodz., jako memu łaskawcy, utaić nie mogę, iż uczyniłem przykrość siostrom moim, bo ich wściekłość na nic innego nie zasługiwała; przypatrzyłem się mniemanéj szczęśliwości domowéj w zakątkach domu naszego, która, ach jak obłudna! sam JW. Pan Dobrodz. uznasz. Wydana JP. Krajczyna, siostra moja, z powodu szacownego przywiązania do niéj JW. Krajczego, ubogacona posagiem, majątkiem, imieniem, edukacyą, urodą i innemi nieoszacowanemi w opinii ludzkiéj darami; któż o stałéj szczęśliwości nie sądziłby? — przecież kochany Krajczy nakoniec uciec musiał. JP. Chorążyna, prócz tego wszystkiego dowcipem najokazalszym obdarzona, mogąca giętkością swoją stałe uczynić uszczęśliwienie; — przecież znam dobrze, mam dowody w ręku, jak jest obłudne; i zapewne JW. Pan Chorąży Koronny poszedłby za przykładem starszego szwagra, gdyby go potrzeba i miłość własnéj subsystencyi od tego nie wstrzymywała.

»I byłożby to myśleć stale, gdybym uwiedziony pozorem publicznych przesądów, w tak pewną wikłał się nieszczęśliwość? i przeciwną tej sytuacyą nad wszystko nie przeważał? nie mam pretensyi do approbaty powszechnej, nie mam do publicznej (choć *uxor sequitur conditionem mariti)*, ani do łapania i zyskiwania dymów;—chcę w domu być szczęśliwym, nie zazdroszcząc nikomu, życząc każdemu takowej podług jego przeświadczenia.

»Ten jest cel duszy mojej, poważającej wielce zawsze wspaniałą i dobrze myślącą JW. Pana osobę, którego łaskawość zawsze dla mnie zazdrością, gdyż ją skarbić sobie pragnę, w tych sentymentach trwać nie przestanę; mnie wielce miłościwego Pana, najobowiązańszy i najniższy sługa etc.”

—A pięknie justifikuje się P. Wojewoda Podlaski, odezwał się P. Kommissarz Manasterzyski—wszak i ja ożeniłem się, a co komu do tego z jakiego rodu jest ona: dosyć, żem szlachcic z antenatów, i gdyby kto mojej żonie co śmiał powiedzieć, to do

stu katów odciąłbym łeb...;— tak! tak! nie inaczéj, *uxor sequitur conditionem mariti* (*). i wtém gdy już trunek zaczął go rozmarzać, porwał się do szabli i kręcąc się po izbie i wymachując kilkakrotnie, wrzasnął przeraźliwie, wedle swego zwyczaju, obróć się P. Kuliński i tnij w lewo i w prawo!

— Ale dla Boga! podbiegł Chorąży, co ci się widzi — wszak tu niema nikogo z kimbyś się pojedynkował, wszak to nie sejmik Winnicki, ani odpust Berdyczowski, co robisz Wuju!— zastanów się!

Zwolniał Kuliński i usiadłszy na zydlu;— ot widzicie Panowie, mnie złość wzięła na tych, co to drugim przyganiają, i byłbym piérwszym sekundantem Pana Wojewody: bo to widzę człek słuszny i rozumny; jak WMość Pan Dobrodz. czytałeś ten list, to aż serce się radowało z takiego ornamentu wyrazów.— Wtém hajduk P. Wojskiego doniósł, że zrazy z kaszą jaglaną już są gotowe.

(*) Żona wstępuje w stan swego małżonka.

— Mnie wielce miłościwi Panowie i bracia! raczcie podzielić i ze mną wieczerzę, odezwał się Pan Wojski, i choć w szczupłej izdebce, zaszczyćcie bytnością swojego brata.

— Zgoda, zawołał P. Chorąży, a P. Kuliński odpocząwszy wstał i pierwszy pośpieszył.

Przy wieczerzy P. Kuliński nie dał spoczywać kuflowi, kilkakrotnie porywał się do szabli, wykrzykując swoje: obróć się P. Kuliński —, lecz, że miód po szóstej szklanicy coraz nim silniej kołysał — porwał go w pas Wielobycki i mówiąc dobra noc, zaprowadził po niejakim oporze na spoczynek.

2.

Fatalne kupno.

Już słońce było wysoko i ruch znaczny ukazał się w mieście, śpieszyli wieśniacy i wieśniaczki z swoimi produktami — kwicza-

ły wiezione na sprzedaż karmne kabany, rżały konie, zaczepiały się o siebie wozy, chcąc się wzajem wyprzedzić i lepsze zająć miejsce na targowicy:—koło Kommisorjatu takoż było większe krzątanie się:—już nawet sam P. Kommisarz Brochocki w kapocie rannéj okazał się na dziedzińcu, a zawoławszy swoich manualistów, rzekł do jednego z nich Jakóba Strzelbickiego: — pamiętaj mi waść przejść się po jarmarku i do mego szpaka, co chodzi w dyszlu w kolasce, kupić podobnego—bo bułany nie zmaga i chartowaty—masz waść na to 15 dukatów — to rzekłszy, podpierając się obuszkiem i chromiąc, gdyż był kuter-noga, wrócił do pokoju.

Wkrótce potém kilka kolas, skarbniczków, bryczek i półkoszków z różnych gościńców zawitało do miasteczka—powodne konie prowadzono przy koniach lub za powozami, i wszystko to tassowało się na placu niedaleko ratusza.

Już się i dzwony w cerkwiach odezwały i hałas coraz się bardziéj miejski rozlegał, gdy

nasz P. Kuliński dobrze jeszcze spoczywał. Wtém dwuch dziadów ślepych zbliżywszy się ze swoim przewodnikiem pod okna ratusza, gdy znaleźli wolne poddasze, usiedli — jeden zaczął pieśń o świętym Mikołaju, a drugi na lirze mu przygrywał — ktokolwiek przechodził rzucił im kawał chleba, obwarzanek lub grosz jaki, a czém zachęceni tém mocniej głos swój podnosili — melodya ta zbudziła śpiącego Kulińskiego.

— Ej do sto set katów! krzyknął, Zawerucho! Zawerucho! a pójdź no z nahajką i wszystkich tych baranów zpod okna mego powypraszaj. Zawerucha w moment oczyścił całe poddasze — ślepi nie mogli jak inni uciekać, skropił więc obu nahajką, a ci padając na pobliskie drzewo, potłukli swój korzystny instrument, klęli i pana i jego kozaka — uczuło to i pospólstwo; a przewodnik pobudzony wspólną niedolą, po chwili przystąpił pode drzwi pańskie i począł użalać się na kozaka i szkodę tak wielką. Nie w swój czas zbudzony Kuliński w najgorszym był humorze, a posłyszawszy głos ja-

kiś, sam drzwi otworzył; nizko kłaniając się biedny kmiotek, pokazał mu stłuczoną lirę — okropny mu P. Kuliński policzek wymierzył i trąciwszy o ziemię, znowu wrzasnął: Zawerucho! bij tego przeklętego chama i wypędź za wrota. Posłuszny sługa niejednego tęgo zaciął; i wkrótce zaskrzypły wrota sienne, i jakby po gwałtownym wybuchu do koła wszystko ucichło.

Niebawnie Pan Wojski w swoję ruszył drogę: chorąży także, a P. Wielobycki już dwukrotnie obiegł targowicę — et co tam P. Jakóbie, dobry będzie jarmark, rzekł Kuliński, dostanę ja sobie szpaka i gniadosza? — już u djabła dosyć jeździć parą lub trzema końmi, wszakci to Kommisarz P. Wojewody Bracławskiego powinien być równy Kommisarzowi P. Wojewody Wołyńskiego, nie prawdaż? Widziałem nieraz jak P. Brochocki paraduje w swojej kolasie — otoż i moja połowica tak powinna: — be! co?

Zapewne mój Mości Dobrodzieju! szlachcic Saborowiccki (*) lepszy może od tych

(*) Sabarowka w Gub. Kijow. powiecie Lipowieckim.

przybyszów, co to Bóg wie zkąd na nasz chleb pościągali się.

— No panie bracie! trzeba nam przekąsić, a potém do dzieła — hej Boruch! dajno nam gorzałki i przekąskę, tylko prędko!

— Zaraz, zaraz Wielmożny Panie! u mnie jest wszystko. — Jakoż wkrótce kilka pierników pieprznych i butelka kminkówki zawitały na stół — pociągnąwszy P. Kuliński haust jeden i drugi, zalecił suty obiad, a sam z Wielobyckim poszedł na jarmark. Długo przeglądali różne konie — byli i w tabunie jednym i drugim, lecz nigdzie do gustu nic sobie wybrać nie mogli; nareszcie obróciwszy się ku kościołowi, przypomniał P. Wielobycki, że to już wkrótce summa będzie i godzi się tam wstąpić.

— A dobrze Panie bracie mówisz — wszakci to i my nie bisurmany, może pomodliwszy się prędzej co kupimy. Zaledwie wstąpili na próg kościoła, aż wtém zaszła przy asystencyi hajduków kolasa i PP. Kommisarstwo Brochoccy z dwojgiem dzieci z niej wysiedli. Pani Brochocka była to młoda wy-

smukła brunetka, jéj twarz krągłą białą zdobiły duże błękitne oczy, nad niemi wznosiły się dwa sznureczki brwi czarnych — głowę ustroiła w lekki czepek, zpod którego wypływały włosów pierścienie — była to nowa moda francuzka, po owych zniknionych fryzurach, szenionach i po owych rubronach, szustach i rogówkach. Miała suknię białą krótką muślinową na różowéj spodniczce, niewielkie jéj fałdy robiły tém szczuplejszą kibić; nóżkę obuła w liljowy skórkowy trzewik, obwiązawszy ją starannie czarnemi wstążeczkami. Pan Kommisarz był w kamlotowym brązowym kubraku, w białym atłasowym żupanie, podszytym zieloną kitajką — szyi śpięcie ozdabiał piękny koral i dziwnie odbijał od jego czarnych oczów i ściągłéj białéj rumianéj twarzy; — usiedli oboje w piérwszéj ławce — Pan Kuliński w stroju swoim podróżnym, nie chcąc na siebie zwracać niczyich oczu, skrył się za filary i tak kazania i resztę summy wysłuchał. Po summie Kuliński dobrze u Borucha podjadłszy i demechy kilka szklanek

spełniwszy, podkręcając wąsy znowu wyszedł z panem Wiełobyckim na targowicę— przeglądając i targując różne konie, nadszedł jak przy jednej bryczce u jakiegoś ekonoma ów Strzelbicki manualista targował szpaka, właśnie takiego, jakiego sobie Kuliński życzył. Ekonom chciał 16 dukatów, a ten mu tylko 14 dawał — obszedłszy go kilka razy Kuliński, jak zawsze niecierpliwy i gwałtowny: — zawołał: co tam do stu katów wiele gadać! — masz Aspan odemnie 15 dukatów i koń mój; ekonom podał rękę — wtém podskoczył Strzelbicki — otoż ja daję 16 i konia odbieram. Trącił go Pan Kommisarz tak, że nosem o ziemię zarył, a Wiełobycki konia natychmiast do ratusza uprowadził — sam wziąwszy się do sakiewki wyliczył 15 dukatów ekonomowi i poszedł szukać drugiego — po chwili uradowany powrócił Wiełobycki i każdy zosobna począł sobie jarmarkować.

Tymczasem Strzelbicki znieważony porwawszy się z ziemi poleciał wprost do swego pryncypała, a opowiedziawszy rzecz ca-

łą, otrzymał polecenie wziąć kilku kozaków, konia odebrać a pieniądze zwrócić. Jak wyrzekł, tak się też wkrótce stało. Na próżno kozak Kulińskiego nie dozwalał bez wiedzy pańskiej brać konia; lecz wszyscy zakrzyczeli, że to koń P. Kommisarza Księcia Sanguszki, że jego pan niesłusznie nabył, i kładąc 15 dukatów na stole w stancyi, sami śpiesznie odeszli. Lękał się Zawerucha odstąpić pieniędzy i tak niecierpliwie wyglądał przybycia swego pana. Gdy jednak doczekać się nie mógł, posłał Borucha z doniesieniem: jakoż przybiegł Kuliński, porwał owe dukaty, przypasał pałasz i wprost ruszył do zamku.

Właśnie tylkoco od stołu wstano, i PP. Brochoccy siedzieli w długiej izbie, z której wychodziły drzwi do ogrodu. Dość jeszcze było ludzi w jadalnej, a na ganku stali manualiści, rachmistrz i kilku pozostałych z sessyi ekonomów — zaledwie im kiwnął głową Kuliński i pytał się, gdzie jest Pan Brochocki — okazano mu pokój, a on wszedłszy zawołał: — jestem Fabijan Kuliński, dobry

szlachcic, niegdyś Konfederat, a teraz Kommisarz Pana Wojewody Lanckorońskiego w kłuczu Manasterzyskim — przyszedłem tu za koniem moim, któregom kupił, a pan do stu katów kazałeś go odebrać i powrócić pieniądze. Nie chcę pieniędzy — nie przyjmuję — i to mówiąc rzucił z całej siły dukatami po stole.

— Stój Asindzi! z takim impetem: koń był pierwej przez mojego manualistę stargowany — hej panie Strzelbicki, Piskorski, Drużbacki — chodźcie no, powiedźcie jak to było. Wleciał naprzód Strzelbicki i rzekł z oburzeniem: — ten jegomość właśnie mi z rąk wydarł konia i jeszcze znieważył mój honor szlachecki, bo mię tak potrącił, żem na ziemię upadł.

— A widzisz Asindzi — żeś konia sam wydarł i zrobił grubijaństwo.

— Co, ja konia wydarłem? a do stu palaruszów! to wyraźne kłamstwo: jam dał wyżej dukata, przebiłem rękę z przedającym, a ten młokos po targu, chciał mi go odebrać narzucając jeszcze dukata, to on wi-

nien, i za to prawda że nosem zarył — Upraszam Pana o konia mego i kwita.

— Oto Asindzieja upraszam być grzeczniejszym i nie wrzeszczyć, wiesz Asindziej do jakiego domu przychodzisz, a zapewne i wiesz przysłowie łacińskie: *laevius est omne vulnus, quam laedens verbum.* (*)

— Et co mi tam z łaciną: — ten młokos łże, kłamie, jam zapłacił konia, jam go kazał do mego żłobu zaprowadzić i jeszcze raz proszę o konia: bo do stuset djabłów sam sobie zrobię sprawiedliwość.

— Ale Asindziej nie krzycz! bo to mówią: *malis qui adulatur, pejores eos fecit* (**). No cóż Strzelbicki, tyś pierwej targował tego szpaka?

— Tak Wielmożny Panie! jam go sam wynalazł, jam targował i wyżej dawałem, bo 16ście dukatów, niż ten hałaburda i krzykacz, a on przemocnie go porwał.

(*) Lżejsza jest wszelka rana, jak słowo przykre.

(**) Złym kto pochlebia, gorszymi ich czyni.

— Co? ja złodziej! pijak! hałaburda! ej do stu set katów! obróć się P. Kuliński! i wtem obróciwszy się kilka razy, wyrwał pałasz z pochwy i natarł na Strzelbickiego — ten miał w ręku porządną sękowatą laskę, był gracz w bijatyce, zręcznie się zasłonił, a nawet parę razy odbił szablę. Tymczasem Pani Brochocka wraz z dziećmi na ogród uciekła — Pan Brochocki podobnież wybiegł; lecz pełen złości krzyknął na kozaków nie daleko stajen będących; przeskoczyło wnet kilku przez parkan, a ten z nimi wpadając do izby, zawołał: weźcie tego łajdaka, banitę! — Rzucili się na Kulińskiego kozacy, ciął on tego i owego, lecz gdy się ku drzwiom rejterował, podkradł się z tyłu jeden manualista i uchwycił go za prawą rękę, drugi za lewą, a inni szablę mu wydarli.

— A widzę Asindziej, rzekł po chwili P. Brochocki, jesteś intruz i violator! musisz tu *in loco delicti*, przyzwoitą odebrać karę.

— Jakto! ja mam karę odbierać? krzyknął Kuliński, za to żeście mi ukradli konia; to widzę nie jesteś Kommissarzem, ale hersz-

tem złodziejów, gdy wysyłasz łotrów na cudzą stajnię— Oddajcie mi konia! bo wszystkim łby pościnam, jako łotrom, łajdakom i wszystkim szel....

Tu mu gębę sążnisty kozak zatknął— a P. Brochocki długo sztykulując po izbie i sam z sobą passując się, zawołał: *tunc loquere, quando tacere non expedit.* (*) Tak! tak! nie inaczéj, Asindziéj żeś taki grubianin i tak nie uczciwy człowiek! gdy nas tu wszystkich krzywdzisz, Asindziéj musisz dla dalszéj nauki odebrać karę: boś mój dom napadł, tych młodych ludzi skrzywdził a poźniéj i mnie samego; o! hola śmiałku! już widać przebrała się twoja miarka nieprawości, słyszałem ja nie o jednych Asindzieja sprawkach, honor mój jest drogim klejnotem.

—Co? klejnotem twój honor! ty niegodziwy! i masz honor? chyba samego lucypera, nie polskiego szlachcica, tyś piérwszy rozbój....

(*) Wtenczas mów, gdy milczeć nie należy.

Znowu kozacy zatkali mu gębę; a tymczasem przyniesiono kobierzec, czterech kozaków rozciągnęło go; a JP. Strzelbicki za swoję i swego pryncypała krzywdę, wyliczył 25 odlewanych bizunów.

Po czém kłaniając się Pan Brochocki, wyrzekł jeszcze maxymę łacińską (*) *fer quod necesse, sicut necesse est* — a gdy ten ciągle przeklinał, odprowadzono go aż za bramę, włożono mu w kieszeń dukaty, a poźniej bramę zaparto i warta w koło stanęła.

Pełno było śmiechu, przytomni roznieśli go po mieście, a za godzinę cały jarmark wiedział, że Kommissarza Mauasterzyskiego wybito. Uradowali się nawet owi biedni lirnicy i mówili: tyś nas skrzywdził i zarobek jarmarkowy odebrał, teraz i tobie niegodziwy lachu jarmark dobrze się powiódł: stłukli i tobie lirę i nie prędko zapomnisz.

(*) Umiej znieść, co znieść trzeba.

3.

To mi to głowa.

Manasterzyska w których mieszkał Kuliński, pełne są wspomnień historycznych. Piszą, że były siedliskiem Manasterskich i Jazłowieckich: że je umocnił Jakób Sieniński Kasztelan Lwowski, a około roku 1652 zamknął się tu Bohun rotmistrz Chmielnickiego. Stefan Czarniecki sam szedł do szturmu; lecz dla postrzału w twarz zadanego, gdy upadł na ziemię i krew go oblała, rycerstwo bojąc się o jego życie, zaprzestało attaku. Poźniej od czasu Karłowickiego traktatu, gdy spokojność opanowała te miejsca i tylko mogiły z 52letnich wojen pozostały, wówczas i Manasterzyska zasunęły swe okopy, rozebrały palisady i tylko jeden zamek drewniany, oparkaniony, wspominał przychodniom, że to był niegdyś gródek warowny.

W nim to matka Kulińskiego z swoją synową podczas jarmarku Ilinickiego zostawały samotne. PP. Kulińscy nie mieli dzieci,

żona jego wzięła na wychowanie kilka sierot i niemi najgorliwiéj zajmowała się: mile to widziała matka mężowska, gdyż bardzo synowę lubiła. Pan małżonek zaś, jako człowiek surowy, nazywał dziatwę śmieciem i wołał nie raz, że to należy z domu wyrzucić; lecz cicha i bojaźliwa Teressa, umiała z matką tak zręcznie wszystkiemu zaradzić, że i on coraz to mniéj narzekał na swawolną gromadkę; chłostał niekiedy, ale skoro łzy ujrzał żony, hamował się w swéj zaciętości i porzucał dyscyplinę, która zawsze na kołku wisiała.

Właśnie Pani Fabianowa, jako w dzień świąteczny, uczyła czytać dwie maleńkie dziéweczki, a bąkając z niemi czas nie mały; tak się unudziła, że ją znużył sen i wkrótce do swéj alkowéj odeszła. Pani Namiestnikowa matka, wziąwszy koronkę do rąk, zebrała wszystkie dzieci pod lipy do ogrodu — nastąpiła cisza w całym domu, godzinę lub więcéj Pani Kommissarzowa przespała — wtém nagle zerwawszy się poczęła szukać matki.

— Cóż tak pomięszana jesteś moja Jejmość miła? zawołała Pani Namiestnikowa, opuszczając paciórki.

— Ach! matka Dobrodziejka nie uwierzy, jaki sen miałam nie dobry.

— Nie trwoż się moja kochanko! sen mara, Pan Bóg wiara, i zmów do przemienienia Pańskiego trzy Ojcze nasz.

— Dobrze Jejmość Dobrodziejko, ale czyż sen mam opowiedzieć?

— Jak ci się podoba: ale Bogu tylko moja kochanko ufać należy, wszak znasz ów psalm: Panie i Boże mój! w tobie cała nadzieja moja.

— Ach zapewne droga matko! lecz to sen był bardzo straszny — oto widziałam jak mąż mój pasował się w lesie z wilkiem bardzo długo, i wkońcu go wilk pokaleczył, i tak skrwawionego i posarpanego przynieśli do domu.

— Nie desperuj moja Jejmość, to była jakaś zmora poobiedna co cię trapiła — on na jarmarku między ludźmi i zapewne znajomemi i krewnemi, a ty kochanko niepotrze-

bnie snem marnym frasujesz się — porzuć i zmów pacierz do przemienienia Pańskiego. Wkrótce powolna Teressa uklęknęła przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa i szczérze się modliła.

Już po chwili i bydło z pola poczęło wracać i rozległe wzgórki miasteczka, okryte sadami cieniły się nawzajem, a słońce kryjąc się za nie, spuszczało po skwarnym dniu chłodną rosę. Zabłysły poźniej po chatkach i domach żydowskich małe światełka, jakby ziemskie gwiazdy, które odbijały się o staw w dole płynący — Dalej dopomogły i niebios lampy, które na pogodnym błękicie pełgając, odkryły noc piękną i widną. Długo niespokojna i bojaźliwa chodziła po dziedzińcu Pani Kulińska; lecz nie doczekawszy się męża, zjadła ze swemi domownikami wieczerzę i już zabierała się do spoczynku, gdy wtém zakołatano do bramy i dano wiedzieć, że Pan przyjechał.

Wyleciała drżąca żona na spotkanie tego dziwaka, ale zaledwie podał jéj rękę do uścisku, zawołał: wódki i jeść! Stanęło

wszystko na stole, lecz on nad podziw był milczący, chodził tylko ciągle po izbie, coś mruczał pod nosem, uderzał po szabli, lub zacierał ręce.

Obudziła żona Panią Namiestnikowę i ta o kiju, w pudermanie białym, pomału stąpając, przyszła powitać syna i w jego niespokojności uśmierzyć.

— A! Jejmość Dobrodziejka! skłonił się, pocałował rękę, i znowu począł chodzić po izbie.

— Czemuż synu nie jesz? mil 4, musiałeś się dobrze przetrzepać na koniu.

— Jak? przetrzepać? ale nic na koniu i kwita. Wtém buchnął wódki jeden i drugi kieliszek; a potarłszy dobrze czoło, zawołał: nie chcę jeść, chodźmy spać.

— Ale mój synu! bardzo czegoś zgryziony: może ci poradzim, nie opuszczaj pory; wszak starzy zawsze mówili: póki się ogień nie zajmie, co rychléj wodę léj, póki trawa mała, plewidła nie omieszkuj; a ty z czémeś się przed nami taisz? powiedz, proszę cię.

— Nie, mateńko! nie, powiem, lecz nie

dzisiaj — To awanturka do stu katów; ale już późno, chodźmy spać; i tak nie czekając nim wyjdą, sam ruszył do sypialni, gdzie wkrótce wszystko się uspokoiło.

Przez kilka dni Kuliński był bardzo posępny, jeździł po folwarkach, wydawał dyspozycije, nie raz gromił Ekonomów, domowników, a nawet dostało się i samej małżonce, jeśli odważyła się jaką dać radę, lub o co prosić. Jedną razą po obiedzie zeszli się wszyscy do ogrodu pod lipy, gdzie było powszechne schronienie w czasie upału letniego — Leonek, siostrzeniec, dziecina lat 8, i trzy dziewczynek mało co mniejszych igrały po ulicach, lub hurmem przybiegały do swoich dobrodziejów. Z upodobaniem i wesołością poglądał P. Kommissarz na dziecinne zabawy. Widząc dobry humor męża, przysunęła się podówczas Pani Kommissarzowa i całując rękę jak najczulej, wspomniała, że ma prośbę do niego.

— No to mów Aspani, tylko nie długo: bo wiesz że tej amplifikacii nie lubię; ja człek wojskowy — u mnie raz, dwa, trzy i kwita.

— Mój Jegomość łaskawy! powiedz, powiedz! co to miałeś za umartwienie w Ilińcach?

— A taki koniecznie kobiécie wiedzieć wszystko potrzeba? Wtém zbliżyła się stara, osiwiała matka, a podnosząc oczy swe do góry: na rany Chrystusa, rzekła, zaklinam cię synu! powiedz swe nieszczęście, a może co zdołamy zaradzić.

— Ha mateńko! ponieważ wy tego chcecie, a może mi co i poradzicie, to już wam i powiem. Tu oddaliwszy dziatki, opowiedział wszystko co się z nim stało w domu Pana Brochockiego, dodał nakoniec: wyjechałem skrycie z Iliniec tylnemi zaułkami, tak, żem się nawet nie widział z P. Wielobyckim.

Zalała łzami oczy młoda Kulińska, załamała ręce, i poczęła ciężko szlochać. Pani Namiestnikowa powstała, a długo trzęsąc z poruszenia wargą, przemówiła wreszcie: synu! winieneś ze swojej hałaburdy, a może i z trunku; ale P. Brochocki, równy tobie w urodzeniu i obowiązku, nie miał prawa

tak cię krzywdzić, i widać, że to syn pogański, gdy tak swą zemstę okazał — kochać swych nieprzyjacioł, nakazuje Ewangelia święta; więc tobie mścić się nie należy. Masz mego krewniaka P. vices-Regenta Czyżewskiego, pojedziecie oboje dla większej attencyi, a on, jako człowiek afidowany, pewnie ci dobrze poradzi.

— Ach jedźmy mój mężu! bo krzywda twoja srodze mnie dopieka, zawołała P. Kulińska i znowu rzewnie płakać zaczęła.

— Ot porzuć do stu katów te piski! ja sam układałem, że trzeba pojechać do moich braci Sabarowieckich; lecz aby nas nie poszlakowano, pojedziem piérwéj z Leonkiem do mojéj siostry, a ztamtąd do Sabarówki.

W parę dni wybrali się PP. Kulińscy w drogę. P. Kulińska przywdziała starym jeszcze obyczajem, liliowy kwiecisty robron, lankotką białą koło gorsa i u spodu obszyty, angażanty z forbotami zdobiły rękawy, a czapeczka karmazynowa okrągła, fałdzista, z atlasu, takoż z białemi lankotkami, przystrajała twarz ściągłą, smagłą, którą białe zęby

i koralowe usta ożywiały — Oczy piwne i zacienione pięknemi czarnemi rzęsami, nos foremny, ciągłe dołki na licach ledwie nie za każdém ust poruszeniem, nadawały temu obliczu szczególniejszy wyraz łagodności i wdzięku. Był to dziwny kontrast z jéj opryskliwym małżonkiem, jak ogień z wodą: bo kiedy on latał, wrzeszczał, klął i bił; ona na wzór skamieniałéj Nioby siedziała ze spuszczonemi oczami, i tylko na to je podniosła, aby jak ów strumień chłodzący upał, ze złości gorejącego męża ostudzić i powstrzymać. Wszyscy z włościan i podwładnych kochali Panią Kulińskę, a bali się samego. W takim więc stroju, w trzewikach na korkach wysokich, które jéj dodawały tém większego wzrostu, wystąpiła Pani Kulińska do swéj familii — towarzyszył jéj małżonek w mundur Województwa Brasławskiego przybrany. Cztéry konie w poręcz ciągnęły zielony i od kłódki z tylu po kielni brzęczący skarbniczek, a hajduk i furman w barwie jasno-szafirowéj siedzieli na koźle. Że to była nie wielka odległość, nazajutrz już

byli u Pana Czyżewskiego, i walna toczyła się rada wśród szlachty zebranej, jak tu postąpić z Panem Brochockim.

Skarbnik Kopczyński, najbogatszy ze wszystkich i już podżyły, mówił: —At Panowie bracia, dajcie pokój! nie bijcie się! i jak vices-Regent radzi, pozwać o grzywny i wieżę in fundo; pamiętam ja nie takie czasy spokojne: dawniej Trybunały rzadko bywały, a Ziemstwa i Grody po lat kilka nie sądziły: dzisiaj to i Król i Stany Rzeczypospolitej o to się starają, a za ś. p. Augusta III. najczęściej same tylko były zajazdy, burdy pijackie i napady na domy. Pan Fasczewski dziedzic Cybulowa na granicy od Koneły żywcem zakopał kilku kozaków Konelskich i na nich kopce posypał, a cóż mu za to? oto zapłacił grzywny i coś tam kilka niedziel dolnej wieży miał siedzieć. Żeby zaś głowę za głowę rekompensować, to później panowie pogodzili się, a biednych chłopów życie przepadło. Cóż dopiero sprawa pomiędzy równą Szlachtą? będziecie się bić bez końca i świat śmieszyć; lepiej od razu pozwać

do Grodu i zyskać rychło dobre grzywny i wieżę.

— Już to Mości Dobrodzieju! że będą grzywny, ja panów wszystkich ręczę, odparł P. Czyżewski; ale żeby to było rychło i dobrze, to mój Skarbuiku, nie tak to się dzieje jak z pola zebrać: bo do każdej prawności, potrzeba ale wór pieniędzy a dwa pilności. P. Kommissarz Kuliński człowiek bardzo prędki, a tu ale potrzeba naprzód obdukcyi, aresztu, protestacyi i pozwu, a potém ale jurysty, plenipotencyi, kilkorga kopii i dekretu na kondescencią, a nakoniec ale na kondescencyi co to akcessoryi, względem *locum delicti*, *delacyi*, *excepcii testimoniorum*, i ale co do saméj depozycyi, ale... — I do stu set fur beczek djabłów, z tym processem! cóż to Waść Panie vice-Regencie, chcesz bym się całe życie processował i w końcu zapomniał, że mnie zbito i honor szlachecki splamiono; to potrzeba jezuity nie żołnierza: co to i pacierz klepie i skórę trzepie. Nie chcę processu, ja sobie sam zrobię satysfakcyą.

Przyskoczyli PP. Witkowscy, Łukaszewicze i Smalawscy bracia: — dobrze! bardzo dobrze! odezwał się jeden z nich, my wszyscy jako naszemu bratu dopomożemy, a to zaraz wsiądźmy na koń, podstąpmy nocą pod zamek Ilieniecki, zapalmy go z jednego rogu, i gdy wszyscy ruszą na gwałt, my swój gwałt dopełnimy, i tego kuternogę wywlokłszy, damy mu ze 200 bizunów!

— Co! bizunów? Witkowski podchwycił, nie bizunów, ale mu jak psu w łeb palnąć, to Mospanie króciusieńko; a samym w nogi i nikt o tém nie będzie wiedział — Dalibóg tęgo! sprobujmy tylko, pójdzie jak chléb z masłem. Na ten głos wrzasnęli i inni szlachcice, których w Sabarówce do kilkunastu było, a wszyscy spokrewnieni pomiędzy sobą, na dziedzicznych siedzieli gruntach.

— Ale bracia! Panowie Szlachta! odparł P. vice-Regent, cóż to ale chcecie przypomnieć jak się to stało w Litwie na Panach Zabrzezińskich? za czasów dawnych, ale bardzo dawnych, bo to jeszcze *anno milesimo quingentesimo quindecimo*, i tu zmrużył

oczy, długo myślał, a wreszcie kiwnąwszy ręką — at nie pamiętam jakiego to roku, ale mniejsza z tém, dość ale, że to było za Zygmunta starego, Króla naszego bardzo potężnego: prawda, że Gliński w nocy pobił ich; lecz cóż ale potém? musiał uciec jako zdrajca ojczyzny, a później, gdy i Moskwę chciał zdradzić, to mu oczy wyłupiono, a a cały majątek Król nasz, ale na Skarb zabrał. Na cóż wam się to zdało, żeby i wasza Sabarówka przepadła, a wy ale jęczeli po turmach, lub nie jeden odwiedził ale wieżę Latyczewską, lub wpadł w ręce katowskie; nie trzeba, nie! trzeba tak! ale, jak radziłem, tak ale i mówię teraz, obrać *viam processam* i tego życzę P. Kulińskiemu.

-- A niech mię czarci porwą i na hak prowadzą do stu katów! co Waść vice-Regencie życzysz, niby to mój bliski krewny, a tylko za jurystami ciągniesz: bo to bracia! kruk krukowi oka nie wykole, wszak prawda? a może zechcesz Waść i konferencią w Winnicy zrobić, i beczkę wina przy niéj

wypić i jeszcze dziesięciom palestrantom z 50 dukatów dać; a niech mnie paralusz porwie, już tego nie będzie: mam szablę i was bracia za sobą, to mi konferencia! to mi process! he na cóż mi lepszych dowodów? Już ja temu przybyszowi, łacinnikowi, łotrowi, kulawemu djabłu, muszę z nawiązką odpłacić, a kto się tylko sprzeciwi, to mu łeb utnę ze...—i wtem wpadłszy w swój zwykły zapał, krzycząc: obróć się Panic Kuliński! i kręcąc się po izbie, porwał za pałasz i wszystkim groził, co mu tylko nie potakiwali.

Wrzasnęły na ten tumult kobiety i dzieci w drugim pokoju będące, i hurmem wybiegły do mężczyzn. Porwała Pani Kulińska swego męża za rękę, poczęła całować i prosić, by zaprzestał tych hałasów. P. vice-Regent tymczasem wyniósł kilka butelek wiszniaku i wszystkim jakby gęby pozamykał.

Po chwili Pan Skarbnik otarłszy swoje siwe duże wąsy, przerwał milczenie.—Już to bracia i spaźnia się i czas do domów: nic my widzę dzisiaj nie uradzim na krzywdę brata naszego P. Fabiana; ale zapomnieli-

ście, że między nami nie masz Pana Porucznika od polnéj buławy Kwaśniewskiego: on to peregrynus i człowiek co zna świat, radziłbym do jego przyjazdu wstrzymać się i za jego pójść zdaniem.

— Dobrze mówi Pan Skarbnik, odezwał się Wielobycki, ja mu wszystko opowiem i tu go za przyjazdem sprowadzę.

Gdy wiszniak bardzo zasmakował P. Kulińskiemu i już się do woli nawrzeszczał, kiwnął ręką na znak zgody; a szlachta widząc, że już się Pan Skarbnik skrycie wyniósł, pomału rozchodzić się poczęła.

Znowu zeszło dni kilka, nim się doczekano P. Kwaśniewskiego i Pan Wielobycki raniutko stanął z nim w domu P. vice-Regenta.

— Czekamy rady Pana Porucznika Dobrodzieja, co tu w tym excessie począć? odezwał się P. Czyżewski, a za nim wkrótce nadszedł i skrzywdzony P. Kommissarz.

Pan Porucznik był suchy, szczupły i małego wzrostu, niejedenby go wziął za młodzika, lecz głowa siwizną okryta i pomarszczo-

ne pożółkłe lica, okazywały wiek znaczny, a broda pocięta i pozszywana, dawała świadectwo, że wzrost szczupły odwagą i męztwem nagradzał. Oczy jego duże, czarne, pełne były żywości, w całej postawie szczególniejsza panowała ruchawość, co chwila lub się zrywał chodzić, lub siedząc zacierał swoje wypukłe czoło. Był także w mundurze Bracławskim i sutym litym pasem po razy kilka opasany dla nadania sobie jakiejkolwiek powagi i okazałości. Na zapytanie więc Pana vice-Regenta tak odpowiedział:

— Już to ja dawno miałem honor oglądać Waćpana Dobrodzieja, Panie Fabianie Kuliński! w nasze strony nigdy i nie zawitasz, tak sobie upodobałeś chléb P. Wojewody Bracławskiego; lecz my zawsze pamiętamy na krew naszę, i jak tylko pomódz potrzeba, nigdy od tego nie odbiegamy; wszelako daruj, co powiem, o wzajemność prosimy, i brat Fabian niech zawsze pamięta na rodzinne gniazdo.

— O Mości Dobrodzieju! rzekł Kuliński: niewinnie mię posądzasz, wszak służba wol-

ność traci, i do stu set katów, chciałby czasem człowiek wyrwać się, ale P. Wojewoda nie zasypia, to posłańce, to korrespondencije często gęsto nasyła, że czasem nie ma kiedy i w głowę się poskrobać — a cóż dopiéro sama gospodarka, co to czasu zabiera, a sessije, a sprawy chłopskie i żydowskie; et daj pokój Panie Poruczniku! nie wymawiaj mi, bo ja choć tam siedzę, lecz sercem zawsze jestem przy moich miłościwych braciach. I dziś do kogoż udałem się? przed kim moję krzywdę i nieszczęście odkryłem, jeśli nie przed bracią Sabarowiecką? bo ona jedna, spodziewam się że mi pomoże; wszak prawda mój Panie Poruczniku?

— Jużci to pomódz za skrzywdzony honor szlachecki należy: bo to nie raz mi się zdarzyło widzieć i za granicą i we własnéj ojczyźnie; ale jak? to rzecz trochę trudna.

Tu począł kłaniać się P. Kommisarz i za kolano ściskać P. Porucznika; i kiedy P. vice-Regent na perorę długą gotował się, uderzył ręką po czole P. Kwaśniewski, pomy-

ślal trochę, zażył tabaczki i tak stanowczo wyrzekł:

— Ja krótko Państwu powiem, bo znam regulament wojskowy i znam co to pojedynki i processa. Ów Pan Brochocki będąc wyzwany, ma prawo broń obrać i piérwszy strzelać; a kat jego wie, jaka w nim sprawność i oko; mojém zdaniem, bracie Fabianie, pokwitować się piérwéj z nawiązką, a dopiéro czekać czy pojedynku czy processu, bo to dawno już powiedziano: głowa za głowę, a batogi za batogi.

— Ślicznie! wrzasnął P. Kuliński: to mi to głowa! krótko a węzłowato; tak do stu set fur beczek samych djabłów! nie inaczéj, batogi za batogi i kwita.

— Ale jak to zrobić? a potém jaka to będzie długa droga processu! Ej Panie Poruczniku! to mi się zdaje niepotrzebnie i bardzo trudno! lepiéj ale od razu do pozwów, mówił P. vice-Regent.

— Daj Pan pokój z swoją jurysteryą, odrzekł Pan Kwaśniewski, nie raz się tak zdarzyło, że strony pomarły i końca nie docze-

kały się, a wtenczas pięknieby nasz brat Fabian wyszedł. Jak zaś tego dokazać, rzecz łatwa: zmyślić list od P. Kommissarza Granowskiego Okuła, niby to prosić Jegomości na kuma, i gdy wyjedzie, na drodze skórę mu wytatarować.

— Brawo! wyśmienicie! zawołał P. Wielobycki, ja się przebiorę za kozaka Granowskiego, a Państwo list ułożcie.

— Dziękuję! dziękuję jak najuniżeniej Panu Porucznikowi Dobrodziejowi za tę radę, odrzekł P. Kuliński: zbiorę ja dosyć braci na pomoc, mam przy tém kozaków swoich nie mało, a temu kuternodze, łotrowi, przybylcowi, przeklętemu łacinnikowi, po polsku skórę wykarbuje. Tak! tak! nie inaczej stać się musi do stu set djabłów, chyba Kulińskiego na świecie nie będzie.

Zaczém nastąpiła zupełna wesołość. Wkrótce dano śniadanie, po niém suty bankiet, a Pan vice-Regent ułożył tym czasem list następny do Pana Brochockiego:

«Mnie wielce miłościwy Panie i szanowny bracie mój!

«Kiedy sukcessa pomyślne tak zrządziły, że miłościwy Pan z Panią Cześnikową Wendeńską, godną swą małżonką w roku pozaprzeszłym jeszcze odwiedziłeś nasze progi i naszę córkę Anielę, według afektu swojego a powinności chrześciańskiej doprowadziłeś, jako Zbawiciel naucza, ze wszelką apparaciją i ceremoniją do chrztu świętego; tak teraz niedawno narodzona Petronela, oczekuje tychże samych względów od miłościwych Państwa Dobrodziejstwa i Ich do siebie przez usta rodziców swoich, acz nie śmiało zaprasza i obliguje. Wielce nam pożądano będzie, gdy ten ornament i godna wieków Ich gratias, w dniu jutrzejszym na obiad do nas zawita; a my jako wdzięczni przyjaciele, wyryjemy to na sercach naszych i z mlekiem wbijać będziemy do głowy córce naszej Petroneli, żeby umiała kochać swych rodziców chrzestnych i na równi z generatricis, jakby na szali sprawiedliwości Temidy, kładła swój afekt, miłość i estymaciją. Z niecierpliwością tedy wyglądamy Ich przybycia, i mam honor pisać się dla obojga

WW. Cześnikostwa Dobrodz. mnie wielce miłościwych państwa, jako uniżony brąt, Ich wielki estymator i najniższy sługa.

Jan Chrzciciel Okuł
Komissarz K. W. Podoll.

Wszyscy przytomni pochwalili ten list. Pan vice-Regent, jako dobrze świadomy ręki Pana Okuła, udał ją na podpisie, a uradowany z siebie i z głośnej pochwały, oddał go uprzejmie Kulińskiemu.

4.

Wet za wet.

Zwolna toczyła się kolaska zielona PP. Brochockich: pięć koni szpakowatych popędzał z konia stangret: szor mosiężny połyskiwał za każdém ruszeniem głowy końskiej, a dwuch kozaków odmiennej barwy jechało naprzód. Już minęli miasteczka Daszów i Kitajgród: już tylko była mila od Granowa, kiedy wjechali w lasy i zbliżali się do traktu

poprzecznego około karczemki. Jeden z kozaków w zielono-jasnéj barwie z pąsowym jołomem, zatrzymał przed karczemką swego konia, zsiadł i niby zaczął coś poprawiać koło kulbaki. Wkrótce zatrzymał się i drugi — tuż podjeżdżali Państwo Brochoccy; wtém wrota karczemne się rozwarły i ze dwunastu jezdnych otoczyło kolaskę. Jeden z nich uchylając konfederatkę zawołał: — A pozdrawiam Państwa Dobrodziejstwa! gdzież to Bóg prowadzi? czy nie do Granowa do PP. Okułów na chrzciny? — lecz zaczekajcie trochę prosimy bardzo, mamy do samego Pana Cześnika interes.

— Ruszaj! krzyknął P. Brochocki na stangreta: biczem konie, biczem! Porwał się woźnica, lecz już przednie konie były w ręku wierzchowych, a ów kozak Granowski, trzymał dobrze kozaka Ilinieckiego, który szarpiąc się chciał swoim panom biedz na ratunek. Gwiznął Kuliński, a ze dwudziestu szlachty i kozaków z błękitnemi jołomami, wybiegło z różnych stron lasu. Aha! krzyknął potém, musisz teraz poznać, kto

jestem! Zapomniałeś widzę Fabiana Kulińskiego, którego przed kilką niedzielami skrzywdziłeś, i konia mu, jak rabuś odebrałeś; otoż teraz nastąpiła pokuta, i musisz nadstawić skórę za skórę.

Wyciągnęła ręce Pani Brochocka nad fartuch kolaski i poczęła błagać: — Niech pojedynek, jako między ludźmi zacnie urodzonymi tę rozstrzygnie sprawę.

— Co! pojedynek? a mnie to na co, do stu set par djabłów, ja wam zrobię pojedynek!

— Ale Panie Kuliński! przemówił pomieszany Pan Brochocki, bój się Boga! opamiętaj się! co to jest! wszak wiedz: *Quae culpas, noli facere.* (*)

— Wyłaź łajdaku! wyłaź! wyłaź! wrzeszczał Kuliński, a jeśli nie, to nad tobą budę zerwiemy i na tych podniesiemy pałaszach.

— *Nec Hercules contra plures*, jeszcze mruczał P. Brochocki i chował się w głąb

(*) Czemu przyganiasz, nie chciej sam tego czynić.

kolaski. Wtém kilku przyskoczyło szlachty, odpięli fartuch, oderwali drzwiczki i porwawszy za ręce, jakby lisa z jamy wyciągnęli Pana Kommissarza.

— A co Panie bracie! wpadłeś w moje łapki i będziesz na całe życie pamiętał. No bracia! do bykowca! dajcie mu tęgo we dwójkę; bo trzeba, jak mówi Pan vice-Regent, oddać z nawiązką. No Panie Wielobycki, przebrany kozacze! i ty Panie Smalawski! dobądźcie swej siłki. Wtém nadbiegł Pan Witkowski i Czyżewski i nie pozwolili, aby na trakcie i bez przyzwoitego honoru ten akt odbył się: przyniesiono od żyda kilimka, i *in publico loco* przed karczemką wyliczyli mu plag 50.

Omdlewała ze strachu i rozpaczy Pani Kommissarzowa, trzeźwili ją i pocieszali pozostali na eskorcie Panowie szlachta; poźniej zaniesiono do kolaski Pana Brochockiego, a P. Kuliński zawołał: — Teraz z Bogiem, już po chrzcinach, możecie jechać do domu; bo to jak mówią: kwita byka za indyka — a pamiętaj ty Panie łaciuniku! kuternogo!

łajdaku! abyś się więcej nie ważył tykać skóry szlacheckiej: bo jakem Kuliński! tak do stu set regimentów djabłów, łeb ci utnę ze.... wszak prawda moi bracia kochani?— Ale już potoczyła się na powrót kolaska, a krzyki i śmiechy głośne, jakby grad z nawałnicą, odbijały się tylko o struchlałe i zhańbione serca PP. Kommissarstwa.

—Teraz proszę do mnie PP. bracia; warto dobrze pobankietować, gdyśmy nieprzyjaciela zwyciężyli.

—Zapewne! zapewne! odezwały się wieloliczne głosy i przez kilka dni w Manasterzyskach trwała hulanka, śpiewy i tańce. Nie jeden z braci Sabarowieckich dobrze się upił, nie jeden się powadził i znowu przy szklance pogodził; a cały dom zdawał się być jarmarkowym ratuszem, gdzie wszystko było pomieszane złe i dobre. Sprzykrzyły się nareszcie te hałasy Pani Namiestnikowej i pomniąc zawsze na Boga, w dniu czwartym rano, przyszła do swego syna i poczęła mówić: —Fabijanie! uspokój się w tém weselu i oddal tych krzykaczów: już mię

uszy bolą, a nawet nie mam kąta, gdziebym się szczérze mogła pomodlić. Ty się radujesz, a ja łzy leję — ty pijesz, skaczesz i czapką potrząsasz, a mną bojaźń, trwoga i niepewność miota. Nie wiesz jeszcze końca téj sprawy, a pocóż tak się weselić? może to twój grób i ostatnia hańba.

— Jakto mateńko? ja już hańbem zmazał, i kwita; a jeśli on chce na szablę i pistolety, to ja gotów mateńko! i nie mam czego się lękać.

— Ale synu! on możny i możnego pana sługa, on może na dom twój najechać, spalić i ciebie zabić; a może porwie się do processu, i tak cię zniszczy, że ty pójdziesz z torbami, lub gnić będziesz gdzie na jakim zamku. O synu! proszę cię i zaklinam! wypędź tę hałastrę i pomyśl nad sobą.

— No, no, matko! nie bójcie się! na to głowa, aby postronek nie spadł; na to szabla i ręka, aby się dobrze bronić. Nie bójcie się, jeszcze raz mówię.

Poszła z tém strapiona staruszka, a P. Kuliński chociaż chciał jeszcze bankietować;

lecz przez uszanowanie dla matki, musiał oddalić szlachtę, i zamówiwszy sobie nadal ich pomoc, powiedział, że ma konieczną potrzebę wyjechać w interesie swego pryncypała, i tym sposobem pomału zbył się tych zaproszonych gości.

5.

Gość niespodziewany.

Było to już w jesieni; w jednej izbie Zamku Ilinieckiego trzech pisarzy, dość poźno w nocy drzymiąc i poziewając przepisywali prawne papiery; jeden z nich zniecierpliwiony, porwał się ze stołka i kładąc pióro za ucho, zawołał: —Ej do kata! już ręka boli i spać się chce: porzućmy i jutro dokończemy. Oni się biją i kłócą, a my będziem tracić oczy, i to nic wiedzieć za co lub za bagatelę. Porzucajcie koledzy, ja idę do łóżka.

—Zaczekaj Erazmie, już niewiele mam do perjodu, ale ciszéj, ciszéj, bo pan Ko-

mornik jak się przebudzi, to będzie nas dobrze bandyzował; a wiesz jaki on jucha gorączka.

— Kat go bierz! jego Pan Brochocki dobrze już opłacił i nakarmił, a co popił wina, toby dla nas na cały rok wystarczyło — prawda, że mu dużo napisał, i na kilka półmisków rozłożył sprawę, lecz godziło się i o nas pamiętać, a przynajmniéj o swoim agencie: ale poczekaj! — niech no przyjdzie do indukty, umyślnie się schowam, niech sam ślipa i bąka, i nudzi siebie i sądowych.

— Stój bracie! odrzekł trzeci — czyś ty oszalał takiego mu psikusa wypłatać: — toż on z domu cię wypędzi! — ot lepiéj przymów się za sobą i za nami; albo wiesz, wyborna myśl, wspomnij Brochockiemu, że i nam godzi się jakieś dać *honorarium*: bo i my nie powinniśmy darmo pracować, a wszystko poźniéj na Kulińskim wraz z basarunkiem pozyszcze.

— Tak! tak Filipie! dobrze mówisz, odpowiedział Jakób: powinien Erazm za siebie i za nas upominać się — bo każdy z nas

goły jak turecki święty, a sam tylko mecenas porasta w pierze; i dla nas powinny pieczone gołąbki polecieć do gąbki.

— Ale bo stójcie warjaty! gdzie to tak mówić od razu P. Kommisarzowi. Wtém na dziedzińcu zamkowym dał się słyszeć wielki hałas i blask pochodni uderzył nagle w okna palestrantów.

Wybiegł Filip na ganek, a tuż ośmiokonna karéta stanęła przed wejściem. Krzyknęli bramni kozacy: Książe Wojewoda! i wkrótce dał się słyszeć głos :— czy już śpią wszyscy?

— Tak, odrzekł Filip; lecz jeszcze w naszéj stancyi świeci się.

— No, to pójdę tam, a tymczasem proszę zbudzić P. Komissarza. Wyniesiono ze stancyi świecę i wprowadzono P. Wojewodę, który spojrzawszy na trzech chłopaków, przemówił: zapewne Wasanowie manualiści P. Brochockiego i cós pilnego piszecie?

— Nie, JO. Książe! ukłoniwszy się nisko, rzekł Erazm Ciołkowski: — my jeste-

śmy z palestry Winnickiej i tu przybyliśmy z naszym mecenassem dla uformowania processu w regestrze taktowym, jaki ma Pan Brochocki.

— Cóż to za process, o którym ja nie wiem, a jeszcze w regestrze taktowym? powiedz mi Waćpan w krótkości i prędko.

— To process nie bardzo dobry, ale cóż robić, musi nastąpić.

— No mów Waćpan, proszę! bez ogródki!

—Waszej Książęcej Mości Kommisarz od Kommissarza Manasterzyskiego przed kilką niedzielami na drodze publicznej wziął....

— No! cóż? mów Waćpan śmiało, co wziął?

—Tak miłościwy Książę! nicinaczej, wziął w skórę.... zmyśliwszy wprzód list zapraszający go na chrzciny.

— O! co za syn pogański! mojego Kommissarza, człeka tak słusznego, i jeszcze tak podstępnie.

Tu pobocznemi drzwiami nadszedł zbudzony P. Kommisarz.

— *O terque, quaterque felix!* przemó-

wił, gdy mogę powitać Księcia Jegomości; — i kłaniając się nizko, ścisnął go za kolana.

— No! jak się ma Waćpan? — ale już późno, blisko dwunastej; — proszę o trzy pokoje osobne i chodźmy spać. Wkrótce spełniła się wola pańska, i nawet idący za Księciem tabor niebawnie na dziedzińcu uciszył się. Książe strudzony podróżą i zajęty swoją ekonomiką, przez dni dwa nic nie wspomniał swemu Kommisarzowi o jego wypadku; z czego on korzystając wyprawił zaraz pałestrę i zupełnie się zdał na mecenasa Scisławskiego, aby wedle protestacyi i obdukcyi w Grodzie Winnickim zaniesionych działał.

W dniu trzecim, jako pan pełen dobroci i popularności, zaprosił Książe obojga PP. Kommisarstwa na obiad, po obiedzie chodząc z niemi po ogrodzie, zapytał się: — Powiedz mi Waćpan szczérze, co to za awanturę miałeś z jakimści Kulińskim? — Zmieszali się mocno oboje PP. Brochoccy; lecz gdy on prawie zapomniał języka w gę-

bie, sama wyciągnąwszy ręce rzekła ze łzami:—Ach ratuj nas Książe i Panie! jesteśmy na honorze skrzywdzeni:—odtąd życie mi staje się ciężarem, gdy ten łotr podstępnym sposobem wydarł nam to, na co całym wiekiem pracowaliśmy.—Ach Panie! ach Dobrodzieju nasz! bądź naszym orędownikiem i nie dozwól, by słudzy twoi jako pomiotło byli poniewierani! Ja córka domu szlacheckiego, z uczciwych rodziców, mam dziatki — i mogęż znieść, aby męża mego, jako złoczyńcę, w oczach moich wyciągali i bezczelnie sromocili? — ach! wolę umrzeć! wolę zginąć!—niżeli na to.....—wtém porwały ją mdłości i... Podskoczył Książe, zawołał na sług P. Brochockiéj, i zaledwie otrzeźwić ją zdołano.

—Uspokój się Waćpani! uspokój! proszę bardzo—szkoda jéj zdrowia i tych ocz pięknych, aby się miały ciągle zalewać łzami. Rozpoznam ten interes zupełnie; a jeśli potrzeba będzie, napiszę, lub będę się widział z Panem Wojewodą Bracławskim, i tego śmiałka dobrze nauczymy—proszę

Waćpani odejść: ich krzywda odtąd stała się moją;— daję na to słowo Książęce: proszę być spokojną, pomówię sam na sam z jej mężem.

Długo potém wypytywał się P. Brochockiego, nawet wzywał Strzelbickiego i drugich manualistów, nie opuścił skrycie wybadać niektórych kozaków, a gdy wszystko wyrozumiał, wezwał w końcu P. Kommisarza i rzekł:

— Waćpana szczérze żałuję i chcę mu pomódz; ale Waćpan winien, powiadam szczérze; po co to zaraz rwać się do batogów, a teraz widzisz Waćpan, jakeś się zapytał, tak mu odpowiedziano. Co Waćpana żona mówi, że ona szlacheckiego rodu, wszak i tamten szlachcic, a czemuż Waćpana od tego nie odwiodła i nie wyperswadowała; lepiéj było konia nie brać, albo jako gwałciciela spokojności, wziąć pod straż i rzecz prawnym porządkiem rozpocząć. Cóż teraz Waćpan robisz? znalazłem tu palestrę; pewnie to na proces gotujesz się?

— A tak Mości Książe! cóż mam począć? uformuję mu kilka aktoratów i podług konferencyi zabiorę mu majątek i samego *in fundo* osadzę.

— No! a Waćpan będziesz wolny? wszak ten więcej odpowiada kto dał powód? — Waćpan mu konia odebrałeś i obiłeś go; to już nic niema znaczyć u sądu? — nim dopniesz swego, sam Waćpan zniszczysz się; czy Waćpan nie wiesz tego przysłowia jurystów: rany za rany, a sądowi barany! — otož tak i w téj sprawie byłoby. Na co Waćpanu procesować się; — możnaby tu inny środek wynaleść i honorowie skończyć.

Skłonił się nizko P. Brochocki i wielce uradowany zawołał: — Ach JO. Książe! radź wedle Boga i sumienia! ja się w ręce Jego oddaję.

6.

Zacny poseł.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! przemówił wchodząc do domu Pana

Kulińskiego ksiądz staruszek i od wieku znacznie pochylony. Był on dawniej wysoki, rzeski, miał twarz pełną, rumianą, nos orli, wypukłe czoło i jasne bystre oczy; a dziś, zapadły policzki, pełno było zmarszczków na czole i mniej rzucały blasku oczy;— lecz za to większa skromność, pokora i milczenie nadały całej postawie wielką powagę, jako prawemu słudze Chrystusa. Za powiedzeniem hasła Chrześciańskiego długo nikt mu nie odpowiedział; po chwili oparta o kiju przyszła staruszka, pozdrowiła uprzejmie księdza, oświadczyła, że jest matką gospodarza.

— A to dobrze! odpowiedział ksiądz, ja zaś jestem proboszcz Ilinicki i posłannik od Księcia Wojewody — przynoszę tu pokój dla państwa na pewnych warunkach, a spodziewam się, że u Chrześcian i dobrej wiary ludzi będę wysłuchany.

— Ach księże Dobrodzieju! jam zawsze radziła mojemu synowi inną drogę — lecz on wojskowy, ceniący wiele swój honor,

poszedł za wojskowych radą, i powiem szczérze, nic się dobrego nie stało.

— To prawda, że ani jednego, ani drugiego nicma co chwalić — mówi Chrystus, moja Mościa Dobrodz.! z owoców ich, poznacie ich; a tu sama hańba i prześladowanie, bądź więc Imość Dobrodz. łaskawa i wstaw się do syna, aby się chciał porozumieć i tak brzydką sprawę zgodnym sposobem zakończył.

Wkrótce posłała pani namiestnikowa za synem, który przez jaką chwilę pomówiwszy z matką, wpadł do księdza z pękiem papierów.

— Widzisz księże! jak pan Brochocki chce zgody i porozumienia, kiedy mi wczoraj cztéry pozwy nasłał, i jeszcze mię chce aresztować u mego pryncypała, nie pomniąc że ja mam mój majątek nieruchomy! O do stu katów! to faryzeusz i nic więcéj :— sam krzywdzi ludzi i chce za dobrego uchodzić. O! nic z tego! niech mię czarci porwą — mam i ja swoich jurystów, dobrze go obwiniemy w papierki.

Podniósł się ksiądz i kłaniając się odrzekł:— To rzecz wcale inna z czém ja przychodzę; a błogosławieni, mówi Pan, pokój czyniący, bo nazwani będą synami Bożemi.

— Jak to! cóż to za pokój, gdy się zanosi na proces w Grodzie i Ziemstwie? o piękny pokój! daj go katu!

—Powtarzam W.Kommisarzowi,że to rzecz wcale inna. Książe Wojewoda Wołyński temi dniami nadjechał i niespodziewanie dowiedział się o takich Panów zajściach. Dał słowo PP. Brochockim, że chce wejść sam w ten interes i Panów honorowie pogodzić; mnie przeto wezwał, bym z ust moich o tém WMość Pana Dobrodz. zawiadomił i razem suplikuje, byś w tych dniach do Ilinice przybył do księcia Wojewody dla pomówienia.

—Jak to! ja mam przybyć, abymię znowu skrzywdzono, lub okuto w kajdany; o księżuniu! za wiele po Kulińskim wymagasz:— nie; ma on głowę, nie dozwoli sobie nigdy po nosie jeździć! Ej do stu set fur beczek djablów! piękna sprawa! mam jechać do

Hinicc, po co?—po batogi; a to niech lepiej Książe sam do mnie przyjedzie—przyjmę go uczciwie; i jak zechcę, to się zgodzę—nieprawdaż?

—Ale Mości Dobrodzieju! nie trzeba tak myśleć o Księciu!.. wiem dobrze, że bardzo naganił taki postępek P. Brochockiemu, nawet ten proces nie dobrze widzi — bo to Pan z antenatów, najlepszych cnót chrześciańskich i zgodę lubiący; mówił do mnie wyprawując: »pojedź księże proboszczu, i »zaręcz słowem mojém książęcém, niech się »niczego nie lęka P. Kommisarz Kuliński: »ja chcę zakryć te brudy, jakie ich obu splamiły:—pogodzę ich po bratersku i niech się »więcej nie szkalują i po sądach nie włóczą— »mój jest przyjaciel P. Wojewoda Lanckoroński; nie chcę aby się tak hańbiącym czynem i jego i moje serce martwiło—pojedź »jeszcze raz proszę, księże! dokończ tak »pożądanego dzieła."— Czyż możesz tedy WMość Pan Dobrodziej powątpiewać o tak dobrych intencyach Księcia? lub taki Pan wysoki ma jeszcze do Manasterzysk jeź-

dzić i kłaniać się za to, że jego Kommisarza tak publicznie i podstępnie skrzywdzono? O mój Dobrodzieju!... kto się poniża, ten podwyższon będzie, a hardych i upartych Bóg strącił do piekła.

— O mój synu! usłyszawszy to w drugim pokoju Pani namiestnikowa z synową— o mój synu! nadchodząc zawołała, komuż więc wierzyć będziesz, jeśli tak zacnego Pana i namiestnika Chrystusa nie usłuchasz? weź z sobą kilku przyjaciół i pojedź.

— Nie mateńko! nie! na gołe słowa nikomu odtąd nie wierzę: może to figiel P. Brocbockiego, by mnie złapać, i by jego batogi na wierzchu były. Nie! nie zrobię tego, księże! bo ja wiem co się z tego wykluje— nie chcę—nie pojadę i kwita.

— Synu mój! nie bądź Tomaszem; czyliżby ksiądz tak szanowny i już wiekiem okryty, miał na siebie brać postać Judasza, i do dawnej obelgi, jakby ogień do ognia, nową hańbę i podejście dodawał?— czyż już mało kary Bóg na nasz dom zesłał, by jeszcze pod pokrywką świętości, miał nasze

dusze, jak szatan kusiciel udręczać? Synu! pomiarkuj się, co wyrzekasz?..

— Tak! słusznie mówisz Imość Dobrodzika, ja starzec i ksiądz, miałżebym przynosić kłamstwo w dom wasz? i tém łotrostwem hańbić moję sukienkę i samego Chrystusa? Już lat 70 żyję, a jeszcze mię nikt tak okropnie nie posądził; i widać, że to niecna sprawa wasza, gdy ja poseł i wykonywający cudze prośby, już tak haniebnie skrzywdzony jestem — klnę się Bogiem moim, wzywam na świadectwo samego Chrystusa, że do żadnej kabały nie należę, i nawet nic o tém nie wiem — a tylko prosto i bez żadnego fałszu, wzywam słowami Księcia Wojewody do zgody WMość Pana, i nikt mię inny, tylko on sam tu przysyła.

Długie po tych słowach nastąpiło milczenie; gdy żona Kulińskiego padłszy przed nim na kolana wśród łez przemówiła: — pogodź się mężu! i ja cię zaklinam — czy chcesz, żeby nas proces Pana Brochockiego do ostatka zgubił?.. i jeszcze, jak pisze

w pozwach, rękę ci ucinał i do więzienia wtrącał!

— No! i czegoż chcecie do stu palaruszów? zawołał Kuliński, wstań! nie szlochaj i nie krzycz! — ja nie odbiegam od zgody z P. Brochockim; — lecz inaczej nie zrobię, i dam sobie głowę uciąć, a nie odstąpię od tego; — oto księże jedź i powiedz: niech Książe Wojewoda, gdy taki Pan łaskawy, napisze do mnie, że chce sam wejść w pośrednictwo, a wtenczas pojadę; lecz nie inaczej jak w assystencyi dwunastu moich przyjaciół, i niech traktacya zgody na probostwie będzie; bo do domu, gdzie mię hańba taka spotkała, nie wstąpię — na tém koniec i kwita.

Pojechał z tém proboszcz; — a wkrótce przybył list od Księcia, wzywający Kulińskiego do zgody, stosownie do jego żądania.

7.

Proszę wszystkich Waćpanów na obiad.

Siedział Książe Wojewoda wieczorem na ganku zamkowym, kilku dworzan stanęło opodal i odpowiadali na jego zapytania, kozacy prowadzili od wody swoje konie, gdy nagle most zatętniał na rzece Sobie i wkrótce strojno i zbrojno ukazało się 13 jezdców. Rzucił Książe okiem na ten hufiec i począł uważać jego kierunki — który podjechawszy pod górę skierował na lewo do probostwa. Domyślał się Książe, że to nadjechał Pan Kommisarz Kuliński; przeto, aby ulżyć proboszczowi, kazał swym kosztem tych gości podejmować.

Nazajutrz ksiądz pełen ducha pobożności, oświadczył, że będzie miał mszę świętą na intencyą zgody, i panów wszystkich na nię zaprosił. Jakoż przybyła szlachta, wkrótce sam Książe, poźniej nieco ze swymi manualistami P. Brochocki. Po mszy szlachta pociągnęła do probostwa, poczém nadszedł

Książe w assystencyi proboszcza, który zaraz zaprezentował P. Kulińskiego, ten zaś P. Porucznika Kwaśniewskiego, vice-Regenta Czyżewskiego i innych.

— Dobrześ Waćpan zrobił, rzekł Książe, żeś mnie posłuchał i tu przybył — cieszę się z tego, może my się tu jakoś pogodzim i nie będzie więcej hałasu.

— O Mości Książe! — zawsze mię P. Brochocki najniewinniej skrzywdził; a ja Mości Książe! postąpiłem tak jak to mówią: jakie zapytanie taka i odpowiedź, i kwita.

— Ale i Waćpan nie najlepiej zrobił: użyłeś podstępu i list zmyśliłeś: to tak nie godzi się, i jeszcze z taką wiolencyją na gościńcu publicznym.

— No! to i cóż Książe? — Gdy dalej nie umiał się tłumaczyć Kuliński, podchwycił go Porucznik Kwaśniewski i kłaniając się nizko zawołał: — Książe Panie! skrzywdzony na honorze, musi nareszcie użyć wszelkich środków, aby zmyć swoję hańbę. Radziliśmy wyzwać P. Brochockiego na pojedynek, ale znamy regulamenta pojedynko-

we, jako ze zhańbionym i odartym ze czci, nie wyszedłby; — a teraz *ambo meliores*, jak chcą tak niech kończą tę sprawę.

— Oj tak, Książe Wojewodo! teraz mogą, rzekł P. vice-Regent, i na prawo i na lewo; — ale gdy już zaczął krok prawny P. Brochocki, to... ale na cóż tej zgody? idźmy dalej przez proces.

— Ale Waćpanowie nie jesteście przyjaciołami P. Kulińskiego, po co go narażać i na jedno i na drugie; a jakby się tu publicznie oba przeprosili, i byłoby po całej sprawie.

Wrzasnęła na to wszystka szlachta, że na to niema zgody — a P. Porucznik ciągnął dalej: — skrzywdzony honor szlachecki winien się obmyć krwią, i daruj Mości Książe, gdy to powiem, że ta sprawa nie może inaczej zakończyć się jak pojedynkiem, i to na pistolety.

— Ale Waćpanowie chcecie, widzę, śmierci jednego; na cóż to, jeszcze w przytomności mojej? to już Pan Brochocki wolałby, jako cywilny człowiek, ciągnąć

swój proces i swych krzywd poszukiwać.

— Ej Książe! mam i ja jurystów, wrzasnął Kuliński, on mi przysłał cztery pozwy, a ja mu przyszlę ośm i będziem się lat kilka czubić — on mi zadaje fabrykacyą, a ja mu złodziejstwo; bo mi ze stajni konia mego wyprowadził i dotąd go trzyma; tak nie inaczej, do stu katów!

— Ale, hola! Panie Kuliński! wiem ja, że Waćpanowie macie oba co powiedzieć na siebie — lecz czy to pięknie o to się procesować i jeden na drugiego paszkwile pisać? Ja proszę Waćpana, pogodź się z Panem Brochockim — jesteście oba ludzie niemłodzi: po cóż rozmazywać sprawę takową, aby nareszcie Król i cała rzeczpospolita o tém wiedziała? a nawet mój przyjaciel P. Wojewoda Bracławski, gdy się dowie, chwalić tego nie będzie.

— I ja za głosem tak szanownym Księcia Pana obstaję, odezwał się ksiądz proboszcz: nie godzi się być tak zawziętym, kochać należy i swoich nieprzyjaciół, a cóż do-

piéro rodaka, brata i szlachcica? zostaw ofiarę, mówi Ewangelija święta, a idź piérwéj pojednać się z swoim bratem: dla czegoż tego nie uczynić, gdy się na to przyjechało?

— Ja szanując wezwanie Księcia Pana, tu przybyłem, rzekł Kuliński; lecz wprost przepraszać się sam honor szlachecki nie pozwala i nie mogę.

— No! to usłuchajcież mię Waćpanowie szlachta i bracia moi! — żeby honor wasz był oczyszczony, to odbędziecie pojedynek ceremonialny na dziedzińcu zamkowym, w obec nas wszystkich, i to tylko na pałasze; za piérwszém draśnieniem niech się kończy cała zawziętość; poczém oba przeprosić się powinniście. No cóż Waćpanowie! przystajecie na to?

— Ale bo Książe! chciał jeszcze mówić Kuliński, lecz P. Porucznik, jako uważny człowiek, podniósł rękę i zawołał: zgoda! a za nim wszystka odpowiedziała szlachta: zgoda!...

Słysząc to Pan Kuliński — no do kroć set

djabłów! rzecze, to już i mnie potrzeba przystać;—lecz niech Książe każe zaraz mu stanąć.

—Proszę o parę godzin, odrzekł Książe— i pożegnawszy wszystkich uprzejmie, prosił księdza, aby dobrém śniadaniem uraczył szlachtę.

W owych to czasach wszystka niemal szlachta uboższa dwory magnatów miała za jedyne przybytki dla doskonalenia się swojego. Powstało to od czasów świetnych Zygmuntów, kiedy nauki kwitnęły po szkołach i akademiach polskich; wtenczas młodzieniec nie mający funduszu jechania za granicę, gdy ukończył nauki w szkołach, rodzice oddawali go na dwór znakomity, aby tam świat większy zobaczył i razem ćwicząc się w polityce i towarzyskości, stał się wkońcu pomocnym krajowi. Takiemi były domy:—Tarnowskich, Zamojskich, Chodkiewiczów, Szydłowskich, Ossolińskich, Radziwiłłów i wielu innych, takiemi słynęły Biskupów i Arcybiskupów: Oleśnickiego, Tomickiego, Maciejowskiego,

Karnkowskiego i drugich;— gdzie młodzież wychowana w religii i skromności, oświecona nauką, praktykowała na dworach, czego tylko pierwej słuchała w teoryi; i ztąd wyszedł nie jeden mąż znakomity, jak nam dzieje wyświecają;—jak zaś wiele wymagano po dworzaninie i jakie przymioty mieć on powinien, łatwego o tem nabędziemy wyobrażenia czytając księgę *Łukasza Gornickiego.* Gdy kraj chylił się do upadku, a Jezuityzm opanowawszy świątynię nauk, zalał wszystko ciemnotą — dwory pomne na dawne zwyczaje, zgromadzały młodzież;— mówić i pisać panegiryki nastrzępione łaciną, różne psikusy pannom dworskim wyrządzać, dobrze się bić w kije, poźniej w pałasze, to tylko było już głównym celem edukacyi dworskiej;— a etykietą, zręcznie Panu podać rumaka, zręczniej do karety zaprowadzić Panią, rozwozić dobrze listy, stać za krzesłem Państwa w czasie ceremoniału, lub przy pojazdach umieć pięknie toczyć koniem. Ztąd się wyrodzili krzykacze i klienci sejmowi;— i gdy po-

trzeba było zerwać obrady, lub obstać za podanym kandydatem, oni byli najpierwsi: bo ośmieleni na dworach swoją rubasznością, dobrzy rębacze, a czasem i celni strzelce, odważali się na wszystko, aby tylko dopomódz swoim dobrodziejom. Tak więc z najlepszych chęci i zamiarów, gdy wiek Zygmuntów słynie wzniosłością, oświeceniem; wieki ostatnie cxystencyi okazują tylko zwyrodniałe owoce, i jakby truciznę po najlepszém lekarstwie. Z podobnej instytucyi wyszedł i P. Brochocki:— od dawna jego familija była na dworze Książąt S....., i za wierne poświęcenia się zawsze otrzymywała dobre funkcye i niejedne *gratie* (*); — teraźniejszy kosztem Książąt był we Lwowie w szkołach; poźniej z dworzanina otrzymał sekretarstwo, a wkońcu Kommisarstwo i tytuł Cześnika Wendeńskiego.

Gdy więc umówiona pora zbliżyła się, dwunastu kozaków przybranych w granato-

(*) *Gratią* nazywał się chleb dożywotni.

we kurtki z żółtémi jołomami, przy spisach i ładownicach, na koniach karych, otoczyli cały dziedziniec. Chorąży od tych kozaków skoczył na probostwo, wyzwał na pojedynek P. Kulińskiego, który wkrótce za nim z całą swoją kompaniją hucznie pośpieszył. Odezwały się trąby i Pan Brochocki opierając się na swym obuszku, przy obecności swego sekundanta, wspomnionego Chorążego, stanął pośród dziedzińca. Moc zbiegło się ludu na to niezwyczajne widowisko. Żydowstwo cisnęło się przez bramy, chłopcy wyłazili na dachy pobliskich domów. Z Kommissorjatu wyszli wszyscy manualiści i dworscy Księcia, a ten jako rozjemca całéj téj sprawy, zasiadł na ganku, na wysokiém z poręczami krześle.

Pan Kuliński zakasawszy swe poły od kontusza, wziąwszy swoją augustówkę w rękę, probując jéj zawołał: — A co Panie Cześniku Brochocki! już drugi raz jesteś w moich rękach, i tęgo ci jeszcze pysk naznaczę, do stu set katów! za moję wiolencyą.

— O wiedz asiudzi! co mówi przysłowie: *fortes fortuna juvat*; i ja nie ustąpię asindziejowi kroku: umiem ja dobrze pałaszem robić, a umyślnie wziąłem prosty i długi, aby ci rękę na zawsze uciąć — boś nie tylko wiołator ale i fabrykator.

— Co ja fabrykator! a niech to paralusz weźmie — stawaj i kwita!

— Daj pokój Panie Kuliński! odezwał się Porucznik Kwaśniewski — tu potrzeba flegmy i uwagi, a Waćpan zapalasz się; — wreszcie oba znacie Panowie, że to tylko pojedynek dla oczyszczenia honoru i do piérwszej krwi. Wtém kiwnął ręką, znowu odezwały się trąby, po czém odstąpili z swemi pałaszami panowie sekundanci, a przeciwnicy rozpoczęli walkę.

Kuliński był prosty i dość wysoki; Brochocki przeciwnie, nizki, pękaty i kulawy: — zdawało się, że za piérwszém złożeniem się obleje się krwią P. Brochocki; lecz on był silnéj ręki i miał wprawne oko: ile natarł Kuliński, tyle ten długim swym pałaszem odbił lekką augustówkę. Kuliński

ciągle usiłował dać mu kresę przez pysk— przeciwnie ten, nie tylko twarzy ochronił, lecz tak w odbiciu natarł, że P. Kuliński cofnąć się musiał. Wreszcie dobywszy sił ostatnich poszedł z nim w krzyżową sztukę: wówczas długo ścierając się, gdy Brochocki zrobił usterk i spuścił z oka nieprzyjaciela, ten go natrafia na rękę i na lewém ramieniu znacznie kaleczy. Wytrysnęła wkrótce nakształt wstęgi krew; — a panowie sekundanci podskoczywszy dalsze natarcie zatrzymali — a trąby znowu się odezwały.

Nadszedł Książe — obwiązano ramię Pana Brochockiego; a biorąc obu za ręce, rzekł:— No Waćpanowie! gdyście się porządnie potykali, teraz w oczach nas wszystkich przeproście się i pogodźcie — Panie Kuliński! Waćpan powinieneś pierwszy przystąpić: bo masz zupełną satysfakcyą.

— A cóż robić! *verbum nobile, debet esse stabile*: tak się odezwał Kuliński i zbliżając się podał rękę, zdjął czapkę i zawołał: — przepraszam Waćpana Panie Cześniku Wendeński! i wszystkiego nie pamię-

tam! — I ja też wzajem Panu przywracam wszelki honor i bądź odtąd moim przyjacielem, jako godny i szanowny brat i szlachcic!

— Tak! tak! dobrze! wybornie powiedział Pan Komuisarz Brochocki! odezwała się wszystka szlachta; i niech żyje Książe Wojewoda! co ich pogodził.

— Dziękuję wielce za te aplauzy, a dla zupełnéj komitywy i zatarcia téj niesławy, proszę wszystkich Waćpanów na obiad.

Sylwester GROZA.

ROZMOWY UMARŁYCH.

(Rękopism ten wyszedł z biblioteki Steblowskiej JWW. Hołowińskich udzielony wydawcy, przez M. Grabowskiego).

ROZMOWY UMARŁYCH POLAKÓW I CUDZOZIEMCÓW, W KTÓRYCH RÓŻNE ILE SEKRETNIEJSZE ICH ZA ŻYWOTA DZIEJE I CIRKUMSTANCIJE SĄ ZEBRANE.

(Ciąg dalszy).

Król Jan. Nagotowali się Turcy aż nazbyt z Tatarami. Hussa Jukier Seraskier, alias ślepy szatan nazwany, to jest djabeł dla impetu i surowości, ze stem kilkadziesiąt tysięcy Turków wychodzi, mając i Sułtana Gereja z sobą ze stem tysięcy hordy wszystkiej; Podole, ziemię Halicką, Wojewódz-

twa Ruskiego część. Wołyńską mieczem i ogniem znosi. Ja com mógł zebrać z Hetmanami Koronnemi i Panami W. Xięstwa Litewskiego wychodzę z czém mam; a com miał nieporównanie mało wojska przeciw niemu.

Książe Jeremi. Odnawiasz widzę Dawida historją i z kijem i procą przeciw Goliatowi wychodzisz.

K. Jan. Tak jest, zchodziemy się pod Żurawnem: — oboz zataczam w widłach Świcy, rzeki w Dniestr wpadającéj, kupię się, i w momencie oblężonym się widzę.

Ks. Jeremi. Byłeś w strachu, ile nie spodziewając się odsieczy.

K. Jan. Nie bałem się ja szabli ich, ani dział straszliwych; bo przed temi pokryliśmy się w ziemię, a zaś tak się Polacy i piechota wręcz i towarzystwo biło, że w rzymskiéj historyi większych odwag nie znajdziesz, co dzień i w polu konna igraszka. Hetmanów miałem łepskich, emulował jeden z drugim, kto lepszy, wszędzie i zawsze Turków biliśmy.

Ks. Jeremi. Czegożeś się bał, kiedy za tobą i twojemi zwycięstwo latało.

K. Jan. Tego co i ty w Zbarażu i król Kazimierz w Zborowie, głodu: ten do desperacyi przyprowadził;— dziwno i to, że artylerya nasza, jak pistolety przeciwko Turka armacie, daleko większą szkodę czyniła, który się do nas, jak do miasta szańcował i przybliżał;— miałem bowiem Generała artyleryi Kąckiego, człowieka dobrego w rozum i statek, i w artyleryi i w nauce biegłego;— Król Francuzkiby mi zazdrościł.

Ks. Jeremi. Jakżeś tedy ocalał i wyszedł?

K. Jan. Ba, mów, jak mię Bóg cudownie wyprowadził; — na harcu Chorążego, Hana Tatarskiego wzięto. Wraz i mnie i Jabłonowskiemu przyszło na myśl, w nocy kazaliśmy go samego sekretnie z jamy wywlec, wolność i pieniądze ofiarujem, aby Hanowi doniósł tylko te słowa:—»My zginiemy tu, ale jeden na drugim padnie nie bez szkody ich, cóż tedy się stanie:— Turczyn Polskę posiędzie, naród nasz weźmie zamiast Tatarów, a Tatarów w Wołochów i niewol-

ników obróci.» — Pojął mądry Tatar;—rzekomo uciekł wypuszczony sekretnie, doniósł Hanowi, Han swemu Dywanowi; — *conclusum* nie dać ginąć Polakom. Idzie Han ze starszyzną do Seraskiera perswadując, aby przyjął traktat z nami: — Seraskier się śmieje, i czy oszalał pyta; — przyszło aż do porwania się do szabel, utrzymał się Han, kazano Kommisarzowi przyjechać do obozu Hańskiego.

Ks. Jeremi. A to straszna, być od nieprzyjaciela salwowanym, to większy cud niż historya Dawida z Goliatem.

K. Jan. Ten traktat uczynił: — wysłany *ex senatus Consilio* Konstanty Książe Wiszniowiecki, Wojewoda Bełski, brat Dymitra, wielki statysta, orator, żołnierz, a co większa poczciwy człowiek, Modrzewski gońcem pobiegł do Stambułu, a Gniński Wojewoda Chełmski Wielki Poseł ratyfikował go.

Ks. Jeremi. Jakież punkta traktatu tego? Co się stało z Hanem?

K. Jan. Kamieniec i Podole po Czortków

Turkom oddane wiecznie, ale zniesiony haracz od syna twego Michała pozwołony corocznie. Hana zaś Selim-Gereja zrzucono, że do traktatów przywiódł. Pokój tedy, ale nie pokój mając wrzód w gardle, Turczyna w Kamieńcu, i dla tego z Hetmany na sejmie Skuraszewskiego naradziwszy się, Rzeczpospolita postanowiła, aby całe wojsko Koronne we dwuch obozach zimę i lato na pograniczu leżało. Książe Dymitr obrał Mikulińce i Bueniow, a Jabłonowski Trębowlę — piechota zaś po fortecach.

Ks. Jeremi. To dopiero pod mądrym i zwycięzkim Królem musiały się intrygi w Polsce wszczynać. Fakcye i cudzoziemskie i ojczyste: — bo naród wolny spokojny być nie może.

K. Jan. Nie pewniejszego, trzebaby na opisanie tego wszystkiego ksiąg całych, jednak aż do Wiedeńskiej te były najznaczniejsze Paców domowe z Sapiehami. Paców było czterech, Hetman W. Lit. i Wojewoda Wileński, Kanclerz W. Lit., Biskup Wileński trzeci, a Starosta Żmudzki

czwarty; widzisz jak w urzędy, jak w substancyc, rozum, męztwo, ludzie wielcy. Ci będąc u Króla Michała *in favoribus*, weszli oraz i w Austryacką fakcyę, mnie dziwnie przeciwną, i dla mojéj Królowéj i inklinacyi do Francuzów naturalnéj. Dóm Paców tedy figle mi wyrządzał; a ja też Sapiehów braci rodzonych, cztérech *e contra* przeciw nim wywyższyłem, dając jednemu polną buławę, drugiemu skarb wielki; — ludzie byli młodzi, ale bogaci, *populares galanto*, mówię. Przyszło do zwad wielkich i pojedynków; ale śmierć nagła Hetmana Paca uspokoiła.

Ks. Jeremi. Czy nie na szkodę swoję dóm Sapieżyński wywyższyłeś; — bo to czasem bywa, że Monarchowie olbrzymów robiąc z karłów, łamać się potém muszą.

K. Jan. Tak jest, i widzę, siła wiesz, kiedyś z umbrą Sapiehy Wojewody Wileńskiego gadał, ta intryga pokoju wewnętrznego nie zerwała, ale cudzoziemskiéj mało nam nie sprowadziła wojny, a to tak: — Król Francuzki Ludwik XIV. mający emu-

lacye z domem Rakuskim, i żal na Leopolda, że mu Hollandyi nie dał podbić podniesieniem z nim wojny, przysłał na koronacyą moją posłem wielkim Markiza de Bethume, wielkiéj, bo z Książąt Handerskich idącéj familii, który miał rodzoną siostrę żony mojéj:— był zaś ten Pan i urody i serca i głowy nieporównanéj. Ten szwagier i Poseł wszystkich Polaków ludzkością i hojnością serca pociągnął. W Węgrzech pościnanie w Wiedniu Panów, w sercach tkwiało. Tekieli udał się pod protekcyą Turecką:— wojsko polskie po Żurawińskiej zwinięto. Nie zaspał téj okazyi Bethume; w momencie wyciągnął 24,000 wojska Tekelemu na sukurs, uczyniwszy Generałem Lubomirskiego Kawalera Maltańskiego.

Ks. Jeremi. To pewna, że się Cesarz o to protestował i gniewał, a ty co na to?

K. Jan. Jam nie mógł inaczéj, tylko przez szpary patrzeć, i gdyby nie Turczyn, pod którego poddanie się Węgrów wstręt sławie mojéj uczyniło, tobym ja był nie uważał na Cesarza; ale Książe Dymitr He-

tman W. Kor., ten kawalera Lubomirskiego nie lubiąc, Cesarza nad Francuza przekładając, tak mocno przeciwko niemu powstał, że i ja i Jabłonowski, Hetman polny Koronny, pozwolić musieliśmy to wojsko zaciężne znosić, i ledwie cóś do Węgier uszło, a reszta w rozsypkę poszła.

Ks. Jeremi. To jedna cudzoziemska intryga dobrze ugaszona, boć to Węgrom było pomagać, jednakowo jak samym Turkom.

K. Jan. Była druga szczęśliwa;— Grodhelm Kurfiszt Brandeburgski, widząc, że Karol XI., Król Szwedzki młody, wszedł z Ludwikiem Królem Francuzów w ligę, za co go Rzesza Niemiecka nieprzyjacielem ojczyzny deklarowała: zechciał w mętnej wodzie ryby łowić, i na niespodziewanego i wojną z Duńczykami zabawnego Szweda, w Pomeranii napadł. Jam był po sejmie Skurzewskiego do Gdańska zjechał, kiedy z Pruss Brandeburgskich Elektor wojska chciał do Pomeranii przesyłać, i przysłał mię prosić o pozwolenie przez nasze Prussy przejścia, których minąć lądem nie mo-

żna; Cesarz za nim prosił, Bethume się oponował. Jam stanął przy Szwedzie, i nie tylko nic pozwoliłem ustnie, ale i wojskiem, za co Szwecya do śmierci była mi wdzięczną, a Brandeburczyk gryzł palec.

Ks. Jeremi. A pokój z Turkami trwał długo?—bo to ciężko u tych pogan, którzy za odpust mają nie dotrzymywać Chrześcianom.

K. Jan. Ze sześć *circiter* lat po Żurawińskiéj był pokój, aż niespokojny Wezyr Kara Mustafa nastał, ten Machmeda IV. Cesarza, po długiéj dotąd deliberacyi, przywiódł, aby oprymowanym Węgrom, i Wodzowi ich Tekielemu, który się z Syramanką Wdową K. Rakocego ożenił, dać sukurs i wojnę Cesarzowi Leopoldowi wypowiedzieć, co się stało przez wzięcie w kajdany Grafa Kaprassy, posła Cesarskiego. Cesarz do mnie w supliki:—składam sejm, dawszy wprzód buławę wielką Jabłonowskiemu, po śmierci Dymitra Kasztellana Krakowskiego, Hetmana W. Koronnego, a polną Sieniawskiemu Wojewodzie Wołyńskiemu.

Ks. Jeremi. Trzebaż się było tą monetą wypłacić Cesarzowi, lękającemu się o Wiedeń, którą on nam płacił, kiedy Kamieniec brano, odpowiedział on: *Fersztehe nicht.* A kto Marszałkiem sejmowym?

K. Jan. Leszczyński Chorąży Kor., który Jabłonowskiego Hetmana W. Kor. córkę miał. Ta odpowiedź Cesarzowi, zgubiłaby była całą Polskę po wzięciu Wiednia i Węgier. Polska po wziętym Kamieńcu, i na śniadanie nie byłaby była Turkom. Francya oponuje. Morsztynowskich cyfr intryga mało sejmu nie zerwała; — ale przecie porządnie stanął, i liga z Cesarzem *offensive* i *defensive*.

Ks. Jeremi. Co to za intryga Morsztynowskich proszę?

K. Jan. Trudno ci ją, mój Książe, explikować z gruntu, bo nas tu może kto podsłuchać: — mogłaby się nie jedna umbra urażona gniewać; — ale słowem, ten Morsztyn był Podskarbim W. Kor. Kupił dobra we Francyi, przeto jak Francuz widzi mię do ligi skłaniającego się, cyframi korrespon-

dował z Królem Francuzkim, którem ja przejmował i sejmowi obligowałem. Ten powołał i Jabłonowskiego i Sapiehów, i innych: — Jabłonowski się wywiódł, i choć miał zięcia Marszałkiem, z cnoty nie dał sejmu rwać i na Ligę dla ratunku Chrześciaństwa pozwolił! — ale Morsztyna mało nie zabito, i musiawszy oddać podskarbstwo, do Francyi uciekł.

Ks. Jeremi. Kiedy liga stanęła, to i wojnę zacząłeś, a podobno długą?

K. Jan. Tak długą, żem jej końca nie doczekał, i nigdy nie odżałuję, żem Jędrzeja Potockiego, potém Kasztelana Krakowskiego i Hetmana polnego Koronnego rady nie słuchał. Ten człek rozumny mówił, że trzeba Cesarza ratować, i Wiednia pójść bronić, ale bez żadnej umowy Ligi z nim: — pobijemy Turków, to uczynimy pokój, jaki będziem chcieli z awantażem; nas pobiją, to już wtenczas do Ligi.

Ks. Jeremi. Ale kiedyżby was bito, toby Niemcy nie przypuścili do Ligi podobno, a Turcyby nie dbali o traktatach z wami.

K. Jan. Zawsze od obojga brama była otwarta;—alem ja się spodziewał za Francyą nagrody wielkiéj, przez skolligacenie syna mego z Cesarzówną. Ale dajmy pokój temu:—patrz, cud Bozki, i Jabłonowskiemu *activitatem* przyznać. Jednego roku sejm stanął *in aprili* i podatki; — jak się wziął, tak i wojska 50,000 wystawił, konnych z pod Trębowli, dwadzieścia mil za Lwowem wyprowadził, i przez Szląsk, Morawiję i Austryą na 13 dzień 7bra stanęliśmy w szyku pod Wiedniem.

Ks. Jeremi. Zaprawdę niema nic równego Rzymska, ani Grecka historya, kiedy się wezmie na szalę Rzeczypospolitéj trudności w dostaniu w Polsce pieniędzy, nieposłuszeństwo wojsk polskich i przeciąg zpod Trębowli pod wały Wiedeńskie; — a któż kommenderował?

K. Jan. A przecie to prawda, i jeszcze nałożyliśmy drogi, bośmy w górę Wiednia poszli ku Niemieckiéj ziemi dla złączenia się z Niemcami pod Wuchtem nad Dunajem. Wielkiém naszém szczęściem, a większém

Wezyra głupstwem, ta wojsk chrześciańskich *conjunctia* stała się. K. Lotaryński synów i swojém, Ełcomów Cesarskiém, Maxymilian Elektor Bawarski swojém, Jan Jerzy Elektor Saski swojém wojskiem komenderował. To kilka Książąt Niemieckich i ze sto Generałów różnych Panów, czyniło Niemieckiego wojska na 80,000. Ci wszystkich wojsk na kréski *in Consilio* obrali mnie *Generalissimum*, i jam kommenderował generalnie.

Ks. Jeremi. A Polskę, żonę, dzieci, jakeś zostawił?

K. Jan. Oto Jędrzeja Potockiego uczyniłem vice-Regentem i część wojska dodałem mu; — nie próżnował i tu, bo lubo Han był z Wezyrem, ale większą część zostawiono Tatarów, i do Polskiéj się napierające, tenże Potocki pobił pod Zińkowem, a Kunicki Nakazny Kozacki w Budziak wpadł i siła szkody robiąc, niewolnika naprowadził. Co zaś do najsławniejszéj *hoc saeculo Victorii* mojéj, téj opisanéj w tak siła ksiąg, opisywać nie będę. Tylko kilka *cir-*

cumstacij powiem. Tatarowie z Hanem raniusieńko uciekli, bojąc się, aby nie potracili zdobyczy; naszych nad 200 nie zginęło, tylko między znacznymi Stanisław Potocki Starosta Halicki, Andrzeja Vicereja Syn, śliczny młodzieniec, i Mądrzejowski Podskarbi Koronny, pokoju Żorawińskiego goniec;—Niemcom i potkać się nie przyszło.

Ks. Jeremi. Zdobycz wielka?

K. Jan. Niezmierna, ale to sława grunt. Cesarz, który w Lintz o kilka mil od Wiednia w górach siedział i lasach, przybiegł;—zjechaliśmy się na pobojowisku, wojsko było szykiem, i na koniach powitaliśmy się. Cesarz piérwéj mówił po łacinie, i zakończył: *Quid plura dicans, factus es mihi salvator.* Tę pompę umortyfikował Pan Bóg, bom gdy syna Królewicza Jakóba mu prezentował, kapelusza nie zdjął, jako na expostulacyą moich ministrów exkuzował się, że się zapomniał;—jednak mnie to bolało, ile kiedy mu Hetmani wojsko prezentowali, to przed nimi i przed chorągwiami

kapelusz zdejmował;—alić daleko większa i szkodliwsza wkrótce potkała mię mortyfikacya.

Ks. Jeremi. Nie dziwuj się, tak za tryumfem zła fortuna chodzi, jak za złą tryumf; przeplatane losy ludzkie, ale przecie co się stało?

K. Jan. Oto ja nie bawiąc poszedłem w Węgry drogą uciekającego Wezyra:— podjazd pod nim miewałem, języki wodzono, a przeciem się nieszczęścia nie uchronił, ani prawdy nie domacał. Wszyscy się zgadzali, że Wezyr wciąż ucieka, udusiwszy Wezyra Budzińskiego, który mu dobrze radził, aby zasiekł góry, wniść nam nie dał, a dopiero się z Niemcami łączyć;— on zaś, że z pychy go nie usłuchał, stracił go, aby świadka nie miał. Tylko o ucieczce mi prawili Wezyrskiej, a do tego nie wiedziałem, że Sylistryi Serraskier Pasza z pięciu innemi, we 30,000, potkał go pod Strygoniem, którego on ściąć był kazał; ale on się wyprosił, że albo Chrześcian zniesie, albo sam zginie, i tém Wezyra uspokoił,

który do Budy poszedł, przydawszy do jego ze swego wojska.

Ks. Jeremi. Dotrzymałże słowa Sylistryjski?

K. Jan. Aż nazbyt;—jam chciał ubiedz Strygoń przed Niemcami, i poszedłem od nich chciwy zbyt sławy; — w samym marszu pod parkanami, jak wściekli, tak nas znieśli Turcy: — we czwartek małom nie zginął, aż dwunastu towarzystwa z koni zsiadłszy mnie odbili. Hetman na odwodzie mężnie stawał, na którym bijącego się jak lwa Denhofa Wojewodę Pomorskiego postrzelono i cięto.

Ks. Jeremi. Wielki i ciężki latus, znieść Króla jednemu Paszy, który przed tydniem Wezyra i całą armiję zniósł.

K. Jan. Nie długo tego wstydu i żalu było;—daliśmy im w sobotę rewanż. Pierwszy Jabłonowski kopijami ich rozerwał, jam go podparł nim Niemcy dali ognia, którzy na czas przyszli, raz nasi gnali i siekli. Most był na Dunaju wielki na czajkach, nacisnęło się Turków co żywo, drudzy wpław

poszli;—Kącki opatrzywszy miejsce z brzegu, jak wziął rzezać z dział, że most rozerwał, niezmierna moc potonęła Turków, ledwo nie rzekę wszyscy. Trzech Paszów głowę położyło, dwuch żywcem wzięto,— samego Serraskiera komenderującego Paszę Sylistryjskiego, z konia zbitego, Jabłonowski obronił i wziął. Alepu Paszę pod mostem w koszuli wywlókł Ciński, towarzysz Jabłonowskiego, i jemu się dostali.

Ks. Jeremi. Piérwszy przykład i nowalija w Polsce Pasza niewolnik;—ale dobry rewanż wzięliście czwartkowej przegranéj; Bóg był z wami.

K. Jan. Pewnie, że sam Bóg, który wkrótce i fortec parkan i wielkie miasto Strygoń i fortecę oddał Cesarzowi przez ręce Polaków.

Ks. Jeremi. Czekam końca kampanii tak pięknie zaczętéj, i dwiema wiktoryami zapieczętowanéj.

K. Jan. Nie pytaj się, a raczéj żałuj tak pięknych początków. Koniec był ten:— Niemcy nie chcieli nam dać kwatery zimo-

wej, zaraz następującej w Czechach i Morawie, pretextując, że przechodem wojsk i czambułami tatarskiemi zniszczone, a w Węgrzech rebelizanci. Przyszło tedy przez Węgry, bijąc się z Tekelczykami, wlec się do Polski, znużyć konie i piechotę, ledwo nie rzekę, że wojsko niewczasem i chorobami zginęło; — nawet Hetman polny Kor. Sieniawski, i Potocki Dominik Podskarbi Wielki Kor. poumierali w tym marszu, a towarzystwo najznaczniejsze piechotą wyszło.

Ks. Jeremi. Twój tedy tryumf był pomieszany z zgryzotą i z żalem, jak Woronieckiego kazanie. Dalej jak ta wojna poszła Polakom i drugim Chrześcianom.

K. Jan. Miły Książe! czas skrócić rozmowę naszę; — ile ta epoka, albo punkt Wiedeńskiej batalii, stał się prawie ostatnią sławie mojej i pożytkowi królestwa polskiego, bo blisko trzynaście lat po Wiedeńskiej żyjąc, wojując, nic mię równego w sławie nie postawiło, a Polsce Kamieniec się nie dostał, aż po mojej śmierci; — przez

który czas Cesarz całe prawie Węgry, Wenetowie królestwo Morei i Dalmacyi, Moskwa Azow, Kizykiermeń i Hassakiermeń zawojowali, naszą skórą te otrzymali kraje.

Ks. Jeremi. Ileż razy wojowałeś po Wiedeńskiéj?

K. Jan. Odprawiłem trzy kampanije *in persona*, ale żadna przeszłym nie zrównała. Piérwsza zaraz była Żwaniecka: jakie tylko mogłem zebrać wojsko, a dla znużenia w Węgrzech nie rychło, chciałem go do Wołoch wyprowadzić, i tam osadzić;— a na drugi rok z bliskości Budziak spustoszyć, i do Białogrodu, pod którym Dniestr wpada, przytknąć i Cesarskim podać rękę. Nohajców wygnawszy z Budziaka, a przerznąwszy Krymskich od Polski, zabronić czambuły i wtargnienia do nas Tatarskie. Miałem za rzecz pewną, że Kamieniec sam przez się upadnie bez Zachary, to jest prowiantów, które Tatarzy konwojowali do téj fortecy.

Ks. Jeremi. Piękny to abrys i mądrego wojownika intencya; ale pono lepiéj było

jąć się Kamieńca, i ztamtąd nie z Jass i Wołoch ściągać pod Budziak?

K. Jan. Tak-ci to i mój Hetman Jabłonowski radził mi ustawnie; ale na to trzeba było artyleryi wielkiej i piechoty, a pieniędzy nie było w Polsce, a mnie swoich dać się nie chciało:—rozumiałem że się bez nich obejdzie, kiedy Bóg zechce, abyśmy Tatarów w Budziaku osiodłali, ale Bóg nie chciał. Przyszedłszy nad Dniestr pod Żwańcem, pięć dni deszcze bez ustanku lały, że mostu żadnym ludzkim sposobem postawić, ani przeprawić się mogliśmy;—aż Han ze wszystkiemi ordami przyszedł, i ledwo nas pod wsią Ormianami nie zniósł, zaskoczywszy nas bez piechoty i artyleryi;—aleśmy mu dali odpór wielki, i na tém się skończyła kampanija. Na przyszły rok wyprawiłem znów tam z wojskiem Hetmana Jabłonowskiego z tymże projektem, aby umocnił się w Wołoszech, a to niebezpieczno:—bo Han ze wszystkiemi ordami ruszał się do Węgier na Niemców dobywających Budę, łączyć się z W. Wezyrem. Ledwo zaś

Jabłonowski do Sujatyna przyszedł, Wołochowie tak dobrze znać dali Hetmanowi, że i z Serraskierem we 40,000 Turków, i ze stem tysięcy ordy z za granicy Węgierskiej wrócili się, i na Bukowinie, w której zniesiono Króla Olbrachta, (co to za niego poginęła szlachta), ze wszystkich stron obskoczyli i oblegli go.

Ks. Jeremi. To pewnie zginął, i wojsko z nim, kiedy w małej kwocie?

K. Jan. Nie miał i 12,000 wojska;— trzynaście dni bił się, codzień między lasami:— ze 30,000 Tatarów zginęło, Polaków i trzysta nie, a znacznego żadnego;— wyprowadził bitwą i sztuką wojsko Kałusińską i tylko wozy popalił bez szkody.

Ks. Jeremi. Przyznam się, że ta Bukowińska warta twojej Podhajeckiej i mojej Zbaraskiej?

K. Jan. Znowu ja na bez rok trzecią po Wiedeńskiej kampaniją odnawiam projekt:— idę prosto przez Wołochy na Tatarów z pięknem wojskiem na Budziak, i ztąd się Bu-

dziacka ta zowie kampanija, i znowu Bóg tego nie chce. Co powodzie zesłał pod Żwańcem, to teraz posuchę tak ciężką, że jej ludzie nie pamiętają. Rzeki powysychały, ziemia się pokrajała na sążeń;—a że tam szuwary trawy jak lasy, Tatarowie nas opalili tak, żeśmy jak ożogi byli, ustawnie koło nas chodząc, ludzi zabierając, spać nie dawając, musiałem się z brzegu Budziaka zpod Huszy wrócić, już pod Soczawą. Kiedy nas odprowadzali, dał im Rzewuski, mój Półkownik, chłostę, i ze 700 niewolnika wziął, a ze 20,000 trupa położył;—ale to nienagrodzona, żem Budziaka nie doszedł, a wojsko zniszczył.

Ks. Jeremi. A trzecia twoja kampanija jaka była, i jak się udała?

K. Jan. Jużem więcej nie chodził sam, Hetman Jabłonowski z kolegą Andrzejem Potockim Kasztelanem Krakowskim tę odprawiali kampaniją, utrzymując to pod Kamieńcem, to na inszych miejscach Tatarów, że nie chodzili do Węgier, co było okazyą zawojowania fortec i bicia Turków

od Niemców, czegoby przy Tatarach nigdy nie dokazali.

Ks. Jeremi. To widzę na naszéj skórze koligaci niedźwiedzia kłóli.

K. Jan. Tak jest, aż 1691 r., gdy mi Cesarz dał znać, że Turcy chcą traktować w obozie, abym i ja i Rzeczpospolita posyłała; — wysłałem Małachowskiego Wojewodę Kaliskiego, a żem wiedział w jakim kraju traktat stanie, wyszedłem do Wołoch, alić ni traktatu, ni Tatarów, gdyby wiatra w polu przydybać nie mogłem: — wziąwszy Pałanki, alias Forteczki Skrobę i Niancę, wróciłem się przez Bukowinę, w któréj przez niespodziane deszcze i zaraz mrozy, wszystkie konie wyginęły; — i ta była ostatnia moja kampanija.

Ks. Jeremi. Cóż była za racya, żeś więcéj kampanii nie odprawował, i jak przecie wojna szła do śmierci twojéj, do któréj jeszcze lat kilka od téj ostatniéj było kampanii?

K. Jan. Wiele racyj było, naprzód zdrowia nie miałem: — na téj bowiem nuży

w Bukowinie dostałem kataru i kaszlu, który przy chorobie ostrej kamienia, podagry, nie tylko nie ustawał, ale rósł coraz; ale mię bardziej melancholia gryzła, ustawicznie mi sejmy rwano, a przeto wojsko płacy, a ja wojska nie miałem. Sapiehowie ode mnie wywyższeni, z całą się Litwą żarli: — Brzostowski Biskup Wileński przywiedziony został ich opressyą, że Hetmana *solemniter* exkommunikował. Ja i *fastum* i niewdzięczności ich znieść nie mogłem: — dawałem Republikantom protekcyą, ale ostrożną i pobożną; bom im nigdy na koń nie dał wsieść, jako chcieli, i przydawszy im protekcyą królewską moją, a rozwiązawszy worek, zgubiłbym był prędzej Sapiehów, niż, słyszę, August mój sukcessor uczynił; — alem nie chciał wojny domowej, podczas wojny świętej, oraz bałem się ich *ad desparata* przymusić, żeby potencyi jakiej cudzoziemskiej na ratunek nie zawołali, jako po mnie słyszę uczynili.

Ks. Jeremi. Widzę, wielki Królu, i pobożność twoję i *factum* Rzeczypospolitej, że

i sama nie zgromiła Sapiehów i dała rwać sejm, kiedy już na schyłku wojny profitować i snopy zbierać należało.

K. Jan. I owszem im pomagała korona;— siłaby ci o tém trzeba mówić, aleby się uraziło nie jednego. Sam tylko Jabłonowski, któremu o sławę wojenną jako i mnie szło, robił wszystkiemi siłami, aby sejmy stawały, aby Sapiehowie się uspokoili, i sam prawie nieborak wojskiem małém, bo niepłatném, Tatarom się opierał, i nie dał im do Lwowa przejść. Całe lato trzymał Tatarów, to attakowaniem Kamieńca, to marszami ku Wołochom, a w zimie z konia się nie zsiadało, broniąc się od czambułu. Aż upatrzył miejsce o półtory mili od Kamieńca, i tam między Dniestrem i Strypą, Szaniec S. Trójcy nazwany usypał, w którym osadził Branta dziwnego i dzielnego Niemca, który z Polakami kommenderowanemi Kamieniec zamknął i prawie zniszczył. Te okopy S. Trójcy stanęły 1692 r.

Ks. Jeremi. Przecież Jabłonowski uczy-

niłże w tak opuszczonym Rzeczypospolitéj stanie co znacznego?

K. Jan. Uczynił;— pod Hussyą trzydzieści i kilka tysięcy Tatarów z Soltanem Sabas-Gerejem wielki konwoj do Kamieńca prowadzących, wpław przeszedłszy Dniestr zbił, i półtory mili pędził i siekł, bez piechoty i artyleryi, i sześć wozów ammunicyi w rabunek wojsku dał, r. 1694.

Ks. Jeremi. Ażem odetchnął, żal mi polskiéj sławy było.

K. Jan. Tenże pobity Sabas-Gerej, mszcząc się swéj przegranéj, zebrał przeszło sto tysięcy Tatarów, i w największą *in februario* zimę, bez puszczania Czambułów pod sam Lwów przyszedł. Jam był chory w Warszawie. Jabłonowski nad dwa albo trzy tysiące wojska nie mógł w prędce ściągnąć:— w przedmieściach rozległych zastąpił, i nie dał im tak spieszonym szkody uczynić, tylko, że kilkanaście na brzegu chałup spalili, i bez czambułu się wrócili, i bez szkody polskiéj z tak wielkiém wojskiem; a to było r. p. 1695.

Ks. Jeremi. Rychłożeś dobry Królu umarł potém?

K. Jan. W rok i cóś nad rok, gdy mi żadne nie pomagały lekarstwa; — osądzili prywatnie doktorowie dać mi solwacyę na wyczyszczenie krwi i ciała z flegmy, która mię okrutnie dusiła. Nie powiedzieli mi nic o tém, ażem sam poznał: honor mię wziął i wstyd i strach, do tego w leciech 70 i królowi tak szpetnej choroby lekarstwo, do złości i żalu mię przywiodło, żem się nie szanował, w zimna wyjeżdżał, aż mię razem appoplexya w Wilanowie wzięła; — po której pierwszym attaku i paroxyzmie wszystkie przyjąłem Sakramenta, i za drugim Bogu ducha oddałem w dzień S. Trójcy 1696 r.

Ks. Jeremi. I tak Mars polski od Merkuryusza zwojowany, tak wielkich czynów mały koniec, i śmierć na łóżku, i okazya, to jest melancholija i zgryzota, podobne do moich. Miałżeś wiadomość, jeżeli z dzieci twoich którego nie obrano, a naprzód ile ich było?

K. Jan. Dzieci siła mi Pan Bóg dał, ale tylko zostawiłem synów trzech: Jakóba, Alexandra i Konstantyna, a córkę Teressę Kunegundę. Żaden z nich, słyszę, nie został Królem, i w tém to proroctwo tłómaczę: J. *Moritur* po M.: — *breve regnat*; — co to był Michał syn twój.

Ks. Jeremi. A! dla Boga, Polacy, którzy po syna królewskiego Kazimierza Mnicha do Francyi do Kłuniaku trzy lata szukając jeździli, którzy w paktach konwentach Henrykowi Walezyuszowi i Stefanowi włożyli, aby Augusta Zygmunta siostrę wziął koniecznie, którzy Zygmunta trzeciego, za to tylko, że był z Katarzyny Królewny polskiej, z Augusta także siostry spłodzony, za Króla wzięli, a twoich dobrodziejstw zapomniawszy, dóm trzeci exkludowali.

K. Jan. Cóż chcesz, mój Książe! tak jest a nie inaczej.

Ks. Jeremi. Musiałeś się nie starać o to za żywota, aniś się w nic nie ufundował takiego, coby ich mogło na tronie osadzić.

K. Jan. Czyniłem-ci ja, ale ostrożnie. Sparzyłem się zaraz, że na *Senatum consilium* we Lwowie, kiedy Carowie Iwan i Piotr w ligę z Chrześciany i z nami przeciw Turkom weszli, i Szeremeta w poselstwie przysłali;—jam mu dając audyencyą, posadziłem na małym stołku pod baldachimem syna mego Jakóba, hałas po całej Polsce, ledwom się krzyków skaraskał.

Ks. Jeremi. Przecież to za Zygmunta z Władysławem, a za Kazimierza z Ferdynandem Biskupem Płockim i Wrocławskim toż samo się stało, i nic nie mówiono.

K. Jan. Czas czasowi nierówny:—ożeniłem syna Jakóba z Księżniczką Neuburską, z siostrą rodzoną Cesarzowej Leopoldowej, Królowej Hiszpańskiej, Portugalskiej, K. Parmeńskiej, Elektorów Biskupów Niemieckich. Wydałem córkę jednę za Elektora Bawarskiego, wdowca po córce Leopoldowej, tego samego co ze mną wiktoryi Wiedeńskiej był świadkiem:—Królowa żona moja, siostrzenice dwie rodzone, z siostry swojej i Markiza de Bethume,

i ja wydaliśmy za dwuch synów Hetmańskich, starszą wdowę po K. Radziwille Marszałku W. W. K. Lit. za Sapiehę Wojewodę Wileńskiego i Hetmana W. W. K. Lit., a młódszą za Jabłonowskiego Chor. Kor. syna Hetmana i Kasztelana Krakowskiego, z którym cały wiek życia przeżyłem. Toż to małe, mój Książe, domowi memu stopnie do tronu polskiego, takie cudzoziemskie i szlacheckie kolligacye? Zapomniałem, że jeszcze wprzód siostrę rodzoną królowéj wydaliśmy za Wielopolskiego Kanclerza W. Kor., z której córka poszła za drugiego Sapiehę syna Podskarbiego W. Lit.: — cóż chcesz więcéj, mój Książe?

Ks. Jeremi. Miły Boże! jam się nie tylko starać nie myślał, żeby mój syn był Królem, a przecie bez takich kolligacyj i mego starania został Królem: — o próżne sprawy ludzkie! — o biedne naszych pajęczyn roboty!..

K. Jan. Prawda! — jeszcze ci powiem więcéj; — wiedziałem o nieporównanym rozumie Królowéj mojéj, wiedziałem, że

pieniądze wszędzie, a w Polsce aż nadto wszystkiego dokażą; zebrałem, prócz w majętnościach, starostwach, na półtora miljona intraty, zostawiłem w gotowiźnie dwadzieścia miljonów, w skarbach i ruchomościach tyle drugie, nie wątpiłem, że przy pamięci zasług moich, przy rozumie i polityce żony, przy grzeczności synów, przy kolligacyach tych, rozumnie zażyte i rozdane skarby, utrzymają w domu moim koronę.

Ks. Jeremi. Tem się bardziej opłakiwać rzeczy ludzkich chcę nikczemność, i dowcipów naszych zawody wraz i Polskiej, że Polaka ze krwi twojej bohatyrskiej nie wzięli.

K. Jan. Nie żałuj Książe Polski, żałuje się ona teraz sama, i ta mi tylko została konsolacya, którą od umbr różnych odbieram, że śmierci mojej, i po niej niewzięcia na tron syna mego, którego bardziej nieprzyjaciele moi, niż przyjaciele płaczą, i na to się tylko przydało mi, żem dotychczas nie pochowany, i że co momentalnie

do mojéj trumny chodzą Polacy, odkrywają ją, łzami zlewają ją, i za duszę się modlą.

Ks. Jeremi. Prawda, słyszałem na to *à propos* od jednéj tu umbry, że jeden poczciwy i pamiętny zasług moich Polak, napisał wiersz, każąc płakać mi straconego Jana Króla, a drugi mu odpisał dowcipnie i krótko:

Każesz płakać zmarłego;—zamknij raczej usta:
A zaś płaczu nie dosyć mamy i z Augusta?..

K. Jan. No! — wstańmy, dość rozmowy, rozejdźmy się z tą prawdą:— że jako synowi twemu twoja sława jedynie na tron wejść pomogła, tak moja podobno zaszkodziła; — a ztąd, że nie wiemy czego żądamy, na co pracujemy, i co za odmiany śmierć przynosi. Tyle tylko zysku, że co dla Boga czyniąc, duszy przysposobiamy; — ostatek dym, sława, ciało, proch, skarby, niewiedzieć czy fortuny, czy nieszczęścia instrumenta.

Ks. Jeremi. Wstańmy; — ja z tém wszystkiem z tą prawdą także odchodzę, apro-

bnjąc twoje:—że nie zaraz, albo nigdy nie będzie Polska mieć Króla Jana III.— Ale któś mówi po polsku, posłuchajmy.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

SPIS RZECZY.

Stronica

Pielgrzymka do krenicy Sgo Włodzimierza, przez *A. K. Grozę* 1
Ostatnia scena z życia poety, przez *M. Jezierskiego* 19
Petrarka, przez *Ignacego Kefalińskiego* 29
Franciszek Dionizy Kniaźnin, przez *Konstantego Podwysockiego* 59
Wyjątek z poematu Dymitr Wisniowiecki, przez *Józefa Kotoniego* 98
Ustęp z Pamiętników starego szlachcica Litewskiego, przez *H... R...* 107
Nocleg w Korcu, przez *A. Przezdzieckiego* 143
Pieśn Petrarka do N. P. M., przez *I. Kefalińskiego* 162
Rozmyślanie, przez *A. G.* 169
Przygoda Fabijana Kulińskiego, przez *S. Grozę* . 173
Rozmowy umarłych Polaków i Cudzoziemców, *(rękopism z biblioteki Stcblowskiéj)* 257